

ISSN 2084-9621



9 772084 962604

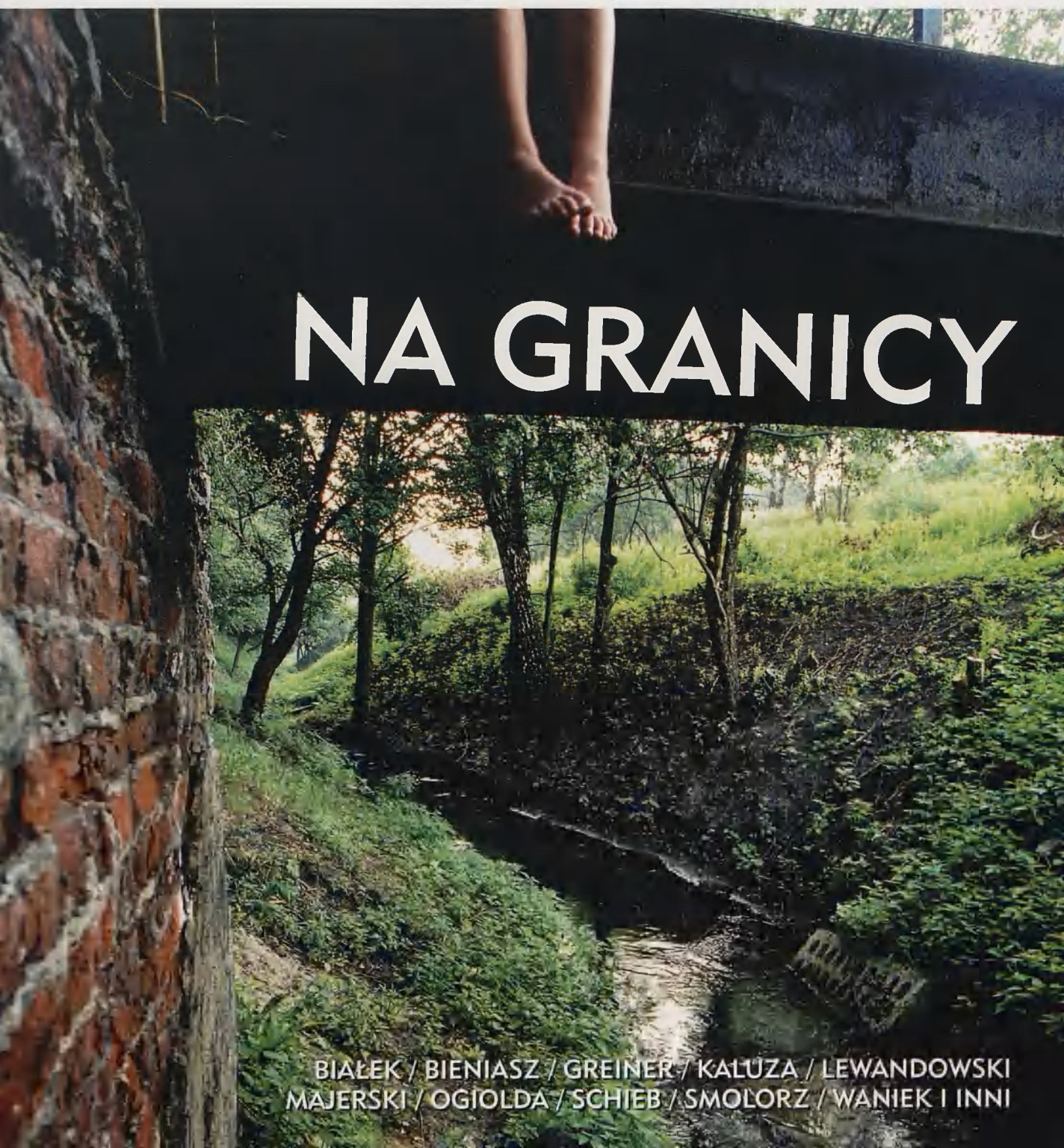
Nr 3 (13) 2016

Cena 10 PLN /w tym 5% VAT

ISSN 2084-9621 nr indeksu: 284017

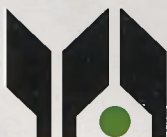
Fabryka Silesia

KWARTALNIK



NA GRANICY

BIAŁEK / BIENIASZ / GREINER / KALUZA / LEWANDOWSKI
MAJERSKI / OGIOŁDA / SCHIEB / SMOLORZ / WANIEK I INNI



REGIONALNY
OŚRODEK
KULTURY
W KATOWICACH



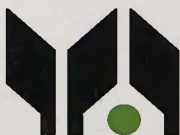
Śląskie Centrum
Dziedzictwa Kulturowego
w Katowicach



REGIONALNY
INSTYTUT
KULTURY
W KATOWICACH



UCHWAŁA NR V/21/8/2016 SEJMIKU WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO Z DNIA 18 KWIETNIA 2016 R.



REGIONALNY
INSTYTUT
KULTURY
W KATOWICACH

JEST WYDAWCĄ

Fabryka Silesia
KWARTALNIK



Nr 3 (13) 2016

Wydania internetowe: www.fabrykasilesia.pl
ISSN 2084-9621, nr indeksu: 284017

Wydawca:

Regionalny Instytut Kultury w Katowicach –
Instytucja Kultury Województwa Śląskiego
ul. PCK 19, 40-057 Katowice
www.rik.katowice.pl
p.o. dyrektora: Adam Pastuch, tel.: (32) 251-75-63

Adres redakcji:

40-057 Katowice, ul. PCK 19
Tel.: (32) 201-77-74
E-mail: redakcja@fabrykasilesia.pl
Facebook: www.facebook.com/fabryka.silesia

Redaktor naczelny:

Krzysztof Karwat (kkarwat@fabrykasilesia.pl)

Administracja, sekretariat, sprzedaż hurtowa:

Adam Meroń (ameron@fabrykasilesia.pl),
Beata Przybylska (bprzybylska@fabrykasilesia.pl)

Rada Redakcyjna:

Zbigniew Kadłubek, Waldemar Szymczyk,
Ingmar Villqist

Projekt i opracowanie graficzne:

Andrzej Pasierbski

Realizacja poligraficzna:

LAVENDE Jolanta Budzyńska
Korekta: Grażyna Kwiek

Na okładce:

Dawna polsko-niemiecka granica plebiscytowa.
Rzeka Czarnawka w Pawłowie (obecnie Zabrze).
Zdjęcie: Arkadiusz Gola/ Dziennik Zachodni

Sprzedaż: w siedzibie redakcji, sklepie internetowym
(www.fabrykasilesia.pl/sklep) oraz na terenie całego
kraju w punktach dystrybucyjnych: Kolportera,
RUCH-u oraz w sieci EMPIK-ów.

Reklamy i promocje: (cennik w sekretariacie)



FUNDACJA WSPÓŁPRACY
POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG
FÜR DEUTSCH-POLNISCHE
ZUSAMMENARBEIT

Wydano z finansowym wsparciem

Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

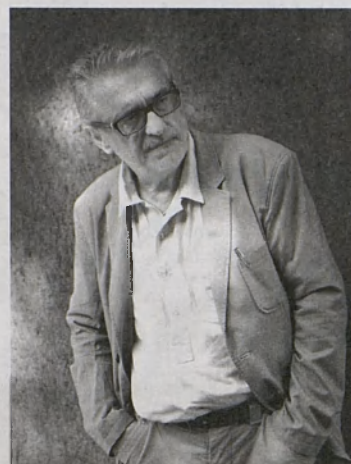
Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der
Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit.

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.

W materiałach przyjętych do druku, także fotogra-
ficznych bądź graficznych, zastrzega sobie prawo
do zmian i skrótów. Rozpowszechnianie tekstów
zamieszczonych w kwartalniku, także z jego wydania
internetowego, bez zgody wydawcy jest zabronione.

Nakład: 1300 egz.

Wszyscy żyjemy
„na granicy”. Albo przy
granicy. Bo granice
są wszędzie. Chronią
nas. I zamykają. Ale też
otwierają, gdy zdołamy
je przekroczyć.



Najtrwalsze są te, które mamy w głowach. Nie kartografowie je
w nich wytyczają. Nawet nie politycy, choć na Śląsku od tysiąca lat
z taką gorliwością i determinacją starają się, byśmy o ich istnieniu ani
na chwilę nie zapomnieli. Więc nas pouczają, kto jest „swój”, a kto
„obcy”. Pokazują palcem (nieraz bagnietem bądź lufą karabinu),
po której stronie granicy są „nasi”, a po której „oni”.

W chwilach przesileń chętnie ulegamy tej presji. Wtedy ochoczo,
nieraz w szczerym, patriotycznym uniesieniu wskazujemy do okopów
bądź stawiamy barykady. Wychylając zza nich głowy, widzimy, że są,
że rosną, że piętrzą się aż po same niebo. One. GRANICE. Cieszą oko,
bo wierzymy, że Pan Bóg teraz już też je widzi i toleruje.

Niektórzy nawet twierdzą, że to on je tam postawił!

Śląsk jest krainą „pograniczną” („graniczną”, „przygraniczną” –
jak zwał, tak zwał). Nie przestał nią być, gdy kilkadziesiąt lat temu
wrysowano w naszej części Europy nowe granice państwowe,
bo wcześniej wielokrotnie, choćby po wojnach śląskich,
kartografowie też musieli to i owo na mapach „poprawiać”. W tym
numerze piszemy również o tym, ale nie po to, by jakiegokolwiek
granice – zwłaszcza polityczne – „rewidować”. Żadnej też nie
„przesuwamy”. Bo autorzy, których zaprosiłem na te łamy, nie są
„rewizjonistami”, a „przesuwają” tylko strzałeczki kursorów z ekranów
komputerowych w stronę naszych głów.

Krzysztof Karwat

redaktor naczelny
redaktor naczelny

4 | ZBIGNIEW KADŁUBEK

Bóstwo granicy

Obok granicy ziemia i niebo, życie i śmierć – dzień i noc to jedna z najważniejszych granic.

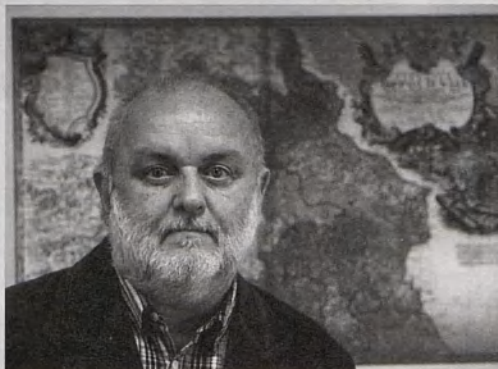
9 | HENRYK WANIEK

W szczerym polu

Rozpoznawałem niepojęty świat dorosłych. Niewiele lat wcześniej, kilka kilometrów na wschód od Oświęcimia, przebiegała granica Generalnej Guberni.

14 | PIOTR GREINER

Gdzie jest ten Śląsk?



Termin „Śląsk” (*Silesia*) używany jest co najmniej od IX wieku na opisanie rozłożonej w górnym i środkowym biegu Odry krainy, która była zamieszkała przez dominujące co najmniej od VII wieku plemiona słowiańskie.

20 | MARCIN KORDECKI

Między Krakowem a Wrocławiem, Ołomuńcem i Opawą

Gdzie są granice struktur kościelnych? Zmieniły się. Nie po raz pierwszy.

26 | ARTUR CZESAK

Śląszczyzna dzieli czy łączy?



Ile jest wewnętrznych granic w obrębie „gwary śląskiej” (dialektu, języka *in statu nascendi*)?

30 | DAWID SMOLORZ

Tuż obok „rosyjskiej Polski”

Przez stulecia wschodnia granica Śląska należała do najstabilniejszych w Europie. Od średniowiecza po wczesny XX wiek niemal w ogóle się nie zmieniła.

35 | KRZYSZTOF OGIOLDA

Pięć obrazków znad Proсны (i Liswarty)



Dawno zniknęła z mapy, ale jest nadal widoczna w krajobrazie. Niewiele z niej zostało w pamięci i w głowach. Zwłaszcza młodych ludzi.

40 | DAWID SMOLORZ

Osobno, choć razem

Granica jest tam jedynie wąską, często niezauważalną już linią, wijącą się pomiędzy wiejskimi zabudowaniami.

44 | ZBIGNIEW GOŁASZ

Łączyła i dzieliła. Karmiła i zabijała



Szmulglerzy korumpowali obie strony. Od polskich celników dowiadywali się, gdzie przebywa niemiecki szupok.

48 | VICTOR KALUZA

Nad Czarnawką

Proza zmarłego w 1974 roku socjaldemokratycznego samorządowca z powiatu toszecko-gliwickiego.

52 | STANISŁAW BIENIASZ

Granice w naszych głowach

Czy jest szansa, by niechęć śląsko-zagłębiowska odeszła w przeszłość? By dawne granice przestały dzielić ludzi, mówiących tym samym językiem, posiadających takie same problemy i wspólne interesy?

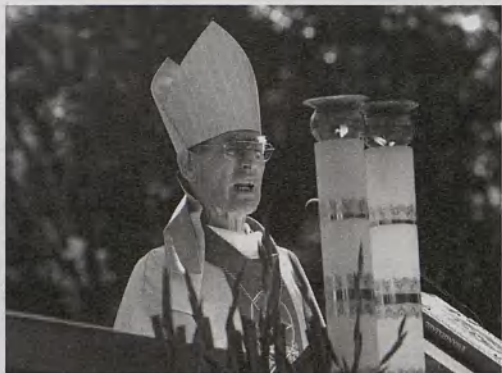
56 | TOMASZ BORÓWKA

Z obu brzegów Brynicy

Co rozdziela Górny Śląsk od Zagłębia? Czy tylko Brynica, którą już od bez mała wieku nie przebiega granica państwowa?

60 |

Bóg granic nie tworzy



Z arcybiskupem ALFONSEM NOSSOLEM rozmawia KRZYSZTOF OGIOŁDA.

64 | EDWARD BIAŁEK

Jak Theodor Körner Góry Olbrzymie zdobył



Poeta wspiął się na wzgórze, na którym znajdują się ruiny zamku Gryf, przypominające o panowaniu rodu Schaffgotschów, zasłużonego dla rozwoju całego regionu.

70 | JAN F. LEWANDOWSKI

Stroheim-kapelusznik

Droga reżysera Ericha von Stroheima prowadziła z cesarskiego Wiednia, sięgając jednak korzeniami pruskiego Śląska połowy XIX stulecia.

74 | JERZY CIURŁOK

Z prowincji na salony



Prace Bruno Schmiäla znalazły się na sławnej wystawie *Sztuki zdegenerowanej* w 1937 roku.

80 | ROSWITHA SCHIEB

Polska zaklęta w „błękitnym granicie”

W Recklinghausen, mieście położonym w północnej części Zagłębia Ruhry, otwarto Museum Jerke.

84 | MICHAŁ MAJERSKI

Pamięć, czyli opór materii

Kiedy myślę o „polskich terenach odzyskanych”, to przychodzi mi do głowy stary, dobry film Bergmana *Milczenie*.

90 | ZBIGNIEW KADŁUBEK

Mieć przedsię

Seledynowe niebo nad kościołem św. Szczepana. Matka Boska Bogucicka czeka na majowe nabożeństwo.

92 | INGMAR VILLOIST

Kargulowy płot

Wciąż taplamy się w ciepłym i bezpiecznym błotku naszych kompleksów. Ich pełna gama jest przebogata.

94 | KRZYSZTOF KARWAT

Granice miłości i nienawiści

Strzegły jej uzbrojone po zęby kordony wojskowych, a przy punktach celnych paradowali jacyś nieznaną się na żartach umundurowani faceci.

96 | KSIĄŻKI

Nadesłane i wypatrzone

Szczególnie
naszym czasom
brakuje przestrzeni
i oddechu.

Kenneth White: *L'Esprit nomade*

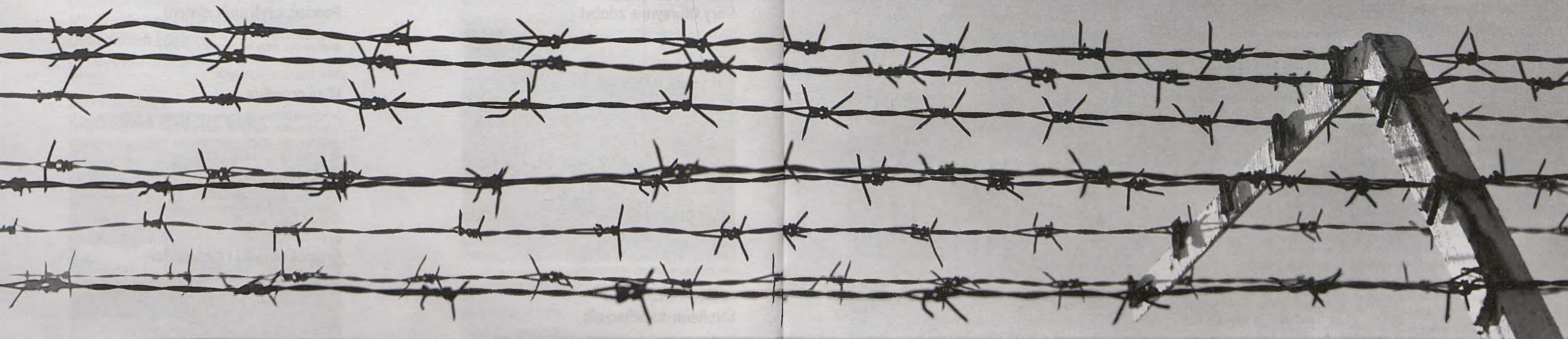


Zbigniew Kadłubek

Bóstwo granicy

Obok granicy ziemia i niebo, życie i śmierć – dzień i noc to jedna z najważniejszych granic. Opowiadali chasydzi, że jeden rabin tak nauczał o tej granicy: „Noc kończy się wtedy i zaczyna dzień, gdy jest już tyle światła, że w obcych twarzach rozpoznaję swoje siostry i swoich braci”. Nocą jest ciemno, w dzień jasno. Ale to my decydujemy, kiedy zaczyna się dzień, by zobaczyć dookoła siebie swoich. I tak jest z każdą granicą. Przekraczanie granicy i ograniczeń jest pewną funkcją etyczną, moralnym wyborem.

Granice przekracza się zawsze w stronę człowieka.



Granice istnieją, ponieważ człowiek miota się od wieków pomiędzy mierzaniem i marzeniem o bezgraniczności. Każda granica ma swój początek w odmierzaniu. Miara ścieśnia świat, ogranicza go, ale pomaga ludziom umownie traktować przestrzeń i czas. Gdy astrofizycy mówią nam, że średnica wszechświata mierzy kilkadziesiąt miliardów lat świetlnych, opowiadają o policzonej bezgraniczności – językiem pomiarowym – rzeczy te same, które znamy z Biblii albo z wierszy poetów.



Gdy mówimy o granicy, mówimy o życiu człowieka w świecie. A dokładnie – o miejscu ludzkiego życia. Dlatego temat granicy należy do problemów, które są istotne dla filozofów, antropologów, teoretyków poznania, biologów, geografów. Filozof Marek Szulakiewicz pisze, że „granice należą do jednych z podstawowych naszych doświadczeń. Żyjemy wśród nich i sami ustanawiamy je dla siebie i często dla innych. Już określenie tożsamości jest związane z wyznaczeniem granicy między tym, co jest mną, a tym, co takie nie jest. Granice rozdzielają nie tylko obszary (terytoria), ale rozdzielają też ludzi. Ograniczeni przez swą skończoność, lecz jednocześnie zdolni do przekraczania granic, właściwie żyjemy stale »na granicy«, w świecie »między«”. „Wszystko, co człowiek robi na arenie – pisze Ernest Hemingway w swoim wielkim esej o korridzie – nazywane jest *suerte*”. Życie – jako sytuacja graniczna Karla Jaspersa – czyli jedyna prawdziwa forma autentyczności egzystencjalnej – to napięcie i czujność toreadora, gdy oddziela go od byka cienka granica różowej płachty, którą w Hiszpanii nazywają *capa*. Jest to cienka granica, gdy obaj – byk i człowiek w równym rytmie serc (tu nie ma granicy) – obcy i bliscy zarazem, stąpają po linii śmierci. Cała korrida to fascynacja granicą, nie tylko tą granicą życia i śmierci, lecz w ogóle fenomenem graniczności – także tej ludzko-zwierzęcej.



6

Dla Egipcjan wszystko, co leżało poza wytyczoną ziemią nad Nilem, było nierzeczywiste. Poza Nilem świat był dla Egipcjan nierealny. Siła kultury egipskiej, jej trwałość i ciągłość miała korzenie w tym nilowym izolacjonizmie. Odrębność nie gwarantuje jednak przezwyćżenia ograniczeń. To, co ludzkie, zawsze pożąda *exodusu* z ograniczeń. Tęskni człowiek za horyzontem bezgranicznym. Choruje na transcendencję, przekraczanie najbardziej odległych miejsc i nie-miejsc. Anaksymander z Miletu, filozof przyrody, głosił naukę o *apeironie*, czyli prapoczątku świata, który miał charakter holistycznej bezgraniczności. Źródłem rzeczywistości według niego było zatem coś, co przeczyło wszelkiej granicy. Za każdym razem, kiedy ludzie odwracają się od granic i emigrują do bezkresu, cofają się – rzecz można by – do bezkresu, a zatem czegoś, co kreuje rzeczywistość. Wartownik granicy – nie jest osobą twórczą, nie współtworzy świata, skupia się na uszczelnianiu granicy. Wartownik to człowiek ograniczony.

Tadeusz Sławek pisze, że „uchodzić to przemieszczać się w stronę granicy”. Uchodzenie odbywa się na trajektorii: granica – granica. Uchodzić nie oznacza zdobywania wolności oraz podchodzenia pod horyzont bezkresny. Uchodzić to przecież odbijać się od granicy do granicy. Huśtać się między szlabanami. Granica nie stanowi tu momentu postawienia pytania, nie poszukuje podstawy życia. Zresztą nie ma na to czasu, bo uchodzi się w pośpiechu – i często w lęku, wkraczając w coraz bardziej nieznane miejsce i już otoczone następną granicą. Niedziałanie oraz aktywność, nie(u)chodzenie, żadne poruszanie się, lecz myślenie przebija balon każdej granicy. Posłuchajmy jeszcze Hannah Arendt, która to potwierdza: „Myślenie – jako proces – rozkłada granice, niszczy je”.



„Granica” to piękne polskie słowo – od niego pochodzi niemiecka „Grenze” czy holenderska „grens” (podobnie w językach skandynawskich). Słowo polskie „granica” zrobiło zawrotną europejską karierę, „ponieważ w średniowieczu tak dokładnie jak w Polsce znakowanie miedz nie było praktykowane nigdzie indziej” – pisze Andrzej Bańkowski.



Oznakowana miedza poszła w świat. Słowo „grаница” bardzo blisko etymologicznie spokrewnione jest z granią, która jest krawędzią i miejscem stykania się płaszczyzn. I grań, i granica to węgły – znak posiadania, linia podziału, sygnał zarazem dla obcego: tu się zaczyna moje! Dzięki polskim romantykom jednak dzisiaj grań ma trochę inne znaczenie: ostry grzbiet górski. Skoro granica jest krawędzią, ostrym kamieniem, to im więcej granic, tym więcej istnieje możliwości skaleczenia się. Nie wspomnę już o śmiertelnych wypadkach.

Lecz warto, podsumowując powyższe, skonkludować, że właśnie agrarny charakter granicy byłby znaczący. Im bardziej kultura ma chłopski charakter, tym bardziej zaangażowana jest w granicę, pała graniczną namietnością. Widać to u Rzymian. Boginią rolnictwa była Ceres, pani urodzaju, córka boga bogactwa, nazywanego przez Latynów Ops. Zwracam tutaj uwagę na sanskrycki rdzeń imienia Cerery: „kr̥s̥”, który oznacza przyciąganie, branie w posiadanie. Stąd także bóg Kriszna, Istota Najwyższa, w której stronę ciągnie każde istnienie. Granica ma takie same źródła słowne jak kryzys, krojenie, krakanie.

Granice można poddać cudownemu mechanizmowi apoteozy – da się granicę ubóstwić, zrobić z niej bożka. Uczynili tak Rzymianie. U nich bóstwem granicy był Terminus – strzegący granic posiadłości prywatnych oraz granic państwa. Świętowali Rzymianie jego władzę podczas Terminaliów. Sąsiedzi zasiadali do wspólnej uczty, wystroiwszy kwiatami obejścia, skropiwszy węgły krwią świń albo owiec. Był to chyba sympatyczny rytuał. Ale później potomkom Rzymian, nam, Europejczykom, skrapianie kamieni granicznych krwią tak się spodobało, że dokonywaliśmy hekatomb z ludzi...

• • •

Granice się ekshumuje, granice się wyobraża, nosi w głowie jak przekleństwo. Urojone zresztą granice stanowią część historii każdej krainy – w słowie „kraina” już słyhać granicę. Są krainy całe w paski jak zebry – znamy taką jedną szczególnie – krainy całe w pasiaku granic. Ale w pewnym momencie – po dwóch wojnach, w których miliony ludzi oddały życie za wytyczenia graniczne – zaczęto naukowo na niwie humanistyki unieważniać granice, osłabiać ich siłę. Zaczęto się posługiwać terminem „pogranicze”, które jest jakimś terytorium przygranicznym, międzygranicznym, transgranicznym. Natomiast granica, nie okłamujmy się, nie idealizujmy pogranicza, nawet na pograniczu pozostaje: kulturowa, administracyjna, religijna, językowa.

Pogranicze musi mieć jeszcze jedną istotną cechę – musi mało znaczyć, być peryferialne, odda-

Granice rodzą konflikty i wykluczenia. Czasem przyczyniają się do całkowitego wyobcowania. Bywa, że także do eksterminacji (czyli wyrzucenia poza granice, choć to eufemizm). Jednak granice terminują u państw i coraz poważniej traktują tę sprawę.

lone od świetlistego centrum. Musi być pogardzane. Często pograniczne obszary stały się spójnymi regionami. A regionalizm wyklada się w Unii Europejskiej ideowo jako swoistą maść na rozstępy starej Europy. Pograniczność ciekawie wypatruje drugiej strony, patrzy ponad granicą, sięga wzrokiem „zagranicznego”. Nigdy pograniczność nie przeobraża się w rdzenność, albowiem zdaje sobie sprawę, że jest jedynie cienkim szwem. Kate Brown w książce o tzw. polskich Kresach powiada: „Zniszczenie pograniczności ma swe korzenie w uszczelnieniu granic, a także dramatycznej rekonceptualizacji przestrzeni, a w konsekwencji również życia, za pomocą narodowościowych taksonomii, które przekształciły obszary nieprzewidywalności kulturowej w rozsądnie uporządkowane przestrzenie narodowe”. Twarde zintegrowanie pogranicza, które jakby zwisa w dół i ciąży w inną stronę, z centrum odbywa się za każdym razem na drodze mniejszej lub większej przemocy.

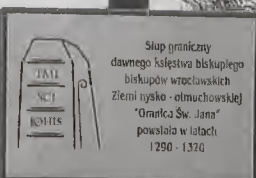


Prawdopodobnie w dawnych czasach najmniej ze wszystkich ludzi tęsknili za granicą Żydzi. Mówił o tym Amos Oz w swym budapeszteńskim przemówieniu z października 1985 roku: „W języku hebrajskim nie ma słowa »integralność«: może my, Żydzi, jesteśmy pozbawieni tej »rzymskiej« cechy. W moim słowniku pośród innych synonimów integralności znalazłem takie określenia, jak: »całkowitość«, »niepodzielność«, »być niewzruszonym«, »w jednym kawałku«. Prawdopodobnie my, Żydzi, jesteśmy stworzeni z kilku kawałków, nie z jednego”. Zintegrowane to takie, które nie angażuje się we wbijanie słupów granicznych.

Granice rodzą konflikty i wykluczenia. Czasem przyczyniają się do całkowitego wyobcowania. Bywa, że także do eksterminacji (czyli wyrzucenia poza granice, choć to eufemizm). Jednak granice terminują u państw i coraz poważniej traktują tę sprawę. Demontaż granic politycznych, narodowych, a także wielu innych – przedwcześnie zapowiedziano. Hejnał odtrąbiono przed terminem. Samoświadectwo człowieka, społeczeństw, kultur – to sprawa całkowicie „zagraniczna”. Żeby granice znikły i zanikły, człowiek musiałby być bardziej ludzki – albo raczej bardziej zwierzęcy. Mówię o tym, bo w to wierzę, ale jak tu żyć bez progu, okien, drzwi i ścian? Jak tu nie mieć domu? Na szczęście w samą granicę wpisany jest jej kres. ■

Zbigniew Kadłubek

– eseista, tłumacz, komparatysta, profesor Uniwersytetu Śląskiego



Henryk Waniek

W szczerym polu

To rzecz bardzo stara, z głębokiej prehistorii, a już na pewno epoki, gdy pracłowiek przestał uganiać się za zwierzętami. Stał się istotą osiadłą. Jedni przekroczyli ten próg dojrzałości wcześniej, inni później. A jeszcze inni do dzisiaj przekraczają, narażając tych pierwszych na życie w granicach niepewnych i zmiennych.

1.

O granicach Śląska nie ma jeszcze niczego u Geografa Bawarskiego, który w połowie IX wieku przemilczał Polan, Lechitów czy Lachów, wówczas jeszcze pogańskich. Drobiazgowo wyliczył natomiast śląskie plemiona oraz ilość ich grodów. Na przykład: *...Isti sunt, qui iuxta istorum fines resident... Sleenzane civitates XV... Dadosesani civitates XX... Opolini civitates XX...* I tak dalej.

Ślężanie posiadali 15 osad, podczas gdy Opolanie aż 20. W tamtym czasie ważne były nie tyle granice, ile centralne punkty krajów. Kraików raczej, skupionych wokół grodów i pomiędzy nimi. Czym one były? Wyobraźnia podsuwa nam krajobraz miejski, ale jej nie ufajmy. Archeologia, jeśli trafiła na ślady tych osad, pokazuje nam ziemne wały i skromną zabudowę – zapewne siedzibę władzy i jego zabijaków. W potrzebie służyły pewnie za schronienie dla okolicznej ludności. Może miały też cel sakralny? Handlowy?

2.

Na Śląsku pierwsze zarysy granic zewnętrznych i wewnętrznych dostrzegamy dopiero w czasie – a trudno go precyzyjnie określić – gdy mowa o istnieniu Przesieki, czyli leśnego pasa obronnego, gdzieś od Głubczyc wzdłuż Nysy Kłodzkiej w kierunku Strzelca, oraz o ziemnych umocnieniach nazywanych Wałami Śląskimi (czasem Wałami Chrobrego), które mogły mieć znaczenie strategiczne. Ale czy miały? Wszystko to pomiędzy X a XIII wiekiem.

3.

10 Solidniejsze ramy przestrzeni Śląska zaczęły się kształtować we wczesnym średniowieczu, gdy ten kraj, oderwany od władztwa czeskiego, stawał się częścią polskiej monarchii. Dziedziczność obszarów świeckich i umacniające się latyfundia klasztorne wymagały starannych granic. Wszelako i one były dość płynne, bo w miarę upływu czasu Śląsk rozdrabniał się. Rosła niepowstrzymanie ilość jego księstw świeckich i kościelnych, by w okresie kulminacyjnym osiągnąć liczbę 37. Towarzyszyły temu nieustające spory. Ale w okresie poprzedzającym wybuch wojny trzydziestoletniej (1618) Śląsk, który już dawno powrócił do macierzy, czyli do korony czeskiej, był terytorium stosunkowo zintegrowanym, co Martin Helwig dosadnie przedstawia na swej pierwszej mapie Śląska (1561).

4.

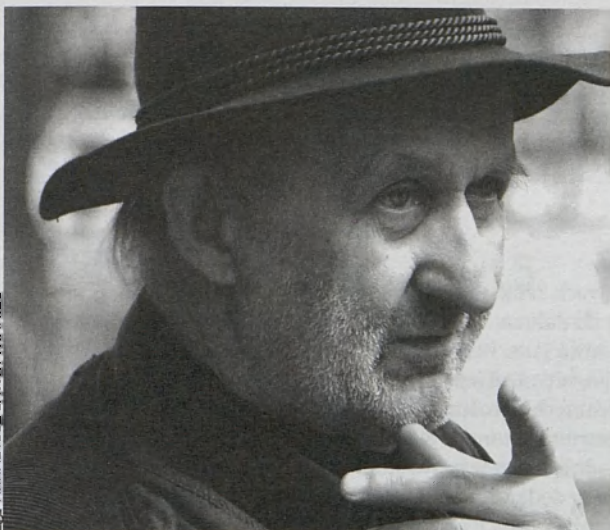
Późniejsze stulecia trzymały się zasadniczo tej tradycyjnej przestrzeni, aż do podboju Śląska przez Fryderyka Wielkiego (1742), co wniosło uproszczoną, iście pruską strukturę terytorialną. W prawie niezmienionej postaci przetrwała ona do końca pierwszej wojny światowej, której ostatnimi akordami były powstania śląskie. Wtedy część Górnego Śląska została odłączona od reszty kraju i był to pierwszy akt podziału, który naruszył ów tradycyjny porządek. Nowe granice.

5.

Następną rewolucję przyniosła administracja hitlerowska po roku 1940. Terytorium Śląska powiększyło się o Zagłębie Dąbrowskie, Chrzanów, ziemię żywiecką. Ta innowacja spotka się z uznaniem późniejszej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

6.

Polityczny targ, jaki dokonał się w Jalcie, przypieczętowany po drugiej wojnie światowej w Poczdamie, był wielkim demontażem świata. Przede wszystkim Europy Środkowej. Teoretycznie, jako zasłużony odwet na winnych wojennego obłędu, miał osłabiać pokonaną III Rzeszę. W praktyce jednak – podobnie jak w roku 1918, przy okazji traktatu wersalskiego – był to początek łańcucha, który telepie się jeszcze do dzisiaj. Polityka nie trudziła się spojrzeniem w głąb czasu i poszła na ślepe skróty. Przekonani, że świetnie znają polską historię i ziemię – bo znali ją z map niemieckich, rosyjskich, austriackich oraz podręcznikowych wrywków – sowieccy, amerykańscy i angielscy dygnitarze wyczarowali nowy porządek przestrzenny. W każdym razie Stalin zacierał ręce. Istny cud, że się to nie skończyło trzecią wojną, o której słyszałem od dzieciństwa. W dużym stopniu te graniczne nowinki dotyczyły Śląska.



Rozpoznawałem niepojęty świat dorosłych. Niewiele lat wcześniej, kilka kilometrów na wschód od Oświęcimia, przebiegała granica Generalnej Guberni. Nieco na północny wschód jeszcze dawniejsza granica cesarstw: niemieckiego, austriackiego, rosyjskiego.

7.

Byłem mały i patrząc przez rozwierające się szpary dzieciństwa, coś zaczynałem pojmywać. Nasłuchiwałem. Rozpoznawałem niepojęty świat dorosłych. Niewiele lat wcześniej, kilka kilometrów na wschód od Oświęcimia, przebiegała granica Generalnej Guberni. Nieco na północny wschód jeszcze dawniejsza granica cesarstw: niemieckiego, austriackiego, rosyjskiego. Z kolei na zachód od Katowic granica oddzielająca II Rzeczpospolitą od III Rzeszy. Zaledwie kilka lub kilkadziesiąt lat wcześniej wszystkie te granice, odgradzające terytoria święte od wyklętych, własne od cudzych, pewne od wątpliwych, przestały istnieć. Pamiętający potrafili jeszcze wskazać miejsca ich przebiegów. Ale były to tylko ślady przywoływane mocą wspomnień. Dla tych, którzy pamiętali mniej lub w ogóle nie byli obeznani z naturą tej nowej przestrzeni, liczyły się własne rany, blizny i doznane krzywdy. Wiedzieli tylko, że trzeba jakoś żyć na tej powojennej ruinie, zanim zarysuje się nowy świat.

8.

Technicznie rzecz biorąc, cały ten proces należy uznać za powojenny podział łupów. Ale w doświadczeniu jednostki była to deprywacja; pozbawienie prawa do miejsca i tożsamości. Co jednak ma począć jednostka, gdy zwycięzcy wytrząsają świat z jego naturalnych ram, łapiąc zdeintegrowane resztki w inne, prowizoryczne konstrukcje. Towarzyszyło temu żonglowanie symbolami nazwicznymi lub państwowymi, oraz kłamstwem w żywe oczy. Jeszcze dziś niektórzy mają je za prawdę.

W miarę dorastania stawało się dla mnie jasnym, że ta przestrzeń powinna nazywać się Śląskiem, choć częściej słyszało się określenie administracyjne – województwo katowickie. Rzadziej i słabiej tradycyjna nazwa Górny Śląsk, zwykle przekształcana w GOP – Górnośląski Okręg Przemysłowy. Tożsamość regionu ginęła w gąszczu onomastycznych uników, takich jak na przykład Zagłębie Śląsko-Dąbrowskie, przy czym Zagłębie określano jako czerwone, podczas gdy Śląsk honorowano czernią. Był też Śląsk zielony, ziemia opolska, czy inne nazwiczne subtelności, których sens pozostawał dla dziecka zagadką.

9.

Jednym słowem, dorastałem w przestrzeni zrewoltowanej także pod względem nazw. Co oznaczało i czemu służyło to jej rozdrobnienie, trudno zrozumieć. Najpewniejszy był tylko mój adres zamieszkania w śródmieściu Katowic, za dnia przeludnionych, a wieczorem opustoszałych. Tu przebiegało następne graniczne pęknięcie. Przez siedem lat szkoły podstawowej przemierzałem odległość między dwoma

punktami miasta. W jednym świecie miałem dwa, oddzielone czymś niewidzialnym. Jeden śródmiejski, nazwijmy go polskim. Drugi – przedmiejski (Załęże), zdecydowanie autochtoniczny. Dzieliła je jak najbardziej wyczuwalna granica poziomów życia.

Samo słowo – granica – miało demoniczny urok. W latach 40., 50. i później, nawet zbliżając się do niej, ryzykowało się życiem. Słynna „Strefa Nadgraniczna”... Jeszcze tu i ówdzie można zobaczyć te czerwone tablice. Jakiegokolwiek wyjazdy, podróże, czy – nie daj Boże – krewni za granicą, wszystko wykluczone.

10.

Rzeczy, o których mówiło się: „zagraniczne”, istniały na prawach relikwii. Podobnie jak „przedwojenne”. Tajemnicze pozostało to, że jadąc tramwajem z Katowic do Zabrza, w okolicach Rudy Śląskiej mogłem się dowiedzieć od dziadka, że tu właśnie przebiegała granica Polski i Niemiec. Albo że w okolicach Mysłowic spotykały się granice trzech cesarstw – austriackiego, niemieckiego i rosyjskiego. Cała rzeczywistość wypełniała się granicami już przebrzmiałymi, obok realnych i groźnych.

Podobnie (choć jednak inaczej) niż w Katowicach, w centrum Bytomia, już niebędącego miastem zagranicznym, tętnił gwar językowy dawnych Kresów Wschodnich. Je także wciśnięto w ramę śląskiej domeny. W obcym sobie świecie usiłowali być u siebie. Można tu dodać jeszcze granice społeczne (wówczas mówiono – klasowe), rozwarstwiające ludność Śląska na miejscowych wyrobników i mundurowych (ale także cywilnych) nadludzi przybyłych z Kielc czy Radomia. Następnie granice kulturowe, poróżniające jednych z drugimi. Granice narodowościowe, bo jednak na Śląsku czuło się obecność szczątkowej niemieckości. Granice wyznaniowe. I tak dalej. Ta gęstość sytuacji granicznych przemieniała życie potoczne w istną klatkę.

11.

Mając już za sobą doświadczenia lat szkolnych i późniejszych, coraz trudniej było mi pogodzić się z tym, że jestem skazany na miejsce tak sprzeczne i wewnętrznie rozdrobnione. Dziś powiedziałbym – ciekawe. Ale wtedy? W tamtym czasie Śląsk nie tyle oznaczał jakiś obszar ziemski, ile raczej klimat abstrakcji, obrotową scenę mrocznego spektaklu, a nad nią snujące się dymy i powiewy politycznych atmosfer. Wszystko śmierzdziało farbą drukarską „Trybuny Robotniczej”. Śląsk był ciasny i zepchnięty do kąta. Nie miał nic do gadania. Był przeliczony na miliony ton węgla i stali, ładowany na wagony jadące na wschód lub północ. Niełatwo było się poruszać w tej sfalszowanej przestrzeni.

12.

Falszowanej permanentnie podczas wielokrotnych „reform administracyjnych”, mogących świadczyć, że państwo nie radzi sobie z problemem terytorium. Wymazuje stare i kreśli nowe granice. Jestem przekonany, że cała seria tych zdarzeń, rozciągniętych na lata, nie mogłaby się dokonać w żadnym innym miejscu ani innych okolicznościach. Aby wyłonił się Śląsk rozumiany już integralnie, sam musiałem poznać go podziałami i granicami. Wtedy jego krajobraz objawił mi się jako „pismo”. Być może coś podobnego można zobaczyć gdzie indziej, ale chyba nigdzie aż tak wyraziście.

13.

A co jest mianowicie treścią owego „pisma”? Ślady ludzkiej pracy, trudu, mądrości, miłości. Czasem również – niestety – barbarzyństwa, zła i cierpienia. Z wymienionych tu i innych powodów dość późno zobaczyłem to pismo krajobrazu, w którym istniały wyłącznie granice naturalne. Na to osobiste postrzeganie Śląska z czasem nałożył się film o większej wyrazistości poznawczej. W wieku już dojrzałym musiałem nadrabiać edukacyjne zaniedbania w zakresie dziejów, geografii, obyczaju i legendy regionu. Zaniedbania nie z mojej winy. Nauczanie historii zbywało Śląsk ogólnikową półprawdą. Uczono tego mniej więcej tak samo jak tabliczki mnożenia. Wbijano w młode głowy gazetowe slogany, w rytm których kształt Śląska był jak plastelina. Śląsk już nie był rozdarty między Polską a Niemcami, pomijając Śląsk Czeski. Odzyskał integralność w ramach granic historycznych, podobnie jak to było w pruskim królestwie. Ale 98 proc. ludności do końca roku 1946 zostało stąd usuniętych. W zachodniej części Górnego Śląska w 1950 roku uchowało się zaledwie 57 proc. „tutejszej” ludności. Przemieniał się ludnościowy obraz Śląska, więc musiało się to odbić w krajobrazie.

14.

Ale tego nie obejmował przedmiot nauczania w żadnej szkole. Jeszcze mniej miejsca zajmowała etnologia i legenda, zagarnięte wówczas w całości dla potrzeb politycznej inscenizacji. Przywołuję tu Katowice (niebawem przemianowane na Stalinogród), żeby przybliżyć pstrą egzotykę tego rejonu Polski. Od czasu ustanowienia tu praw miejskich w 1865 roku granice miasta zmieniały się siedmiokrotnie. Od roku 1926 zmieniano je co dziesięć lat.

15.

Było tych śląskich egzotyk wiele; nie tylko pomnożonych przez trzy: Górny, Opolski i Dolny Śląsk. Bo każdy dzielił się w nieskończoność różnic etniczno-polityczno-historycznych. Narodowości, jakie się tam zbiegły, to oczywiście Polacy w całej gamie kolorytów. Trochę Niemców. Rosjanie, a jakże. Sporo Żydów. Serbowie z Jugosławii. Grecy. Hiszpanie. Ukraińcy. Nieco krwi czeskiej, morawskiej i łużyckiej. Do tego ludność rodzima, której obywatelstwo – raz takie, raz inne – nie miało łatwego życia. Dla oczu sześcio- lub siedmiolatka nie było to zbyt wyraźne, choć wyczuwalne jak najbardziej. Gdziekolwiek się skierowały: wszędzie granice i linie podziałów.

16.

W latach, gdy już – z większym lub mniejszym powodzeniem – usiłowałem postrzegać otaczającą mnie rzeczywistość, abstrahując od jej defektów i granicznych rozdarć, mogło mi się wydawać, że obfitość podziałów terytorium Śląska to przecież znak bogactwa jego dziejów. Może nawet nadmiar bogactwa, którego opisanie złożyłoby się na księgę monstrualnej grubości. A tymczasem muszę już kończyć.

17.

Na zakończenie wybieram śląski słup graniczny, ustawiony prawdopodobnie w latach 80. XIII wieku, stojący w szczerym polu pomiędzy wsiami Starczówek i Lipniki, w dzisiejszym województwie opolskim (*vide*: zdjęcie na stronie 9.). Słup kamienny o wysokości ok. 2,5 metra wyznaczał północno-zachodni kraniec kasztelanii nysko-otmuchowskiej, należącej do biskupa wrocławskiego. Są na nim wykute litery TMI SCI IOHIS, co wraz z ligaturami ma oznaczać: *Termini Sancti Iohannis*, jako że patronem katedry wrocławskiej był święty Jan.

18.

Można powiedzieć, że jest to piękna rzeźba i dlatego, przynajmniej w tym konkretnym przypadku, można mówić o pięknie granicy. Tym bardziej że dziś niemającej realnego znaczenia. Przed laty, w stosunkowo pogodny dzień kwietniowy, odbyłem pielgrzymkę ku temu znakowi z przeszłości. Ogrodzony parkanem, wsparty tablicą wyjaśniającą sens tego zabytku, wydaje się mówić, że na Śląsku granicę można spotkać nawet w szczerym polu. ■

Henryk Waniek

– pisarz, eseista, malarz, grafik

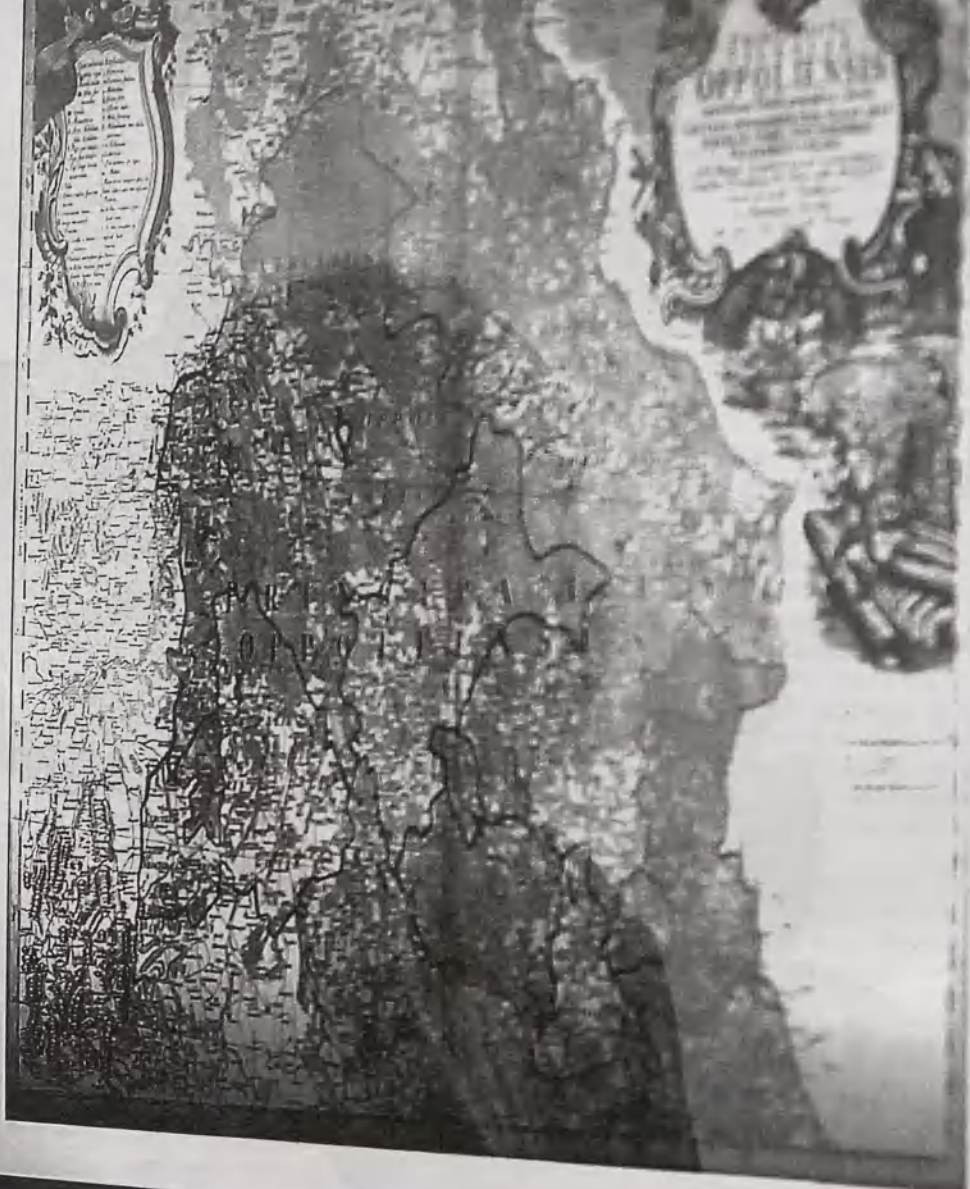


ARKADIUSZ ŁAWRYWIANIEC

Usiłowałem postrzegać otaczającą mnie rzeczywistość, abstrahując od jej defektów i granicznych rozdarć. Mogło mi się już wtedy wydawać, że obfitość podziałów terytorium Śląska to znak bogactwa jego dziejów.

Piotr Greiner

Gdzie jest ten Śląsk?



15

Termin „Śląsk” (*Silesia*)

używany jest co najmniej od IX wieku

na opisanie rozłożonej w górnym i środkowym biegu Odry krainy, która już wówczas była zamieszкана przez dominujące co najmniej od VII wieku plemiona słowiańskie, zorganizowane w związki przedpaństwowe (Ślężanie, Opolanie itd.). Termin „Górny Śląsk” (*Silesia Superior*, *Oberschlesien*, *Horní Šlezsko*) zaczął funkcjonować dopiero w XV wieku.



Potrzeba jego zastosowania pojawiła się na skutek skomplikowanych przekształceń dynastycznych z udziałem śląskich Piastów oraz czeskich Przemysławów i przede wszystkim z powodu zmian ludnościowych, których intensyfikacja nastąpiła po niszczycielskim najeździe tatarskim (zakończonym klęską wojsk chrześcijańskich w bitwie pod Legnicą w 1241 roku). Kolonizację przeprowadzono z udziałem żywiołu osadniczego rekrutowanego głównie z krajów niemieckich. W konsekwencji już w średniowieczu zmienił się obraz kulturowy – część położoną na lewym brzegu Odry opanował żywioł niemiecki, a prawobrzeżny Śląsk pozostał słowiański.

Pierwszą wzmiankę o „dwóch Śląskach” odnajdujemy w zapisach z 1427 roku. Ale utrwalenie pojęcia podziału nastąpiło dopiero podczas panowania na Śląsku w latach 1469–1490 króla Węgier i Czech Macieja Korwina (*Hunyadi Mátyás*), który zbudował względnie spójną całość polityczną w ramach Korony św. Wacława (Czech).

Było pięć księstw i dwa „państwa”

Od początków XVI wieku rozumiano pod już stabilnym pojęciem Górny Śląsk pięć księstw i dwa uformowane w XVI i XVII stuleciu tzw. wolne państwa stanowe. Te księstwa to – z piastowskiego dziedzictwa – 1) opolskie (do 1532 roku we władaniu Piastów), 2) raciborskie (nabyte przez ostatniego Piastu opolskiego Jana II w 1521 roku), 3) cieszyńskie (w linii żeńskiej we władztwie Piastów do 1653 roku) oraz – z „wiana” Przemysławów – 4) opawskie i 5) karniowskie. W 1517 roku pojawia się „wykrojone” z księstwa raciborskiego Wolne Państwo Pszczyńskie, a w 1697 roku z księstwa opolskiego Państwo Bytomskie.

Kościelnie obszar ten był podzielony między trzy diecezje: 1) wrocławską (większość), 2) krakowską i 3) ołomuniecką. Tak było przez trzy wieki. Pamiętać jednak należy, że polityczną świadomość wspólnoty regionalnej miała wówczas prawie wyłącznie szlachta, ciągle jeszcze o starych rodowodach słowiańskich (polskich, morawskich i czeskich), co zmienić miała dopiero klęska jej dużej części o wyznaniu protestanckim w wojnie trzydziestoletniej, w pewnej mierze – także słabe mieszczaństwo górnośląskie, a zupełnie pozbawiona tej świadomości była masa chłopstwa.

Gwałtowna zmiana nastąpiła w wyniku trzech wojen śląskich stoczonych przez Austrię i Prusy w latach 1740–1763. Pokój berliński kończący I wojnę (1740–1742) ustanowił, pomimo dwóch następnych wojen (1744–1745, 1756–1763), „sztuczną” granicę państwową dzielącą Górny Śląsk. Przy Habsburgach pozostały załedwie: całe księstwo cieszyńskie, południowe fragmenty księstw opawskiego i karniowskiego oraz mały fragment księstwa raciborskiego (okręg miasta Bogumin/Bohumín/Oderberg). Ponadto przy Austrii pozostał fragment z Dolnego Śląska – południowa część księstwa biskupiego nysko-otmuchowskiego (Jasionik/Jeseník/Freiwaldau, Javornik/Javorník/Jauernig, Złote Góry/Zlaté Hory/Zuckmantel). Resztę zagarnął król Fryderyk II Wielki – w tym „wiana” Przemysławów: Głubczyce, Prudnik, Kietrz (część tzw. enklaw morawskich) i Hulczyn (Hluin/Hultschin).

Efektom tych gabinetowych podziałów było stopniowe zawężanie się pojęcia Górny Śląsk tylko do jego pruskiej części. Niewielka część pozostała przy Habsburgach jako Księstwo Śląskie (dotrwało tylko do 1782 roku, aby w ramach reform józefińskich zostać wcielone do Moraw). Odrębność administracyjna Śląska Austriackiego (*Österreichisch Schlesien, Rakouské Šlesko*), jak go powszechnie nazywano (formalnie *Księstwo Górne i Dolne Śląska, Herzogtum Ober- und Niederschlesien, Vévodství Horní a Dolní Šlesko*), była odbudowywana dopiero od 1861 roku w formie austriackiego Kraju Koronnego (*Kronland*), podzielonego administracyjnie na dwa okręgi: cieszyński i opawski. Stąd wykształcenie się w XIX wieku pojęcia Śląsk Opawski (*Opavské Šlesko, Troppauer Schlesien*), w którego składzie znalazła się również austriacka część księstwa nyskiego oraz Śląsk Cieszyński (*Těšínské Šlesko, Teschener Schlesien*), czyli dawne piastowskie księstwo cieszyńskie.

Prusacy używali wyłącznie terminologii, również w wymiarze administracyjnym, Śląsk oraz Śląsk Dolny i Górny, co utrzymało ten podział w czasach najnowszych, chociaż część górnośląska aż do 1815 roku nie stanowiła odrębnej jednostki administracyjnej na pruskim Śląsku (była częścią departamentu wrocławskiego). Warto dodać, że w latach 1795–1807 w skład Śląska wchodziły dwa powiaty małopolskie, pilicki i siewierski, uzyskane przez Prusy w III rozbiorze Polski, które tworzyły tzw. Nowy Śląsk (*Neu Schlesien*) – w części to obszar, który zaczęto nazywać od połowy XIX wieku Zagłębiem Dąbrowskim. Kiedy w ramach reform lat 1808–1816 utworzono Prowincję Śląską (*Provinz Schlesien*), w jej ramach powołano do życia rejencję górnośląską, którą dopiero z czasem zaczęto nazywać opolską (*Regierungsbezirk Oppeln*) – od stolicy administracyjnej, chociaż według studyjnych założeń głównym ośrodkiem miały być szybko rozwijające się industrialne Gliwice, a nie zapyziała miłościna Opole. O ostatecznym wyborze Opola jako administracyjnej stolicy nowej pruskiej jednostki administracyjnej zadecydowały głównie względy strategiczne,

bowiem Gliwice leżały zbyt blisko granicy z Imperium Rosyjskim, a w bardzo odległym uzasadnieniu pewnie kryterium historyczne. Świadczą o tym granice nowej rejencji, które zostały wykreślone ahistorycznie. Do rejencji górnośląskiej włączono bowiem zachodnie rubieże historycznego Dolnego Śląska: pruską część księstwa nyskiego oraz fragmenty księstw wołowskiego i brzeskiego z Kluczborkiem. Tak więc od początku XX wieku pojęcie Górny Śląsk identyfikowane było z pruską rejencją opolską.

W związku ze zmianami cywilizacyjnymi, w tym upowszechnieniem sekularyzowanego szkolnictwa ludowego, które stało się narzędziem ideologicznym państwa pruskiego (a od 1871 roku niemieckiego), a z czasem również monarchii austro-węgierskiej, takie postrzeganie Górnego Śląska zostało utrwalone w szerokich masach społeczeństw, a nie tylko ich elit. Stąd istniejący do dzisiaj mikroregionalny podział na Ślązaków „cysaroków” – jak byli określani poddani Habsburgów i „prusoków” – poddani Hohenzollernów.

W imię rewizjonizmu: polskiego i niemieckiego

Dalsza dezintegracja historycznego pojęcia Górny Śląsk i jego granic zaczęła szybko postępować dopiero po I wojnie światowej. Najpierw na skutek walki o przynależność tego regionu stoczonej przez Niemcy, Polskę i Czechosłowację w latach 1918–1921. W jej wyniku do Polski przyłączono wschodnie fragmenty pruskiej rejencji opolskiej i byłego austriackiego Śląska Cieszyńskiego, które zostały połączone w jedno województwo, decyzją ustawy Sejmu Ustawodawczego z lipca 1920 roku nazwanego śląskim. Na jego obszarze powstała woła papieża Piusa XI, wyrażoną w bulli *Vixitum Poloniae unitas* z 1925 roku, nowa diecezja nazwana pierwotnie również śląską, ale po protestach wrocławskiej metropolii – katowicką (włączono ją do metropolii krakowskiej).

Rewizjonizm polski w tej materii jest bardzo wyraźny. Tak jak niemiecki w nazewnictwie co najmniej półurzędowym (w latach 1922–1939 na określenie polskiego województwa śląskiego konsekwentnie używano „tymczasowego” terminu Wschodni Górny Śląsk (*Ostoberschlesien*)). Oba państwa nie pogodziły się z wersalskim podziałem Górnego Śląska, podobnie zresztą jak Czechosłowacja. Do I Republiki Czechosłowackiej inkorporowano były Śląsk Austriacki, bez wschodniej części Śląska Cieszyńskiego (czyli posługując się nomenklaturą polską – *Przedzaolzie*), a ponadto tzw. kraik hulczyński (*Hlučínsko, Hultschiner Ländchen*) z pruskiej rejencji opolskiej, które złożyły się na kraj śląski (*země Slezská*). Jednak tylko do 1928 roku, kiedy został on włączony do kraju śląsko-morawskiego (*země Moravskoslezská*).

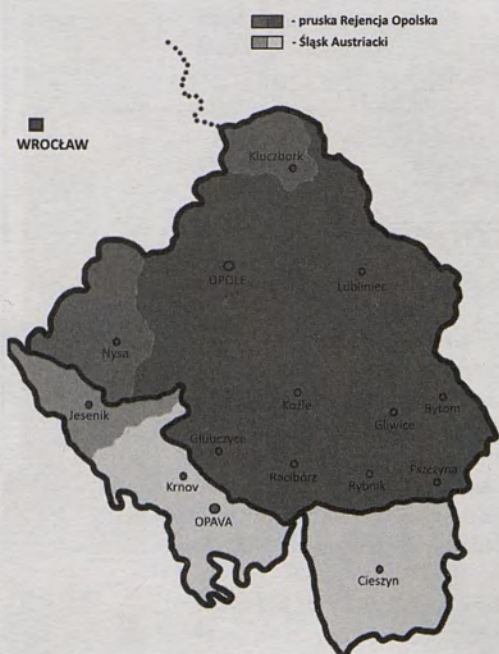
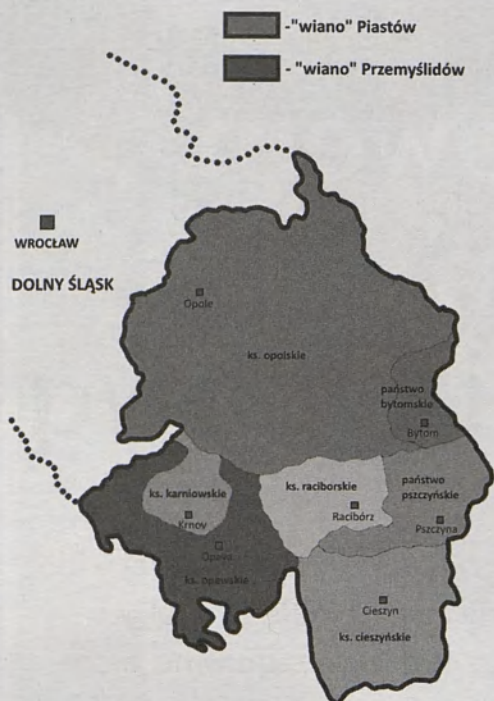
Pozostała przy państwie niemieckim większa część rejencji opolskiej w latach 1919–1938 tworzyła samodzielną Prowincję Górnośląską (*Provinz Oberschlesien*), jako część kraju Prusy (*Freistaat Preußen*), składowej części I Republiki Niemieckiej. Została ona zlikwidowana przez nazistowskie władze i wcielona do Prowincji Śląskiej. W Polsce pojawiły się wówczas dwa żywe do dziś pojęcia: Zaolzie i Śląsk Opolski. To pierwsze – na określenie fragmentu Śląska Cieszyńskiego, który nie został włączony do Polski w 1920 roku, ale który zbrojnie Polska zajęła w październiku 1938 roku. I Śląsk Opolski, czyli międzywojenna niemiecka Prowincja Górnośląska, co podkreślenia wymaga – z Gliwicami, Zabrzem i Bytomiem. Już wówczas, choć z rzadka, określana również w literaturze polskiej dziwolągiem nazewniczym na kresach zachodnich, jakim jest „Opolszczyzna”.

Reżimy zamazują podziały

Potem przyszły zmiany, będące wynikiem agresji Niemiec hitlerowskich na Czechosłowację i Polskę. W wyniku konferencji monachijskiej z września 1938 roku do rejencji opolskiej włączono kraik hulczyński, a do III Rzeszy prawie cały Śląsk Czeski, tworząc z tych ziem, bez małego zachodniego skrawka Śląska Cieszyńskiego, który pozostał przy Czechach (w Protektoracie Czech i Moraw od marca 1939 roku) Prowincję Opawską (*Provinz Troppau, vládní obvod Opava*), włączony do Okręgu Rzeszy Kraj Sudecki (*Reichsgau Sudetenland, Říšská župa Sudety*). Do polskiego województwa śląskiego wcielono Zaolzie.

Po agresji na Polskę władze hitlerowskie utworzyły okupacyjną rejencję katowicką, na którą złożyły się: polskie województwo śląskie (z Zaolziem), przemysłowe powiaty Gliwice, Bytom i Zabrze z rejencji opolskiej oraz stopniowo włączane w latach 1939–1940 zachodnie powiaty małopolskie z województw krakowskiego i kieleckiego. Przekroczona została wtedy wielowiekowa granica rzeki Brynicy. Okupacyjna rejencja katowicka została połączona w 1941 roku z rejencją opolską w Prowincję Górnośląską. W ten sposób zbudowany został przez totalitarne państwo Hitlera zarys kostiumu historycznego, w którym pojęcie Górny Śląsk zaczęło oznaczać coś zupełnie innego.

Tradycję zapoczątkowaną przez nazistów pogłębiły i rozwinęły powojenne władze nowych reżimów totalitarnych, komunistycznych. W Czechosłowacji, która odzyskała granice sprzed 1938 roku, po prze-



wrocie komunistycznym w 1948 roku zamazano pojęcie Śląsk, który w latach 1949–1960 podzielony był na dwa województwa: 1) ołomuńskie (*Olomoucký kraj*) i 2) ostrawskie (*Ostravský kraj*), a od 1960 roku tworzył z pogranicznymi ziemiami morawskimi województwo północnomorawskie (*Severomoravský kraj*). W Polsce jeszcze w latach 1945–1950 utrzymało się województwo śląskie (zwane nieprawie przez zagłębiowsko-komunistyczną ekipę Aleksandra Zawadzkiego śląsko-dąbrowskim), w skład którego wchodziły przedwojenne: polskie województwo śląskie i była niemiecka Rejencja Opolska (zwana Śląskiem Opolskim), a także część terenów nieśląskich (przede wszystkim Zagłębie Dąbrowskie), wcielonych w czasie wojny do hitlerowskiej Prowincji Górnośląskiej. Następne reformy administracyjne w Polsce – z 1950 i 1975 roku – całkowicie zerwały z historyczną tradycją nazewniczą Śląska oraz Górnego Śląska i w latach 1950–1975 obszary górnośląskie wchodziły w skład dwóch województw: 1) katowickiego – z powiększonym obszarem powiatów małopolskich i 2) opolskiego – do którego włączono dwa powiaty dolnośląskie (namysłowski i brzeski), a w latach 1975–1999 aż czterech województw (katowickiego, opolskiego, bielskiego i częstochowskiego).

Które województwo jest śląskie?

Po 1989 roku różny był przebieg odbudowy regionalnych więzów historycznych w Republice Czeskiej (od 1992 roku) i w Polsce. W Czechach zostało utrwalone prawnoustrojowe pojęcie Śląsk (z preambuły Konstytucji: *My, Obywatele Republiki Czeskiej w Czechach, na Morawach i na Śląsku*). Zostało ono umocowane również w heraldyce państwowej. W herbie Republiki Czech widzimy czarnego śląskiego orła na złotym polu. To, obok herbu Księstwa Liechtensteinu (odwołuje się do nowożytnego władztwa tamtejszych książąt nad księstwami karniowskim i opawskim), jedyne w rozumieniu prawa międzynarodowego współczesne zastosowanie symboliki heraldycznej Śląska. Obszar historycznego czeskiego Górnego Śląska od reformy administracyjnej z 2000 i 2001 roku tworzy województwo morawsko-śląskie (*Moravskoslezský kraj*) ze stolicą w Ostrawie, bo to industrialne miasto (podobnie jak w przypadku polskich Katowic) stanowi obecnie centrum administracyjne i kulturowe czeskiego Górnego Śląska. Dawne ziemie dolnośląskie skupione zostały w powiat Jeseník (*okres Jeseník*), włączony do województwa ołomuńskiego (*Olomoucký kraj*).

W Polsce w wyniku reformy administracyjnej z 1999 roku na obszarze historycznego Górnego Śląska utworzono dwie jednostki administracyjne: 1) województwo śląskie i 2) opolskie. To pierwsze, z uwagi na to, że obszary historycznie górnośląskie zajmują niespełna 50 procent jego powierzchni, powinno się nazywać śląsko-małopolskim, a to drugie – śląskim, bo połączone zostały w nim historyczne ziemie górnośląskie i dolnośląskie.

Zmiany administracyjne dokonane przez demokratyczne państwa Polskę i Czechy są tylko reformami administracyjnymi, w większym lub mniejszym wymiarze odwołującymi się do tradycji historycznej. Czy zostaną zaakceptowane przez ciągle młode historyczną tradycją społeczności tego regionu, złożone (i w Polsce, i w Czechach) z mniejszościowej ludności rodzimej i ludności napływowej, zaludniającej Górny Śląsk zwłaszcza w drugiej połowie XX wieku w wyniku masowych, przymusowych i zarobkowych migracji? Tego nie wiemy, czas pokaże. ■

Piotr Greiner

– dr hab., historyk, dyrektor Archiwum Państwowego w Katowicach

Między Krakowem a Wrocławiem, Ołomuńcem i Opawą

Mam przed sobą dwie mapy kościelne Górnego Śląska. Na pierwszej widać granice diecezjalne z początku, na drugiej – z końca ubiegłego wieku. Mapy różnią się tak bardzo, że na pierwszy rzut oka dostrzegam na nich tylko kilka wspólnych cech: zarys regionu, wijącą się Odrę i najważniejsze miejscowości. Gdzie są granice struktur kościelnych? Zmieniły się. Nie po raz pierwszy.

20

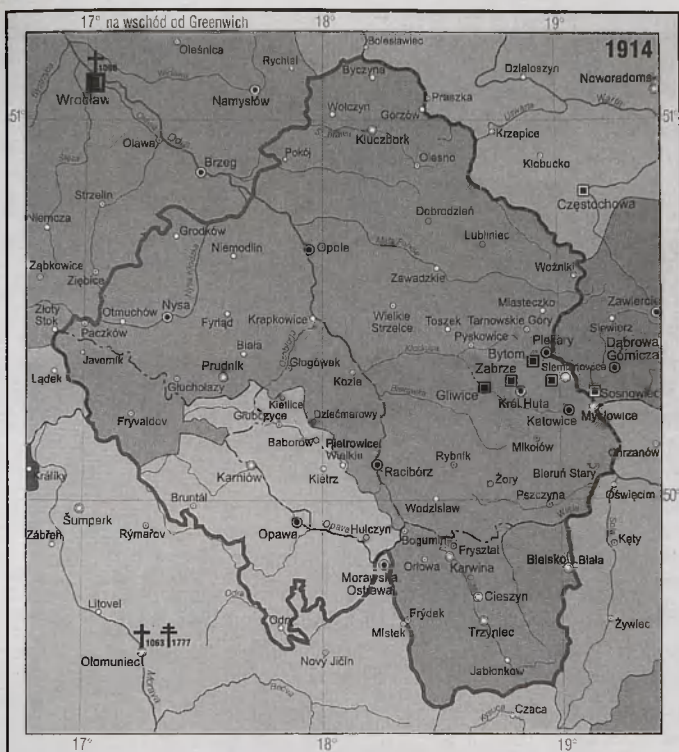
Nie znamy dokładnego przebiegu pierwotnych granic diecezji wrocławskiej. Należy przypuszczać, że pomiędzy rokiem 1000 (utworzenie biskupstwa) a 1155 (bulla papieża Hadriana IV) zmieniły się nieznacznie, może wcale. Aż po przełom XVIII-XIX wieku dokonano niewielu przesunięć. Największą stratą, jaką ponieśli biskupi Wrocławia, była ziemia opawska (wraz z Prudnikiem), którą już w XI stuleciu utracili na rzecz morawskiego Ołomuńca. Prudnik jednak powrócił pod władanie śląskich biskupów, ale dopiero w roku 1629.

„Transgraniczne” diecezje, dekanaty i parafie

We Wrocławiu co jakiś czas odradzał się pomysł zerwania zależności od metropolii gnieźnieńskiej, a także oderwania od Krakowa jego śląskich dekanatów – bytomskiego i pszczyńskiego, gdzie ostatnią wizytację zleconą przez biskupa krakowskiego przeprowadzono w latach 1792-93. Jak wtedy kształtowały się granice?

Po stronie krakowskiej listę parafii otwierała od północy Lubsza. Dalej, posuwając się ku południowi, do Krakowa należały: Żyglin, Stare Tarnowice i Repty. Następnie, od wysokości Rokitnicy, granicę wyznaczał potok o kilku nazwach: Rokitnicki, Mikulczycki, Żernicki lub Żerniczanka. Ten niewielki dopływ Bytomki na południe od Stolarzowic rozdzielał na dwie części Rokitnicę. Do diecezji krakowskiej i parafii w Miechowicach należała wschodnia część wsi, a – wedle słów wizytatora – „drugie pół należy do Wieszowy diecezji wrocławskiej”. Kolejnymi granicznymi parafiami były: Mikulczyce, Biskupice, Bielszowice, Kochłowice, Mikołów, Mokre, Woszczyce, Orzesze, Suszec, Brzeźce, Wiśla Niemiecka (Mała). Odtąd granica przebiegała Wisłą ku wschodowi, pozostawiając po stronie krakowskiej parafie: Pszczyna, Ćwiklice i Miedźna.

Ciekawie ukształtowała się granica w dekanacie bielskim. Na zachód od Białki rozciągały się tereny diecezji wrocławskiej, na wschód – krakowskiej, z jednym wyjątkiem. Komorowice Śląskie należały do parafii w Komorowicach Krakowskich (czyli diecezji krakowskiej), podobnie jak niektóre przysiółki w okolicach dzisiejszych Czechowic-Dziedzic. To osobliwe, że owe skrawki śląskiej ziemi „nieśląską” przynależność diecezjalną zachowały aż do czasu powstania diecezji bielsko-żywieckiej u schyłku XX wieku.



Kościół katolicki na Górnym Śląsku w XX wieku

Skala 1:1 500 000 (1 cm – 15 km)

- +₁₉₁₂ siedziby diecezji wraz z datą utworzenia
Diözesensitze mit dem Gründungsdatum
- +₁₉₁₂ siedziby archidiecezji wraz z datą utworzenia
Erzdiözesensitze mit dem Gründungsdatum
- granice państwowe
Staatsgrenzen
- granice Górnego Śląska
Grenze Oberschlesiens
- - - granice miast / Stadtgrenzen

1914

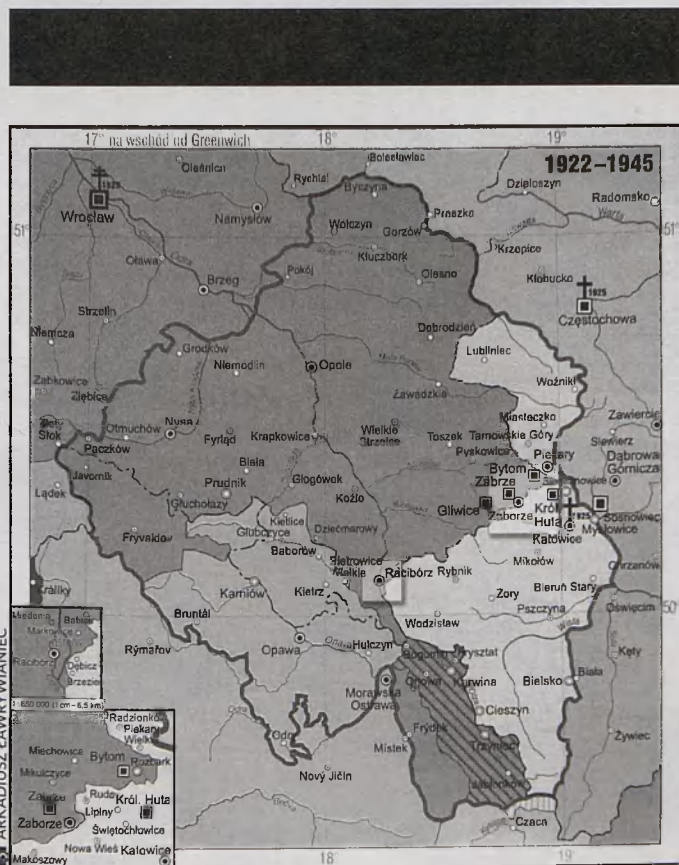
- archidiecezja poznańska (metropolia gnieźnieńska)
Erzdiocese Posen (Kirchenmetropole Gnesen)
- archidiecezja olomuniecka / Erzdiocese Olmütz
(Kirchenmetropole Mähren)
- archidiecezja praska / Erzdiocese Prag
- diecezja wrocławska (zależna od Watykanu)
Diözese Breslau (dem Heiligen Stuhl unterstellt)
- diecezja krakowska (zależna od Watykanu)
Diözese Krakau (dem Heiligen Stuhl unterstellt)
- diecezja kielecka (metropolia warszawska)
Diözese Kielce (Kirchenmetropole Warschau)
- diecezja kujawsko-kalisz (archidiec. warszawska)
Diözese Kujaw-Kalisz (Kirchenmetropole Warschau)
- diecezja hradecka (metropolia czeska)
Diözese Königgrätz (Kirchenmetropole Böhmen)
- diecezja litrzańska (metropolia ostrzyhomka)
Diözese Neutra (Kirchenmetropole Gran)
- diecezja spiska (metropolia egerska)
Diözese Zips (Kirchenmetropole Erlau)

1922–1945

- archidiecezja poznańska (1925 gnieźnieńska)
Erzdiocese Posen (1925 Kirchenmetropole Gnesen)
- archidiecezja olomuniecka
Erzdiocese Olmütz
- archidiecezja praska / Erzdiocese Prag
- diecezja katowicka (śląska) / Diözese Kattowitz
- diecezja wrocławska (od 1929 archidiecezja)
Diözese Breslau (seit 1929 Erzdiocese)
- diecezja krakowska (od 1925 archidiecezja)
Diözese Krakau (seit 1925 Erzdiocese)
- diecezja częstochowska (od 1925 archidiecezja)
Diözese Tschenstochau (seit 1925 Erzdiö.)
- diecezja hradecka (metropolia czeska)
Diözese Königgrätz (zur böhmischen Metropole)
- diecezja litrzańska (metropolia ostrzyhomka)
Diözese Neutra (Kirchenmetropole Gran)
- diecezja spiska (metropolia egerska)
Diözese Zips (Kirchenmetropole Erlau)
- zaolziańskie tereny archidiecezji wrocławskiej
włączone czasowo (10.1938 – 01.1940) do polskiej
diecezji katowickiej / Olsagebiet der Erzdiocese
Breslau, zeitweise zur Diözese Kattowitz
(10.1938 – 01.1940)
- tereny słowackiej diecezji litrzańskiej
(parafie Czarne i Skalité) włączone do diecezji
katowickiej w styczniu 1939 r.
Teile der slowakischen Diözese Neutra
(Pfarrgemeinden Czarne und Skalité),
die im Januar 1939 an die Diözese
Kattowitz angeschlossen wurden

Użyte skróty: / Abkürzungen:

- Ch. Chorzów, Königshütte
- Cz. Czeladź
- M. Mysłowice, Myslowitz
- R.Śl. Ruda Śląska, Ruda
- S.Śl. Siemianowice Śląskie, Siemianowitz
- Ś. Świątchłowice, Schwientochlowitz



Śląskie tereny diecezji krakowskiej pozostawały poza granicami państwa polskiego, ale przez długi czas były „transgraniczne” (śląsko-małopolskie). Dekanat bytomski wyłonił się ze średniowiecznego dekanatu sławkowskiego, a więc w dzisiejszej terminologii – „częściowo zagłębiowski” (w jego granicach znajdowały się Czeladź, Koziegłowy, a nawet Chrzanów i Olkusz). Potem siedzibę dekanatu przeniesiono do Bytomia. Ostateczny podział na dwie odrębne jednostki (bytomską i sławkowską) nastąpił dopiero w 1748 roku. Można więc powiedzieć, że władza dziekana z Bytomia rozciągała się na obszarze trzech państw (jeśli za twór „państwowopodobny” przyjmiemy, należące do biskupów krakowskich, księstwo siewierskie).

Nieco mniej skomplikowane są dzieje dekanatu pszczyńskiego, który w połowie XIV wieku wyłonił się z dekanatu oświęcimskiego (uwaga, wówczas jeszcze śląskiego).

Oprócz „transgranicznych” dekanatów istniały też na Górnym Śląsku „transgraniczne” parafie. Funkcjonowały w „krakowskiej części” regionu, i to w miejscu, w którym najmniej byśmy się tego spodziewali – w późniejszym okręgu przemysłowym, nad Brynicą i Przemszą. Największa z nich była parafia myśłowicka. Oto opis jej granic z 1792 roku, znajdujący się w biskupich protokołach wizytacyjnych: „Kościół farny myśłowicki [myśłowicki] prawem farnym ma w Śląsku miasteczko Myśłowice, jako też wsi średnich cztery: Brzenczkowice, Brzezinka, Roździeń i Szopienice, a mniejszych dwie, Janów [Janów] i Słupna zwane, wszystkie oraz z miasteczkiem w powiecie pszczyńskiego państwa w Śląsku leżące; w Królestwie Polskim zaś ma dwa miasteczka: Modrzejów i Niwkę, a wsi pięć: Porąbkę, Klimontów, Zagórze, Siedlec [dziś Sielec] w województwie i powiecie krakowskim leżące. Pogonią [dziś Pogoń] zaś położoną w księstwie siewierskim”.

Inną śląsko-małopolską parafią był leżący nad Brynicą Kamień (dziś Brzozowice-Kamień, część Piekar). Należały doń Dąbrówka (Dąbrówka Wielka), Brzozowice (ówczesny powiat bytomski) oraz Bobrowniki i Żychlice (dawny powiat i księstwo siewierskie). Natomiast na galicyjską stronę nieznacznie sięgała jurysdykcja *farorza* z Dzieckowic. Do tamtejszej parafii należały po „polskiej stronie” trzy chałupy osady Biały Brzeg-Łęg. Leżąca na południe od Dzieckowic parafia w Chełmie była natomiast całkowicie małopolska, ponieważ osada ta wraz z Kosztowami i Imielinem została włączona do Śląska dopiero w pierwszych latach XIX wieku!

Po III rozbiore Polski

Obszary dawnego biskupiego księstwa siewierskiego, rejonu Częstochowy i Pilicy, a także Chełm bullą papieską z 1800 roku weszły w skład Komisariatu Siewierskiego. Tereny te wyłączono spod władzy biskupa krakowskiego i przekazano biskupowi wrocławskiemu. Jednak już w roku 1807 ziemie te weszły w skład Księstwa Warszawskiego. Granice diecezjalne dostosowano więc ponownie do politycznych.

W 1811 roku nastąpiła wymiana pomiędzy zainteresowanymi szafarzami diecezji krakowskiej i wrocławskiej. Biskup Hohenlohe-Bartenstein przekazał biskupowi Turskiemu jurysdykcję w Komisariacie Siewierskim, ten zaś „zrewanżował się” dekanatami bytomskim i pszczyńskim. Było to preludium do trwałego włączenia tych ostatnich pod władzę Wrocławia. Kilka lat później do dekanatu pszczyńskiego powróciła też parafia Chełm (wraz z Imielinem i Kosztowami).

W 1821 roku sprawa Bytomia i Pszczyzny została ostatecznie zaakceptowana przez papieża w bulli *De salute animarum*. Na jej mocy zerwana została formalna zależność Wrocławia od Gniezna, która trwała od roku 1000. Od teraz biskupi wrocławscy mieli podlegać już tylko Stolicy Apostolskiej.

Aż po Bałtyk i Berlin

Na początku ubiegłego stulecia diecezja wrocławska (od 1929 roku archidiecezja) obejmowała olbrzymie obszary, sięgając Bałtyku, Berlina i Budziszyna. W jej granicach znajdowała się też większość niemieckiego i austriackiego Górnego Śląska. Niewielka część regionu należała do diecezji ołomunieckiej (Karniów, Opawa i Bruntal, leżące po stronie austriackiej) albo miała status komisariatu biskupiego (Głubczyce, Hulczyn i Kietrz – po stronie pruskiej).

Przed I wojną światową książę biskup, kardynał Georg Kopp, w sprawozdaniu dla papieża podkreślił, że sprawuje rząd dusz na niemal 1/3 terytorium Prus. Ale już kilkanaście lat później (za czasów ostatniego niemieckiego biskupa Wrocławia, kardynała Bertrama) diecezja zaczęła się kurczyć. Potem ten proces przybrał na sile. Pod koniec XX wieku do Kościoła wrocławskiego należały już tylko skrawki Górnego Śląska.

Najpierw, w roku 1922, w dotychczas pruskiej części diecezji wrocławskiej powstała Administracja Apostolska (podległa papieżowi), która trzy lata później została przekształcona w diecezję ze stolicą



Die Katholische Kirche in Oberschlesien im 20. Jh.

Maßstab 1:1 500 000 (1 cm – 15 km)

1945-1991

- diecezja katowicka (metropolia krakowska)
- Diezese Kattowitz (Kirchenmetropole Krakau)
- diecezja opolska od 1972 r.
- Diözese Oppeln seit 1972
- diecezja częstochowska
- Erzdiözese Tschenstochau
- diecezja niżańska (metropolia ostrzyżomska)
- Diözese Nitra (Kirchenmetropole Gran)
- diecezja spiska (metropolia egerska)
- Diözese Zips (Kirchenmetropole Erlau)
- archidiecezja poznańska
- Erzdiözese Posen
- archidiecezja wrocławska
- Erzdiözese Breslau
- archidiecezja olomuniecka
- Erzdiözese Olmütz
- archidiecezja krakowska
- Erzdiözese Krakau

tereny archidiecezji praskiej od 1945 r. w administracji archidiecezji wrocławskiej i włączone do niej w 1972 r. / Teile der Erzdiözese Prag, die seit 1945 von der Erzdiözese Breslau verwaltet und 1972 an diese angeschlossen wurden

tereny diecezji olomunieckiej (dekanat Kietrz) w latach 1945-1972 w Administracji Apostolskiej Śląska Polskiego. W 1972 r. włączone formalnie do diecezji opolskiej / Teile der Diözese Olmütz (Dekanat Katscher), die 1945-1972 zur Apostolischen Administration für das Oppelner Schlesien und seit 1972 zur Diözese Oppeln gehörten

tereny archidiecezji wrocławskiej przekazane w 1978 r. diecezji olomunieckiej

Teile der Diözese Breslau, die seit Mai 1945 zur Apostolischen Administration Tschechisch-Tschen und 1978-96 zur Diözese Olmütz gehörten

23



1992-2008

- diecezja bielsko-żywiecka od 1992 r.
- Diözese Bielitz-Zywiec seit 1992
- diecezja gliwicka od 1992 r.
- Diözese Gleiwitz nach 1992
- archidiecezja katowicka od 1992 r.
- Erzdiözese Kattowitz nach 1992
- diecezja kaliska od 1992 r. (abpstwo poznańskie)
- Diözese Kalisch nach 1992 (zu Erzbm. Posen)
- diecezja opolska (metropolia górnośląska)
- Diözese Oppeln (zu Erzdiözese Kattowitz)
- archidiecezja wrocławska po 1992 r.
- Erzdiözese Breslau nach 1992
- diecezja świdnicka od 2004 r.
- Diözese Schweidnitz seit 2004
- diecezja sosnowiecka od 1992 r.
- Diözese Sosnowiec seit 1992
- archidiecezja krakowska po 1992 r.
- Erzdiözese Krakau nach 1992
- archidiecezja częstochowska po 1992 r.
- Diözese Tschenstochau nach 1992
- diecezja ostrawsko-opawska od 1996 r.
- Diözese Ostrau-Troppau seit 1996
- archidiecezja olomuniecka
- Erzdiözese Olmütz
- diecezja hradecka
- Diözese Königgrätz
- diecezja żylińska od 2008 r.
- Diözese Zilina seit 2008
- diecezja spiska (metropolia koszycka)
- Diözese Zips (Kirchenmetropole Košice)

w Katowicach. W jej skład weszły także cztery dekanaty polskiej części cieszyńskiego Wikariatu Generalnego, podległego do tej pory Wrocławowi (co ciekawe, część czechosłowacka była nadal podporządkowana Wrocławowi).

Granica diecezji katowickiej (*vel* śląskiej), dostosowana do granic politycznych, odcięła – na kilka lat – niektórych parafian od macierzystych kościołów. Tak było m.in. w przypadku Pawonkowa. Podzielono wiele parafii. Od północy patrząc, były to: Lubecko, Repty Stare, Radzionków (św. Wojciecha), Królewska Huta (św. Magdaleny), Ruda (św. Józefa), Lyski i Brzeziny (kościół parafialny po stronie polskiej) oraz: Tworóg, Bytom (parafia NMP), Rudy, Markowice, Tworów i Krzyżanowice (kościół parafialny w Niemczech).

Również na granicy z Czechosłowacją doszło po podziale Śląska Cieszyńskiego (1920 rok) do zerwania więzi między wiernymi a ich dawnymi kościołami i miejscowościami parafialnymi (uwaga, mówimy tylko o parafiach katolickich). Od północy patrząc, były to: Zebrzydowice, Pogwizdów, Cieszyn, Puńców i Leszna Górna (przysługę Polsce) oraz Jabłonków (przysługę Czechosłowacji). W Polsce znalazło się również kilka chałup z parafii Frysztat. Zarówno po polskiej, niemieckiej, jak i czechosłowackiej stronie doszło później do reorganizacji m.in. granic parafii oraz regulacji spraw majątkowych.

Po aneksji Zaolzia (październik 1938 roku) tereny włączone do województwa śląskiego zostały również podporządkowane biskupowi z Katowic. Prócz zachodniej części Cieszyńskiego Polacy wkrótce objęli skrawek Słowacji zamieszany przez polskojęzycznych górąli czadeckich (Skalite, Świerczynowiec i fragmenty wsi Czarne). Obszar ten wyłączono z diecezji nitrańskiej i włączono do katowickiej, ale – to ciekawostka – bez istniejących w tych wsiach kościołów parafialnych w Czarnej i Skalitem (pozostały przy niepodległej teraz Słowacji, gdyż zlokalizowane były na południe od przysługanej Polsce linii kolejowej, a o nią oparła się nowa granica). W styczniu 1940 roku parafie zaolziańskie i czadeckie powróciły do dawnych właścicieli.

Reformy Pawła VI i Jana Pawła II

Diametralne zmiany terytorialne i ludnościowe, utrata terenów wschodnich przez Niemcy i przejęcie ich przez Rzeczpospolitą Polską były przyczyną utworzenia nad Odrą i Bałtykiem nowych struktur terytorialnych. Jedną z nich była Administracja Apostolska Śląska Opolskiego (z siedzibą w Opolu), która objęła niemal cały dawny niemiecki Górny Śląsk (byłą rejencję opolską) oraz skrawki Dolnego Śląska na północ i zachód od Grodkowa. Włączono doń również należące przez setki lat do diecezji ołomunieckiej dekanaty Branice, Kietrz i Głubczyce. Przy archidiecezji wrocławskiej pozostały już tylko parafie Szymonków i Wierzbica Górna w powiecie kluczborskim.

Przez 27 lat Watykan zwlekał z decyzją o utworzeniu w Opolu i na innych terenach poniemieckich pełnoprawnych diecezji. Wkrótce po podpisaniu polsko-zachodnoniemieckiego układu o normalizacji stosunków i uznaniu granicy na Odrze i Nysie papież Paweł VI zdecydował się na unormowanie statusu administracji kościelnej. W 1972 roku powstała m.in. diecezja opolska (podporządkowana metropolii wrocławskiej).

W roku 1992 dokonała się kolejna reforma struktur diecezjalnych. Powstała wówczas m.in. diecezja gliwicka. Zgodnie z bullą Jana Pawła II *Totus Tuus Poloniae Populus*, do biskupstwa gliwickiego włączono z diecezji opolskiej dekanaty: Bytom, Bytom-Miechowice, Gliwice, Gliwice-Łabędy, Kuźnia Raciborska, Pyskowice, Toszek, Zabrze, Zabrze-Mikulczyce, zaś z diecezji katowickiej dekanaty: Lubliniec, Sadowa, Woźniki, Tarnowskie Góry-Zachód, Tarnowskie Góry-Centrum oraz część dekanatu Piekary (parafie Nowe Chechło, Świerkianiec, Orzech i Bytom-Sucha Góra). Zmieniła się też przynależność metropolitalna diecezji górnośląskich. Katowice stały się siedzibą archidiecezji i stolicą metropolii górnośląskiej (katowickiej). Sufraganami arcybiskupa katowickiego zostali biskupi w Gliwicach i Opolu.

Bulla papieska odebrała Kościołowi śląskiemu ziemię cieszyńską. Po niemal tysiącu lat przynależności kościelnej do Śląska tereny ówczesnych dekanatów Bielsko-Centrum, Bielsko-Zachód, Cieszyn, Czechowice, Istebna, Skoczów, Strumień i Wisła zostały przekazane do nowej, śląsko-małopolskiej diecezji bielsko-żywieckiej i przyłączone do metropolii krakowskiej.

W tym samym 1992 roku Kościół śląski poniósł na Górnym Śląsku jeszcze jedną stratę terytorialną. Graniczące z Wielkopolską i ziemią wielką, najbardziej na północ wysunięte obszary diecezji opolskiej – dekanat wołczyński i pół dekanatu gorzowskiego – zostały przekazane nowo powstałej diecezji kaliskiej.

Także w czeskiej części Śląska doszło do podporządkowania terenów archidiecezji wrocławskiej Kościołowi czeskiemu. Do utworzenia Administracji Apostolskiej (z siedzibą w Czeskim Cieszynie)

Na Górnym Śląsku kontrreformacja była bardzo skuteczna. Walkę o rząd dusz wygrał Kościół rzymski i tego stanu rzeczy nie zmieniły nieudana kolonizacja fryderycjańska z XVIII wieku i późniejszy napływ pruskich urzędników i inteligencji (w dużej mierze protestantów) do ważniejszych miejscowości regionu.



doszło dopiero w 1947 roku. W roku 1978 włączono ją do diecezji ołomunieckiej, a w 1996 roku Jan Paweł II utworzył nową diecezję ostrawsko-opawską. W granicach tej nowej struktury znalazły się dawny Śląsk Zachodni (Opawskie wraz z czeskimi terenami dawnego księstwa nyskiego), czeska część Śląska Cieszyńskiego oraz przyległe tereny morawskie po Rymarzów, Nowy Jiczyn i górną część doliny Beczwy (wraz z międzyrzeczem w widłach Odry i Ostrawicy).

Po reformacji, kontrreformacji i wojnach

W XVI i XVII wieku śląskie kościoły katolickie masowo zamieniano na protestanckie zbory. Wyznawcami nauk Lutra stali się mieszkańcy wielu miast, w których rady miejskie lub właściciele prywatni wprowadzali nową religię. W 1628 roku na terenie, który dziś nazywamy okręgiem przemysłowym, w rękach katolików pozostawały jedynie kościoły w Gliwicach, Starym Chorzowie, Michałowicach oraz pod Bytomiem (św. Małgorzaty). W dekanacie pszczyńskim katolicką wyspą były Łędziny.

Na Górnym Śląsku kontrreformacja była bardzo skuteczna. Walkę o rząd dusz wygrał Kościół rzymski i tego stanu rzeczy nie zmieniły nieudana kolonizacja fryderycjańska z XVIII wieku i późniejszy napływ pruskich urzędników i inteligencji (w dużej mierze protestantów) do ważniejszych miejscowości regionu.

Współcześni górnośląscy protestanci to przede wszystkim członkowie Kościoła ewangelicko-augsburskiego. Niezmiennie jest ich najwięcej na ziemi cieszyńskiej, po obu stronach polsko-czeskiej granicy. W okolicach Kluczborka, gdzie przed wojną było zaledwie kilka katolickich wsi, dziś wskutek wysiedleń proporcje wyznaniowe uległy odwróceniu. Obecnie jest tam tylko kilka parafii ewangelickich, częściowo zasiedlonych przez... *Cieszynioków*.

Na Górnym Śląsku funkcjonują dwie diecezje augsburskie – rozległa katowicka, obejmująca tereny od Brzegu po Medykę (41 parafii, z których tylko pięć leży poza Górnym Śląskiem), oraz niewielka, ale obfitująca w parafie (22) i wiernych diecezja cieszyńska.

Po 1945 roku na Górnym Śląsku pojawiła się również pewna liczba grekokatolików (unitów). Liturgię w ich obrządku sprawuje się w Nysie, Opolu i Gliwicach. W tym ostatnim mieście znajduje się też siedziba parafii katolickiej obrządku ormiańskiego.

Na koniec parę słów o górnośląskich Żydach. Ze względu na nietolerancyjną politykę habsburską nigdy nie było ich tu zbyt wielu, choć zdarzały się okresy, gdy liczba wyznawców judaizmu, zwłaszcza w miastach, była znaczna. Siedzibą najstarszej gminy żydowskiej w regionie była Biała Prudnicka. W XIX i XX wieku żyjący nad Odrą Żydzi stanowili mniejszość wyłącznie w znaczeniu religijnym, a nie narodowym. W większości zasymilowali się z Niemcami i za Prusaków (albo Niemców) się uważali. Ich chrześcijańscy pobratymcy zgutowali im podczas ostatniej wojny taki sam los, jak pozostałym Żydom europejskim. Większość synagog została zniszczona przez nazistów, a niemieckich Żydów po 1945 roku zastąpili nieliczni już Żydzi polscy. Współcześnie na Górnym Śląsku istnieją tylko dwie gminy żydowskie: w Katowicach (z filiami w Bytomiu i Gliwicach) oraz w Bielsku. ■

Marcin Kordecki

– autor projektów edukacyjnych i popularyzatorskich, slawista

Ile jest śląskich gwar
i wewnętrznych
granic w obrębie
„gwary śląskiej”
(dialektu, języka
in statu nascendi)?
W prasowych
i naukowych
polemikach
pojawiała się liczba
jedenastu, niekiedy
trzynastu. Według
mnie – błędna.

Gōdōmy
po ślōnsku

TEATR

Artur Czesak

Śląszczyzna dzieli czy łączy?

Gdy pokazuje się – na przykład – rybniczanom Olesno, a mieszkańcom Świętochłowic chociażby Syrynię bądź zaolziański Jabłonków, i mówi: „Tam tyż sōm Ślōnzoki”, dominuje taka oto reakcja: „Ja, ja, ale to u nos som...”. Czy mamy zatem do czynienia z językową i kulturową jednością? Może jednak wielością?



W nauce i publicystyce współwystępują tezy sprzeczne aż do skrajności. Można zatem przeczytać, że: a) Śląsk sprzed 1945 roku wybitnie odcina się jako formacja kulturowa, więc i językowa, aż do niemożności zrozumienia przez „typowego Polaka”, co mówi „autochton”; b) różnice między mową śląską a sąsiednimi polskimi dialektami oraz polszczyzną literacką są niewielkie, „nie ma ani jednej cechy dialektu śląskiego, która by go różniła od innych dialektów (...), nie ma ani jednej cechy gramatycznej tylko śląskiej. Ani jednej” (Jan Miodek).

Poloki, Szwaby, Cysaroki i inni

W ślad za tym idą kolejne diametralne różnice pojęciowe: używa się quasi-terminu „gwara śląska” o nieokreślonym, więc domyślnie maksymalnym zasięgu terytorialnym, czyli od Jabłonkowa po Kluczbork i od Katowic po Racibórz, Białą Prudnicką i Dziadową Kłodę. Inna rzecz, że są miejsca, gdzie wiadomo, że „tu” mieszkają *Poloki* (*gorole*), a „tam” – „bracia Górnoślązacy” (w okresie patriotycznych zrywów) lub *Szwaby* i *Hanysy* (bywa, że na co dzień).

Są też *Cysaroki* (to ci z dawnego Śląska Austriackiego). Oni zaś w oczach wielu „pruskich” Ślązaków to ludek trochę prosty, trochę śmieszny, zaciągający z czeska, w znacznej mierze ewangelicki, częściowo *gorolski* i *wałaski* (tzn. zajmujący się do niedawna lub wciąż górską gospodarką pasterską). Zapomina się o Opawie i Karniowie, które jako ośrodki władzy książęcej łączyły śląskość z obszarami morawskimi i łaskimi. Kto pojedzie do Tworkowa lub Borzucina na ziemi raciborskiej, usłyszy „przejęściowość” tamtejszej mowy, bo nie ma w niej napięcia między różnymi systemami językowymi (choć były między spierającymi się o kształt granicy polsko-czechosłowackiej dwoma „bratnimi państwami socjalistycznymi”). A bliskość geograficzna wcale nie musi wzmacniać przyjaźni i braterskich uczuć. Granica państwowa (prusko-austriacka, polsko-czechosłowacka, polsko-czeska) przecięła powiat raciborski, księstwo cieszyńskie, tworząc nowe tożsamości i nowe bariery.

100 lat dla języka to stosunkowo niewiele, ale w obszarze pamięci – cała epoka. Odeszły pokolenia, które były świadkami pierwszej wojny; powoli najstarszym pokoleniem staje się to, którego pamięć sięga ledwie roku 1945. Obszar „łaski” czy „hulczyński” (w Czechach) został zdekomponowany, choć siłą inercji i wolą pokolenia wnuków próbuje się odradzać. Mieszkańcy Zaolzia (żyjący w granicach wyznaczonych w roku 1938) konstatują dziś nie bez smutku, że mimo pielęgnowania swej kultury i nazywania jej polską nie są przez „Polaków z Polski” uznawani za swoich, bo „brzmią jak Czesi”. Ślązacy „katowiccy” podzielają tę opinię. Różnice i granice wyznaniowe też oddziałują na język. Katolicy krzyczą: *Jezusie, Maryjo!*, ewangelicy zaś mówią: *Pón Tatulek*, choć niewielu „innych Ślązaków” wie, że myślą wtedy o pastora ze swojej parafii.

Jak Gołęszycy?

Jakimi językami mówili (i mówią) Ślązacy? Spróbujmy porównać dawne świadectwa – Tacyta, Pliniusza i późniejszych „silezjografów” – z badaniami współczesnych historyków, używających dronów do odnajdywania anomalii terenowych, pod którymi mogą się kryć pradawne grodziska. Jestem pewien, że owi historycy kiedyś na nowo przeczytają notatkę Geografa Bawarskiego (z IX wieku) i może odnajdą wymienione przez niego siedziby pradawnych ludów (zapisanych jako *Sleenzane*, *Dadosesani*, *Lupiglaa*, *Opolini* i *Golensizi*). Kiedy próbujemy ją rzutować na dzisiejszy układ wsi, miast i dialektów, otwiera się pole do fascynujących spekulacji, które nie zawsze muszą być irracjonalne. Zobaczmy na przykład, że południowy Śląsk mówi, *godo* i *ôzprawio*, *śniodani*, *kozani*. To końcowe -i łączy Cieszyn, Jastrzębie i Rybnik; jest ważnym faktem językowym, może ważniejszym niż zmieniające się na tamtym terenie granice księstw i wolnych państw stanowych. Nie jest to cecha bardzo wyrazista, więc jej nie rugowano, jak ustępującej szerokiej samogłoski nosowej *ā* lub mazurzenia, które w ciągu stulecia znacznie zmniejszyły swój zasięg. Południowośląskie *przoci* („kochanie”) może mieć ładnych kilkaset lat i być wskaźnikiem dawnych układów etnicznych.

Pielęgnowanie kolektywistycznych wzorców życia sprzyja unifikacji i konserwacji języka. Są jednak zupełnie inne elementy językowe, których relacje podważają pięknie nam się tu rysujące teorie o trwaniu Gołęszyców. Stare słowo *lacny* („tani”) wchodzi w układ, obejmując dawne księstwo pszczyńskie, ale jego zasięg nie ma już tej klarowności, ponieważ zahacza o Kozielskie, a nawet sięga Hanuska pod Tarnowskimi Górami. Brzmiące z czeska *wszecko* („wszystko”) idzie zachodnim krańcem ziemi górnośląskiej aż po Stare Siołkowice koło Opola. Bezradnymi czyni nas zasięg dyftongicznej (dwugłoskowej) wymowy dawnego a długiego, brzmiącego jak [ou]: *trōwa* („trawa”), *ôd Ôpolô* („od Opola”). Ta wymowa sięga w naszej części Słowiańszczyzny od Raciborza i Opolskiego przez znaczne połacie Wielkopolski po Tucholę. I nie wiem, o czym świadczy...

Jeśli miałbym wskazać na jakąś różnicę między Śląskiem „wiejskim” a „metropolitalnym”, (post)industrialnym, to jest to zasiedzenie i zakorzenienie tych, co przetrwali wojny, wysiedlenia, nie zdecydowali się na emigrację. W miastach (od plebiscytu w 1922 roku) dochodziło do przemieszczania i przemieszania się ludności. Tak silne zmiany krajobrazu i układów komunikacyjnych z pewnością pozacierały wiele dawniejszych granic. Chyba nic nie wynika dziś z tego, że w połowie XVIII wieku *Holemba* (dziś część Rudy Śląskiej) była wsią graniczną między księstwem opolskim a pszczyńskim. Rozwój górnictwa i przemysłu sprawił, że nie mamy tu do czynienia z ludnością osiadłą od ponad trzech stuleci, co gdzie indziej dokumentują księgi parafialne.

Ile jest „gwar”?

Ci z południa mówią o twardej mowie mieszkańców Śląska „czarnego”, rzadko badanej przez lingwistów. Z kolei mieszkańcy Rudy Śląskiej, Chorzowa i Bytomia w swej większości niewiele wiedzą o kulturze wiejskiej, „ludowej” i takich tradycyjnych mikrokosmosach jak Bojszowy na ziemi pszczyńskiej czy Rzuchów w powiecie raciborskim. Wiele osób z Katowic czy Gliwic rozbrajająco pyta, czy Lubliniec to Śląsk.

„Opolszczyzna” zaś jest bytem odrębnym z powodu odmiennej (zaledwie od 1922 roku) przynależności państwowej, powojennego składu narodowościowego i deklaracji zasiedziałyich mieszkańców. Czego chcieć od prostych ludzi, skoro w konkursie na „Ślązoka Roku” uczestniczka z Jaworzynki była potraktowana nawet przez elity jak mówiący niezrozumiałym narzeczem egzotyczny eksponat etnograficzny?

Wiedza potoczna o podziałach językowych jest fragmentaryczna, zdominowana przez słownictwo, szczególnie przez eksponowanie elementów niemieckich. Naukowa dialektologia uznaje, że leksyka zawsze jest labilna, więc kładzie większy nacisk na dane systemowe. Tropi dawne granice, zapisuje miejsca występowania archaicznych form *łezka* i *jegła*, jotę w wyrazie *niejsie* („niesie”), zasięg końcówki narzędnika *-oma*, bo to elementy odróżniające mowę śląską od wielkopolskiej i małopolskiej. Wspomnijmy też „sycenie” (mazurzenie) i końcowe *-k* w formach *widziałak*, *na nogak*, wskazujące na łączność z Małopolską (a występujące np. w Łędzinach). To dowód na to, że historyczna granica diecezji krakowskiej i wrocławskiej, w roku 1000 wyznaczona na podstawie podziałów terytoriów plemiennych, wciąż jest „słyszalna” w języku! Ale nie będę udowadniać mieszkańcom Siemianowic czy Radzionkowa, że są Małopolanami, a „tańczących krakowiaka” mieszkańców Przeciszyna koło Brzeszcz nie będę namawiał do „wpięrania śląskości”.

Na podręcznikowych mapach kilka lat temu przestano zaznaczać, że Katowice leżą na terytorium dialektu małopolskiego. Duże różnice dotyczą pradawnych samogłosek nosowych, których w Katowicach jakoby nie ma wcale, zaś pod Opolem jest ich kilka, z nosowymi *a*, *o* i *y* na eksponowanych pozycjach, np. *Juz nie wiã, co jô mô z ty chopy*. Ale i słowa nam coś mówią. W Mysłowicach usłyszymy, że rower to *rower*, ale i *koło*. Wielu pokpiwa z Nowego Śląska (utworzonego po III rozbiórze Polski) i *Altreichu* jako wymysłów pruskiej i późniejszej propagandy. Warto zajrzeć do niedużej wioski Skałbani (dziś w gminie Łazy, powiat zawierciański). Pokazano mi w niej dzisiejszą granicę powiatów (czyli dawną granicę Generalnego Gubernatorstwa i Rzeszy). Pokrywa się ona z granicą występowania dwóch słów o tym samym znaczeniu: *rzucać/ciepać*. Związek ze Śląskiem jest więc w tej wsi obiektywnie silniejszy niż w Olkuskiem. To może być dowód na to, że zaborcy, gdy ustanawiają nowe granice, niekiedy szukają ziarna racjonalności w przesuwaniu ich do określonego punktu.

Inny przykład. Prasłowiańskie skądinąd, ale nie ogólnopolskie, *ciepać* (rzucać) notuje „Słownik gwar polskich” PAN także w Tyńcu, gdzie kończyła się kiedyś zorganizowana i zasiedlona Polska (tuż obok ujścia Skawinki do Wisły, na styku śląskiego księstwa zatorskiego z ziemią krakowską).

Ile jest śląskich gwar i wewnętrznych granic w obrębie „gwar śląskiej” (dialektu, języka *in statu nascendi*)? W prasowych i naukowych polemikach pojawiała się liczba jedenastu, niekiedy trzynastu. Gdy Alfred Zaręba wydzielił „dialekty centralne”, miało to uzasadnienie w niektórych cechach systemowych, lecz w innych ich układ był i jest zgoła odmienny. Sprawdzić to może każdy, kto zapyta w Leśnicy, Pilchowicach, Radlinie, Michałkowicach, Piekarach Śląskich czy Suszcu o śląskie brzmienie zdania: „Ojciec podeszedł do okna i zawołał tę dziewczynę”.

Jeszcze inny drobny przykład. Część powiatu pszczyńskiego oraz powiat bieruńsko-łędzki zaliczają się do „dialektów pogranicza śląsko-małopolskiego”, ale tamtejsze Ślązaczki i Ślązacy umieją wskazać różnice między sposobami mówienia w Bieruniu, Imielinie, Bojszowach, Grzawie, Górze, Woli, Frydku itd. Gwar śląskich jest więc kilkadziesiąt, a granice między nimi są wciąż dość wyraźne. Czy one będą zanikać? A może będą się jeszcze bardziej wyrażać? To temat na zupełnie inne opowiadanie... ■

Artur Czesak

– językoznawca, dialektolog, leksykograf, związany z Uniwersytetem Jagiellońskim

Tuż obok „rosyjskiej Polski”

Przez stulecia wschodnia granica Śląska należała do najstabilniejszych w Europie. Od średniowiecza po wczesny XX wiek niemal w ogóle się nie zmieniała. Tylko na krótko traciła status granicy państwowej, na przykład po rozbiorach Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Tam, gdzie granica istnieje przez sześć wieków, 70 lat, a nawet całe stulecie, to za mało, by zatrzeć jej ślady. I te materialne, i te mentalne. Nie może więc dziwić, że na linii, która dziś w większej części nie ma już nawet statusu granicy wojewódzkiej, dla wielu Górnolazaków kończy się znany, swojski świat.

Panoszów w powiecie lublińskim. Typowa górnośląska wieś, z solidnymi ceglаныmi domami i obszernymi zabudowaniami gospodarskimi, położona sielsko wśród pól i lasów. Nic nie zapowiada, że niemal „za rogiem”, parę kilometrów dalej znika cała ta architektoniczna (i językowa) swojskość. Że za niepozornym mostkiem na Liswarcie, poczynawszy od miejscowości Ługi-Radły, Siekierowizna i Antonów, zaczynają się tereny, gdzie mimo postępującej unifikacji architektoniczny obraz wsi ciągle odczuwalnie różni się od tego, do czego przywykli mieszkańcy śląskiego brzegu rzeki, a widoczne jeszcze gdzieś tam drewniane domki, pamiętające czasy rosyjskich carów, niektóre z nich o mikroskopijnej wprost powierzchni, sugerują podróżującemu, że oto znalazł się na dalekich mazowieckich równinach albo na głębokiej Kielecczyźnie, co najmniej 200, może nawet 250 kilometrów od Śląska.

Tymczasem granica regionu oddalona jest o rzut kamieniem. Jeszcze silniej powiew minionych stuleci odczuwalny jest dalej na północ, tam, gdzie „kongresowa” ziemia wieluńska styka się z powiatem kluczborskim, do 1945 roku zamieszkanym w zdecydowanej większości przez protestantów. Oddalona niecałe sześć kilometrów od dawnej granicy Królestwa Polskiego, otoczona średniowiecznymi murami śląska Byczyna, do dziś pozwala poczuć atmosferę granicznej twierdzy. Wbrew temu, co można by sądzić, to nie cerkiew w Sosnowcu jest najbliższą śląskiej granicy położoną świątynią prawosławną. Na północ od Byczyny, nieopodal zamku w Chróście, niewielka cerkiewka znajduje się ok. 300 metrów od ziem śląskich. Przed 1914 rokiem miejscowość ta leżała na zachodnich rubieżach Imperium Rosyjskiego, a zamek znajdował się w rękach rodziny carskiego generała Łapuchina.

Byczyna widziana od drogi prowadzącej do dawnej polskiej granicy.

Trzy dworce w Herbach

Miejscem wyjątkowym są Herby w powiecie lublińskim. Ta sporej wielkości wieś rozwój zawdzięcza właśnie granicy. W XIX wieku wokół pruskiego i rosyjskiego przejścia – najpierw tylko drogowego, potem także kolejowego – rozwinęły się równoległe dwie, oddzielone od siebie kordonem miejscowości: Preussisch-Herby, czyli Herby Pruskie (później Śląskie), i Herby Ruskie (później Polskie). Granica państwowa zniknęła w 1922 roku, lecz w okresie międzywojennym obie miejscowości nadal dzieliła granica, tym razem województw: autonomicznego śląskiego i kieleckiego. Dopiero od 1950 roku Herby Śląskie i Polskie stanowią administracyjną całość.

Choć dziś niewiele na to wskazuje, na przełomie XIX i XX wieku Herby (i te śląskie, i te częstochowskie) były niewielkimi, acz tętniącymi życiem miejscowościami. Najwięcej działo się wokół obu granicznych dworców kolejowych. Zarówno w części niemieckiej, jak i rosyjskiej dla wygody podróżujących powstały gospody, restauracje i hotele, a także powierzchnie magazynowe. W pobliżu rosyjskiego dworca nawet założono park, w którym oczekujący na dalsze połączenie mogli spędzić wolny czas. Dawny niemiecki urząd celny, budynek sporej wielkości jak na niewielką wówczas osadę, służy dziś jako urząd gminy.

Największą liczbę odpraw notowano tu wczesną wiosną i późną jesienią, gdy tysiące mieszkańców rosyjskiego Królestwa Kongresowego udawały się na sezonowe roboty w Niemczech, tzw. *saksy*, lub z nich wracały. Kolejnym szczytem był sierpień, kiedy to z kolei mieszkańcy Śląska podążali w pielgrzymkach na częstochowską Jasną Górę, oddaloną jedynie niecałe 20 kilometrów od kordonu.

Źródła niemieckie często określały granicę między Rzeszą a Cesarstwem Rosyjskim jako granicę kultur i cywilizacji. Nie wnikając w to, jak duża faktycznie była przepaść, która dzieliła wówczas niemiecki Śląsk i tereny pozostające pod władzą cara, nie ulega wątpliwości, że w sferze funkcjonowania administracji, także służb celnych, były to dwa odmienne światy. W obrazowy sposób odczucia Górnoślązaka, powracającego – jak to mówiono – z „rosyjskiej Polski”, opisuje w książce *Górny Śląsk przed laty* Oskar Klausmann: „Po raz pierwszy w życiu przeżyłem wtedy owe nieopisane uczucie rozkoszy na widok pruskiego słupa granicznego, które dziś jeszcze ogarnia każdego, kto wraca z Rosji i głęboko z ulgą wciąga powietrze, gdy pociąg wjeżdża na terytorium, gdzie obowiązuje jakieś prawo i porządek, a życie i zdrowie nie zależą od kaprysu, dobrego humoru albo podatności na korupcję dowolnego urzędnika”.

O granicznym rozdziale w historii miejscowości przypominają do dziś m.in. pruski urząd celny, kozackie koszary i stajnie oraz dwa dworce kolejowe. Ten w dawnej części pruskiej nadal pełni swoją funkcję, natomiast maszywna stacja rosyjska służy jako budynek mieszkalny. Herby są dziś chyba najmniejszą miejscowością w Polsce, gdzie znajdują się aż trzy dworce kolejowe. Poza dwoma granicznymi, w latach 20. XX wieku, przy nowej linii łączącej polską część Górnego Śląska z Gdynią, powstała stacja Herby Nowe.

Kozacki ataman spod Olesna

Interesujące są Bodzanowice w powiecie oleskim. Przez Liswartę, która w tej okolicy przez stulecia była rzeką graniczną, ta śląska miejscowość sąsiaduje z Podlężem Szlacheckim. Liczące dziś ok. 900 mieszkańców Bodzanowice w okresie międzywojennym miały swoje miejsce w niemieckiej kulturze pamięci. Tam bowiem znajduje się do dziś grób Paula Gruna, uważanego za pierwszego obywatela Rzeszy poległego w I wojnie światowej. Drugiego sierpnia 1914 roku w godzinach przedpołudniowych jego konny oddział przekroczył granicę i podążył do Starokrzepic. W leżącej już po rosyjskiej stronie miejscowości 19-letniego żołnierza dosięgła kula kozackiego patrolu. Później zwłoki Gruna przewieziono do Bodzanowic i tam pochowano, „by spoczywały w ojczystej ziemi”. W 1936 roku, w ramach szeroko zakrojonej akcji zmiany słowiańsko brzmiących nazw miejscowych w hitlerowskich już Niemczech, Botzanowicz przechrzczono na Grunruh („Spokój Gruna”), nawiązując tym samym do wydarzeń pierwszych dni Wielkiej Wojny.

32

W tej samej miejscowości przyszedł na świat Helmuth von Pannwitz – podczas II wojny dowódca walczącego po stronie Niemiec kozackiego korpusu kawalerii. Jak to się stało, że potomek śląskiego rodu szlacheckiego został kozackim atamanem? Bynajmniej nie był to przypadek. Urodzony w 1898 roku von Pannwitz dzieciństwo po części spędził na malowniczej ziemi oleskiej, wówczas stanowiącej pogranicze cesarstwa niemieckiego i imperium carów. Z Bodzanowic codziennie mógł obserwować kozackie oddziały patrolujące rosyjski brzeg Liswarty. Z czasem zaczął szukać kontaktu z egzotycznie wyglądającymi żołnierzami, jeździł do nieodległych miast Królestwa Kongresowego, by oglądać ich parady. Podobno pod wpływem fascynacji kozaczyzną nauczył się języka rosyjskiego.

W 1942 roku, już jako wysoki stopniem dowódca Wehrmachtu, von Pannwitz otrzymał od Naczelnego Dowództwa Sił Lądowych zgodę na stworzenie na bazie antykomunistycznie nastawionych radzieckich jeńców wojennych kozackiego oddziału kawalerii, który miał zostać użyty do walki z Armią Czerwoną u boku wojsk niemieckich. Pod wodzą śląskiego generała Kozacy walczyli m.in. w Związku Radzieckim i Jugosławii. W ostatniej fazie wojny około 20-tysięcznemu korpusowi udało się przedrzeć do Austrii, by poddać się tam Brytyjczykom i uniknąć w ten sposób wzięcia do niewoli przez komunistycznych partyzantów Josipa Broz-Tity.

Wbrew wcześniejszym zapowiedziom Anglicy wydali jednak Kozaków władzom radzieckim. Jak nie trudno było przewidzieć, w ZSRR czekała ich śmierć, w najlepszym wypadku łagier. Von Pannwitz, choć miał okazję do ucieczki, postanowił podzielić los swych żołnierzy. Oskarżony o zbrodnie wojenne, po przewiezieniu do Moskwy został skazany na śmierć i dwa lata po zakończeniu wojny stracony. W 1996 roku Generalna Prokuratura Federacji Rosyjskiej oczyściła go z zarzutów i zrehabilitowała. Jednak pięć lat później prokuratura wojskowa w Moskwie odwołała tę decyzję, uznając wyrok za prawomocny.

Kawałek „śląskiej kongresówki”

Przyglądając się przebiegowi wschodniej granicy regionu, kilka kilometrów na północ od Woźnik w oczy rzuca się jej nietypowy, regularny kształt: coś jakby niezamknięty z jednej strony kwadrat. W kwadracie tym o powierzchni ok. dziewięciu kilometrów kwadratowych leży dziś wieś Czarny Las (kiedyś Helenenthal). To jedno z tych nielicznych miejsc, gdzie przebieg granicy odbiega od linii wytyczonej jeszcze w średniowieczu.

Kopuły cerkwi
w Chróście podczas
remontu (rok 2013).



Herby. Dawna rosyjska
stacja graniczna.



„Graniczna” Prosna
w okolicach Byczyny.



DAVID SMOLCZ

W Szyszkowie koło Praszki, niewielkiej wsi położonej nad Prosną, oddalonej niecałe 900 metrów od rynku w dawnym Landsbergu (obecnie Gorzowie Śląskim), do dziś opowiada się, że to tu – zanim pancernik „Schleswig-Holstein” oddał pierwsze salwy w stronę Westerplatte – Niemcy zaatakowały Polskę.

Do 1835 roku niezbudowany i niezamieszany teren, na którym powstała później wieś, należał do Królestwa Polskiego. Częścią Śląska stał się dopiero dzięki korekcie dokonanej mocą prusko-rosyjskiego traktatu granicznego. Jak utrzymuje się na ziemi koziegłowskiej, odstepując Prusom pola, łąki i lasy należące do mieszkańców pobliskich wsi Gniazdów i Mzyki, rosyjski imperator chciał dodatkowo ukarać swych poddanych za wsparcie, jakiego udzielili powstaniu listopadowemu. Choć ostatecznie korekta nie zmieniła stosunków własnościowych i polscy chłopcy mogli nadal gospodarować na swych gruntach, leżących teraz w granicach Prus, kilkakrotnie dochodziło z tego powodu do zamieszek. Sytuację dopiero uspokajały zdecydowane interwencje oddziałów kozackich.

Na przejętym od Rosji terenie powstały dwór i wioska Helenenthal. Wieś zasiedlona została częściowo przez chłopów z Polski. Swoje pięć minut wielkiej historii Czarny Las (wtedy jeszcze Helenenthal) przeżył w 1921 roku. W tamtejszym pałacu, położonym niecałe dwa kilometry od granicy odrodzonej po zaborach Rzeczypospolitej i należącym wówczas do znanego działacza polskiego Kazimierza Niegolewskiego, Wojciech Korfanty podpisał odezwę wzywającą polskojęzyczną ludność Górnego Śląska do kolejnego powstania.

Czy wojna zaczęła się w Szyszkowie?

Za moment wybuchu II wojny światowej historycy uznają ostrzał Westerplatte przez pancernik „Schleswig-Holstein” (albo bombardowanie Wielunia). Oba te wydarzenia miały miejsce 1 września 1939 roku przed godziną 5.00. Na dawnym pograniczu istnieje jednak miejscowość, gdzie część mieszkańców ma na ten temat inne zdanie. To Szyszków koło Praszki na ziemi wieluńskiej, niewielka wieś położona tuż nad Prosną, oddalona niecałe 900 metrów od rynku w dawnym niemieckim Landsbergu (Gorzowie Śląskim). Tam do dziś opowiada się, że 1 września bardzo intensywny ostrzał wsi od strony granicy nastąpić miał już przed godziną 4.00. Wprawdzie wersja ta nie znajduje potwierdzenia w uznanych źródłach historycznych, żyje jednak jako lokalny przekaz.

Podobnie zresztą jak opowiadania o przemytnikach, zwanych w tych stronach *szwarcownikami*. Szyszków i pobliskie miasto Praszka były nie tylko centrami przemytu, ale także nielegalnego przerzutu do Niemiec polskich robotników sezonowych. Zarówno przed I wojną światową, jak i w okresie międzywojennym wczesną wiosną w Praszce i okolicy zbierały się tysiące ludzi z pogranicznych terenów, a także z obszarów położonych w głębi Polski. Część z nich przechodziła do Niemiec legalnie, inni musieli czekać na przerzut. Proceder ten dawał zarobek dużej grupie mieszkańców – poza przewodnikami także furmanom, restauratorom i innym. Po obu stronach granicy powstały „przedsiębiorstwa”, trudniące się przeprowadzaniem z Polski do Niemiec nielegalnych *gastarbeiterów*. W niektórych miejscowościach położonych po niemieckiej stronie, ale blisko granicy, np. w Sternalniach, funkcjonowały nawet nieoficjalne punkty werbunkowe, z barakami oferującymi miejsca noclegowe. To był czas, gdy rolnictwo Dolnego Śląska i środkowych Niemiec gotowe było wchłoniąć „każdą ilość” polskich pracowników sezonowych. ■

Dawid Smolorz

– publicysta, tłumacz z języka niemieckiego



Liswarta



35

Krzysztof Ogiolda

Pięć obrazków znad Prosny (i Liswarty)

W powiecie oleskim polsko-niemiecka granica dawno zniknęła z mapy, ale jest nadal widoczna w krajobrazie. Niewiele z niej zostało w pamięci i w głowach. Zwłaszcza młodych ludzi.

Herbert Kabus mieszka w Gorzowie Śląskim. Kiedy przyszedł na świat, w 1942 roku, ta miejscowość nazywała się Landsberg. Od jego domu do granicy, dzielącej przed wojną Śląsk na polski i niemiecki, jest w prostej linii nie więcej niż kilometr. Granicznej rzeki Proсны nie widzi z okna tylko dlatego, że zastaniają ją krzaki. Praszka, pierwsza miejscowość po „polskiej” stronie, jest oddalona ledwo o pięć kilometrów.

To dziwne i fascynujące miejsce. Jeszcze niecałe 30 lat przed urodzeniem pana Herberta granicy nad Prosną strzegli Kozacy. Sięgał tu zabór rosyjski. Dziś Gorzów i Praszka leżą w jednym, niezbyt dużym powiecie oleskim.

Na śledzika „do Polski”

Na tamtą stronę dawnej granicy pan Kabus nie tylko, jak wszyscy, jeździ na zakupy. Znalazł tam – w oddalonym o dobre 25 kilometrów Wieluniu – żonę.

Wbrew stereotypowi nie nastąpi teraz śląska wersja *Romea i Julii*, czyli opowieść o miłości, która pokonała polsko-niemieckie urazy. I nie dlatego, że tych niechęci wcale tu nie było. Na dowód Kabusowie opowiadają historię o polskim ułanie, który trafił do Gorzowa podczas powstań śląskich.

– Rozdarły mu się spodnie na siedzeniu – śmieje się pan Herbert. – A ciotki mojego ojca, wtedy nastoletnie panny, przyszyły mu złośliwie czerwoną łatę. Widać tak go lubiły.

– W naszym przypadku silniejsza od dzielącej nas granicy była więź wyznania – wyjaśnia Urszula Kabus, żona Herberta. – Jesteśmy oboje ewangelikami. W Wieluniu po wojnie zostały trzy rodziny ewangelickie, razem piętnaście osób. Nie było mowy, żeby tam znaleźć męża tej samej wiary. Więc rodzice bardzo się ucieszyli, kiedy okazało się, że mój narzeczony jest wprawdzie z Gorzowa, ale jest ewangelikiem.

– Wszystkie okoliczne miejscowości obsługiwał duszpastersko jeden pastor, ks. Rudolf Pastucha – dodaje mąż. – Parafia w Wieluniu miała salę spotkań i wszyscy zostaliśmy tam zaproszeni na śledzika. Moja przyszła żona pomagała w kuchni. Ten śledzik mi smakował. Tak bardzo, że do dziś jesteśmy razem. Już ponad 40 lat.

Urodził się jeszcze w Niemczech. Ona w Polsce, po polskiej stronie historycznej granicy. Ale to ją w szkole wyzywano od Niemek i Szwabek, bo taki był schemat: ewangelik równa się Niemiec. Czasy musiały być „nieekumeniczne”, bo w technikum już się nie przyznawała, że jest ewangeliczką. Zwłaszcza jedna nauczycielka, cięta i niezłomna, mogłaby jej zaszkodzić przy maturze.

Od tamtych lat zmieniło się prawie wszystko. A przecież ciągle chłopcy z Gorzowa czy Olesna są „w Polsce” (jak mówiono tu do niedawna) mile widzianymi kandydatami na mężów. Wiele z nich ma dwa paszporty i niemieckie obywatelstwo, czyli przepustkę na Zachód, do bogatszego i bezpieczniejszego życia.

Dawna granica dziś już ludzi nie dzieli. Mieszkańcy Gorzowa i Praszki znają się i przyjaźnią. Nie tylko młodzi. Współpracują także miejscowe kluby seniora.

– Jak jadę do Praszki na targ, to choć mówię literacką polszczyzną, a nie gwarą, zaraz po brzmieniu mojej mowy poznają, że jestem ze Śląska – przyznaje Herbert Kabus. – Ale nikt mi z tego powodu przykrości nie robi – dodaje.

Za „nasze i wasze” sołectwo

Z Janem Pisarkiem, sołtysiem Bodzanowic, stajemy nad inną, też niegdyś graniczną rzeką – Liswartą. Wygląda skromnie. Nie chce się wierzyć, że dzieliła kiedyś dwa państwa. Choć po dużych deszczach potrafi wylać i podtopić w Bodzanowicach pola, a w Podłężu Szlacheckim – po drugiej stronie dawnej granicy – także domy. Na dowód, że nie zawsze było tu tak sennie, sołtys pokazuje dwa spore budynki, w których kiedyś mieszkali pogranicznicy. Łącznie mieści się w nich kilkanaście rodzin. Po drugiej stronie ulicy – duży sieciowy sklep. Kiedy granica była oddalona o 300 metrów, mieściła się tu duża gospoda.

– Ludzie opowiadali, że był tu kiedyś wielki ruch – mówi Jan Pisarek. – I legalny, i nielegalny. Podobno przez granicę szmuglowano nie tylko żywność, ale i konie, i bydło. Dzisiaj tylko najstarsi ludzie mają świadomość, że tu kiedyś granica była. Chociaż na drugim brzegu Liswarty jest już województwo śląskie. Oczywiście, jeżdżą na zakupy do Przystajni (to pierwsza większa miejscowość po „tamtej stronie”), ale powodem mogą być częste promocje w tamtejszym sklepie.

Pan Jan nie ma złudzeń. Za 50 lat nikt już nie będzie pamiętał, że kiedyś biegła tędy linia dzieląca Śląsk. – Młodych nie ta granica teraz obchodzi – twierdzi. – Większość z nich wyjeżdża do Niemiec. Dobrze, jak najpierw jakieś wykształcenie zdobędzie. Wiele ledwo skończy gimnazjum i już ich nie ma. Efekt jest taki, że w Bodzanowicach mieszka wszystkiego trochę ponad tysiąc osób. Za to nie mamy granic, które by nas podzieliły. Najlepszy dowód, że w wiosce, gdzie działa prężnie i spotyka się stale koło mniejszości niemieckiej, mnie, pochodzącego z większości, wybrano na sołtysa. I to na piątą kadencję.



Gerard Wons, działacz mniejszości niemieckiej z Zębówic, przechowuje do dziś kartę przekraczania granicy swego dziadka z 1937 roku opatrzoną pieczęciami z polskim i niemieckim orłem (ten drugi ma swastykę).

„Alesia, jak ty syna wychowałaś?!“

Także po polskiej stronie granicy, w Starokrzepicach, urodził się Włodzimierz Kierat. Nie tylko on, także rodzice i dziadkowie mówili w domu wyłącznie po polsku. Przez jego wieś w 1939 roku wojska niemieckie parły na Polskę.

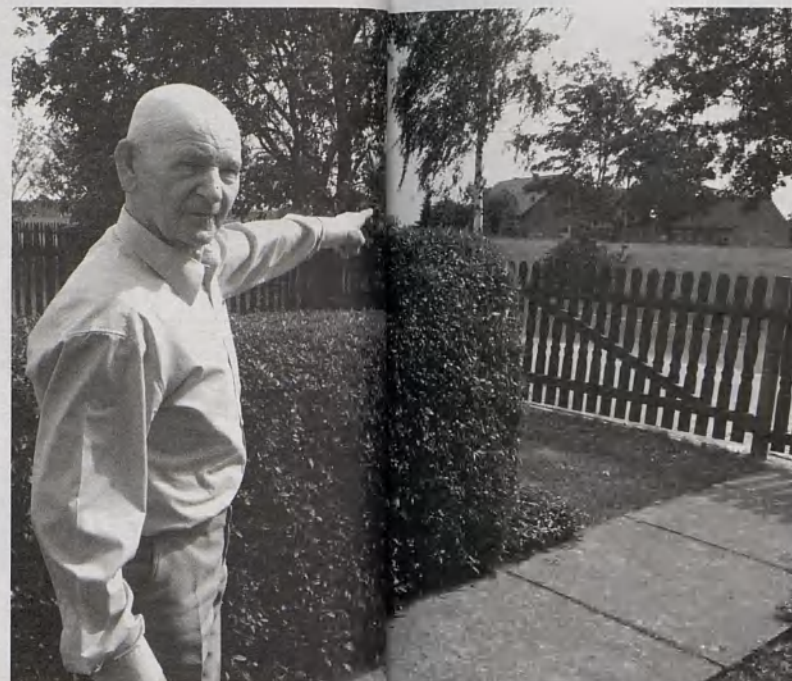
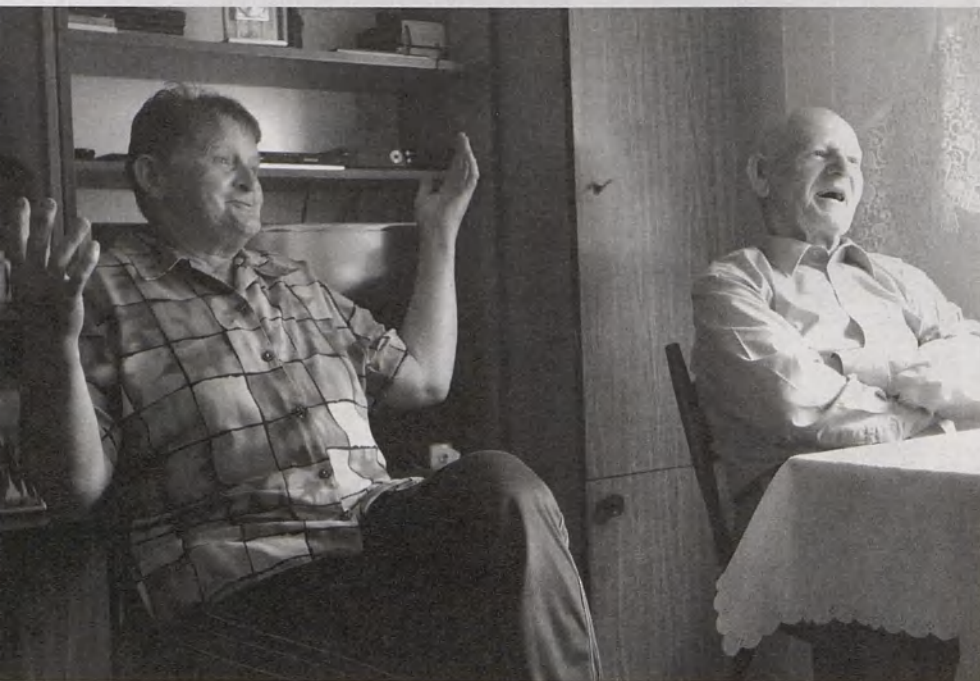
– Brat mojego ojca, wujek Heniek, miał wtedy dziewięć lat – opowiada pan Włodzimierz. – Fascynowały go jadące w kolumnie pojazdy. Widział je w takiej liczbie pierwszy raz w życiu. Siedział w krzakach i liczył. Przez nasze Starokrzepice przejechały 333. Tego dnia babcia długo nie umiała go znaleźć, i ten jej strach skończył się dla wujka solidnym laniem.

Pan Kierat jest wójtem w Radłowie, odległym raptem o dziesięć kilometrów od Starokrzepic – po dawnej niemieckiej stronie i z silną mniejszością niemiecką. W 2014 roku wybrano go czwarty raz. Dostał 77 procent głosów.

– To się zaczęło jeszcze w PRL-u – opowiada. – W listopadzie 1986, mając 22 lata, zostałem pracownikiem służby rolnej. Stale jeździliśmy w teren, bo ktoś przyorał sąsiadowi pole albo gęsi zniszczyły pszenicę. Poznałem ludzi z każdego przysiółka. I wtedy granice się rozmywały. W ich i w mojej głowie. Przystawaliśmy dzielić ludzi na naszych i obcych, na Polaków i Niemców.

– Wyraziście poczucie granicy mają przede wszystkim ludzie urodzeni wtedy, gdy ona wtedy biegła – dodaje Kierat. – Chociaż i wówczas nie była to granica nieprzepuszczalna. Moja babcia Marianna przyjeżdżała na niemiecką stronę, razem z innymi dziewczynami, i z kopaczką w ręku najmowała się do pracy przy kartoflach. Żeby zarobić na swoje wesele.

Zdaniem wójta dla młodszego pokolenia tamta granica to jest problem marginalny. Ono chce wygodnie i bezpiecznie żyć. Młodzi, a badania socjologiczne to potwierdzają, nie mają „mentalności granicznej”: albo jesteś Polakiem, albo Niemcem. Deklarują chętnie, że są i jednym, i drugim. Tak jest, zwyczajnie, wygodniej.



Po chwili namysłu wójt śląskiego Radłowa przyznaje, że choć dawna granica zatarła się, to widać ją... w krajobrazie. – Po polskiej stronie następowały działki ziemi – wyjaśnia. – Więc pola do niedawna, a częściowo jeszcze dziś, mają kształt długich, wąskich pasów, jakby ktoś położył obok siebie rząd krawatów. Po pruskiej stronie tego nie było. Pola były większe. Inna jest także zabudowa. Na dawnych terenach niemieckich większość budynków stoi szczytem, czyli krótszą ścianą, w stronę drogi. Gospodarstwo znajduje się w głębi, za budynkiem.

Pan Kierat cieszy się, że nikt mu w jego wsi nie wypomina, że on, Polak, jest wójtem w „mniejszościowej gminie”. Był tylko jeden wyjątek. Kiedy jako pierwszy samorządowiec w Polsce – zgodnie z ustawą o mniejszościach narodowych i etnicznych – ustawił w gminie Radłów dwujęzyczne, polsko-niemieckie tablice z nazwami miejscowości. – Wtedy niektórzy przychodzili do mojej mamy i mówili: Alesia (mama ma na imię Aleksandra), jak ty syna wychowałeś? On tam niemieckie tablice stawia! Ale w oczy nie mieli odwagi mi tego powiedzieć.

Okna otwierają się na zewnątrz

Działacz mniejszości niemieckiej z Zębownic, Gerard Wons, przechowuje do dziś kartę przekraczania granicy swego dziadka z 1937 roku opatrzoną pieczęciami z polskim i niemieckim orłem (ten drugi ma swastykę). Konstantin Matziol z tym dokumentem w ręku przechodził z Zębownic przez granicę w Pawonkowie do Sadowa koło Lublińca (po plebiscycie z roku 1921 powiat lubliński przypadł Polsce).

– Trochę szmuglowano – dzieli się rodzinnymi wspomnieniami pan Gerard. – Z Niemiec do Polski warto było nieść budzik, zegarek na rękę, drobny sprzęt elektryczny. W drugą stronę żywność, przede wszystkim wędliny.

– Dziś świadomość nieistniejącej już granicy narasta przede wszystkim podczas spotkań poświęconych przeszłości – uważa pan Gerard. – W powiecie przez lata był prowadzony program pod hasłem „Historia lokalna na przykładzie wybranych powiatów, miast i wsi”. Rozmawialiśmy szczerze, nie unikając kontrowersyjnych tematów. O wypędzeniach Niemców po wojnie, co jest trudnym tematem dla Polaków, ale także o zachowaniach Niemców w czasie wojny. Okazało się, że to już jest możliwe. Bez ostrych sporów, bez wzajemnych ataków. Oczywiście, każdy ma „swoje historie”, ale już umiemy o nich z szacunkiem rozmawiać. Proszę płynnie przez powiat oleski jak dawniej. Kiedyś dzieliła, dziś raczej łączy.

Dzieli rzeczy zewnętrzne, na przykład rozmiary budynków mieszkalnych i kształt okien (po polskiej stronie niektóre otwierają się na zewnątrz). No i zwyczaje.

– Na Boże Narodzenie u nas więcej na choinkach ozdób szklanych, po tamtej stronie więcej bibułek – zauważa Gerard Wons. – Na Boże Ciało w wystroju kapliczek tam dominują wstążki, u nas raczej kwiaty.

Nieco inne w kształcie i w wystroju są korony dożynkowe. Ale te różnice wychwycą tylko najbardziej wrażliwi. I nie będą udowadniać, która kultura jest lepsza. Dla młodszego pokolenia to poczucie odrębności się całkiem zatarło. Już od dawna nie słyszałem, aby ktoś jechał od nas „do Polski”. Czyli do Lublińca.

Nasze babcie i ołmy

Pani Sylwia Kus z Biskupskich Dróg jest co najmniej o pokolenie młodsza. Kulturowe czy obyczajowe różnice widzi bardzo wyraźnie.

– Weźmy choćby wesele – zauważa. – Po dawnej polskiej stronie granicy zaczyna się zwykle o 12.00 lub nawet później. Po tej, gdzie ja mieszkam, o wiele wcześniej. Właściwie już poprzedniego dnia, bo wtedy odbywa się nieznaną w Polsce *polterabend*. A przed południem w dniu ślubu musi być jeszcze czas na wykupienie panny młodej. Pan młody składa na ręce pierwszej drużyny pieniądze „za młodą panią”, by w końcu doczekać, aż ją ojciec wyprowadzi i będzie można dać jej bukiet.

Wciąż praktykowanym cotygodniowym rytuałem – zdaniem pani Sylwii – jest w jej stronach bardzo staranne sprzątanie przed domem w sobotę. Trzeba wymieść nie tylko podwórko czy chodnik, ale i ulicę do osi jezdni (drugie pół wysprząta sąsiad z przeciwną) oraz wykosić rowy. Zwyczaj ten stopniowo przekroczył już historyczną granicę, ale tak solennie pielęgnowany tam nie jest.

– Dostrzegam jeszcze jedną różnicę, po drugiej stronie przybyło na budynkach tabliczek z nazwami firm produkcyjnych i usługowych – przyznaje Sylwia Kus. – U nas ciągle dominuje model: przychodzi niedziela, wsiadaj do auta i jedź zarobić „w euro”.

Natomiast poczucia tożsamości pani Kus z przebiegiem granicy zbyt ściśle nie wiąże. Nie tylko dlatego, że obie jej babcie – Gertruda i Franciszka – mieszkały „po niemieckiej stronie”, a jedna kazała się nazywać babcią, a druga *ołmą*. – Ja sama wyszłam za mąż w 2005 roku – dodaje. – Na dwa lata wyjechaliśmy do Niemiec, a potem wróciliśmy na Śląsk. Działam w mniejszości niemieckiej, ale mam polską i niemiecką tożsamość jednocześnie. Syn urodził się w Niemczech, córka w Polsce. Zależy mi, by mieć tradycyjną wielopokoleniową śląską rodzinę, w której się pilnuje tradycji, chodzi do kościoła itp. itd. A to się da z taką „szeroką tożsamością” pogodzić. Pytałam niedawno mojego syna, komu będzie kibicował podczas Euro 2016. Zdecydował, że ponieważ urodził się w RFN, w meczu Polska – Niemcy będzie za Niemcami. A podczas innych polskich meczów – za Polską. A komu ja będę kibicować? Niech wygra lepszy. ■

Krzysztof Ogiolda

– dziennikarz i publicysta, pracuje w „Nowej Trybunie Opolskiej”

Dawid Smolorz

Osobno, choć razem

Symbolem polsko-czeskiego pogranicza jest podzielony Cieszyn. Lecz codziennie, transgraniczne sąsiedztwo o wiele silniej odczuwane jest w mniejszych miejscowościach, których nie dzieli rzeka, bo granica jest tam jedynie wąską, często niezauważalną już linią, wijącą się pomiędzy wiejskimi zabudowaniami.

Powiaty głubczycki, prudnicki i nyski często są kojarzone – zresztą zasłużenie – z interesującymi zabytkami architektury i malowniczym, przedsudeckim krajobrazem. Jego nieodłącznym elementem jest także granica, która pojawiła się tu po wojnach śląskich, ponad 270 lat temu, i podzieliła region między królestwo Prus a cesarstwo Austrii. Dziś ta sama linia, z niewielkimi jedynie odstępstwami, rozgranicza terytoria Rzeczypospolitej i Republiki Czeskiej. I nie byłoby w tym zapewne niczego spektakularnego, gdyby nie fakt, że ustalona w połowie XVIII wieku linia przecięła szereg istniejących już wówczas miejscowości, i że mimo upływu dwóch i pół wieku miejscowości te, choć znajdują się w różnych państwach, nie tylko tworzą do dziś zrośnięte organizmy, lecz noszą także podobne nazwy.

Już pobieżne spojrzenie na mapę uświadamia, że relikty przedpodziałowej, XVIII-wiecznej rzeczywistości mają się całkiem nieźle. Jednym z przedmieść Opawy, tradycyjnej stolicy czeskiego Śląska, są Držkovice. Graniczna rzeka oddziela je od polskich Dzierżkowic (do wojen śląskich była to jedna miejscowość, zwana oficjalnie Dirschkowitz). Nieco dalej na zachód, na ziemi głubczyckiej, z polską Chomiążą graniczy czeska Chomůž. Obie bliźniacze wsie nosiły pierwotnie nazwę Komeise. Sąsiadem polskiego Krasnego Pola są z kolei Krasne Loučky. W przeszłości wieś, rozciągająca się po obu stronach rzeki, nosiła nazwę Schönwiese. Oddzielone od siebie granicą Lenarcice i Linhartovy to dawny Gopersdorf. Natomiast naprzeciw leżącej dziś w Polsce Opawicy znajdują się czeskie Opavice. Przed podziałem Śląska miejscowości te tworzyły miasteczko o nazwie Tropplowitz. Jednorodną strukturę zachował do naszych czasów także dawny Gross Kunzendorf, którego część polska nazywa się dziś Sławniowice (powiat nyski), a czeska Velké Kuněčice (powiat jesenicki). W podobny sposób od ponad 270 lat funkcjonują Ober Hermsdorf, zwany po stronie północnej Jasienicą Górną, a po południowej Horní Heřmanice, oraz dawne Gostitz, którego polska część to Gościce, a czeska Horní Hoštice. W samym tylko powiecie nyskim granica przecięła aż siedem miejscowości.

Odwrócenie plecami

W pierwszym momencie podział regionu między Austrię a Prusy zapewne niewiele zmienił w życiu mieszkańców malowniczych południowośląskich wsi. Zresztą aż do czasów zadekretowanej „socjalistycznej przyjaźni” jej przekraczanie nie stanowiło większego problemu. Wrażenie sztuczności granicy w tej okolicy potęgował zapewne fakt, że po obu jej stronach aż do 1945 roku przytłaczającą większość mieszkańców stanowili Niemcy. Dopiero po całkowitej wymianie ludności, jaka mocą międzynarodowych postanowień dokonała się tu po II wojnie światowej, Polaków i Czechów, którzy w miejsce wypędzonych Niemców osiedli w pięknych podsudeckich dolinach, oddzieliły od siebie graniczne siatki, pasy zaoranej ziemi i wojskowe patrole. W okresie komunistycznym polsko-czechosłowacka granica nie tworzyła wprawdzie żelaznej kurtyny, lecz poza krótkim okresem liberalizacji w latach 70. jej przekraczanie było obwarowane wieloma biurokratycznymi formalnościami i możliwe tylko przez kilka oficjalnych przejść. Duża część istniejących od wieków szlaków komunikacyjnych przez prawie 60 powojennych lat kończyła się na zamkniętych na stałe szlabanach, siatkach, zarośniętych trawą mostach albo zaporach czołgowych.

Ludzie, którzy w wyniku powojennych przesiedleń stali się de facto sąsiadami, przez kilka dziesięcioleci musieli żyć odwróceniem do siebie plecami. Kto nie akceptował takiego stanu rzeczy, narażał się na spore nieprzyjemności. Marzenie o transgranicznych spacerach i odwiedzinach w „obcej” części własnej wsi przez długie lata pozostawało nierealną mrzonką. Dopiero przyjęcie Polski i Czech do Unii Europejskiej, a przede wszystkim przystąpienie obu krajów do strefy Schengen w 2007 roku zmieniło życie tutejszych mieszkańców.

Nie udawaj Czecha

Jedynym miastem spośród miejscowości przeciętych w 1742 roku granicą była Opawica. Była, bo swój status utraciła jeszcze w XVIII wieku, niedługo po podziale na część pruską i austriacką. Dziś o dawnej świetności przypominają sporych rozmiarów kościół ze słynną amboną w kształcie łodzi, w większości niezabudowane pozostałości po typowym, kwa-

dratowym śląskim rynku i stojące na nim okazałej wielkości figury świętych. Z domów położonych wzdłuż granicznej rzeki można bez trudu zaglądać w okna czeskim sąsiadom. Lecz jako że dziś sąsiadów z drugiej strony można bez najmniejszych problemów odwiedzać, zagłądanie w okna jest pewnie o wiele mniejszą atrakcją niż kiedyś.

Mieszkańcy Opawicy i Opavic musieli przyzwyczaić się do wzajemnego „niezauważania siebie”. W okresie komunistycznym prywatne kontakty między Polakami i Czechami nie były pożądane. Dzieci wprawdzie często bawiły się razem w granicznej rzece, ale kiedy zbliżał się polski partol, wszystkie przechodziły na czeską stronę i udawały Czechów. Z kolei gdy na widoku pojawiali się czechosłowaccy żołnierze, przebiegały na polski brzeg.

Jak wszędzie, gdzie oddzielone granicą miejscowości bezpośrednio się ze sobą stykały, także tu młodzież nagminnie ze sobą randkowała. Ulubionymi miejscami był brzeg rzeki i – przy „suchej” granicy – szlaban. Odważniejsi odwiedzali swe sympatie w domach, choć kary były surowe. W latach 50. zdarzało się nawet, że czescy nastolatki łapali „na zalotach” w któreś z nadgranicznych polskich miejscowości trafiali na przymusowe, kilkumiesięczne roboty przy odbudowie Warszawy. Nie wszystkich to jednak zniechęciło, bo jednak doszło do zawarcia kilku mieszanych małżeństw...

Od grudnia 2007 roku Opawica, otoczona z trzech stron czeskim terytorium, nie leży już na końcu świata. Układ z Schengen stworzył przede wszystkim nowe możliwości komunikacyjne. Dziś, jadąc z Opawicy do niedalekiego Prudnika, czy do nieco dalej położonej Nysy, można wybrać najkrótszą drogę, czyli przez Czechy, bez nadkładania dziesiątków kilometrów.

Gdzie był ten płot?

Niewątpliwą, choć nietypową turystyczną atrakcją są położone na południe od Nysy Sławniowice oraz Velké Kuněčice. Wytyczona w XVIII wieku linia przedzieliła wieś (wtedy Gross Kunzendorf) wzdłuż drogi. Od tej pory jej północna część należała do Prus (później do zjednoczonych Niemiec, dziś do Polski), a południowa pozostała austriacka, by w 1918 roku wejść w skład Czechosłowacji. Choć w okresie komunistycznym między zabudowaniami Sławniowic i Velkých Kunětic ciągnął się graniczny płot, przybывая w te okolice po raz pierwszy trudno było się zorientować, gdzie kończy się Polska, a gdzie zaczyna Czechosłowacja. Tym trudniejsze jest to dziś, gdy obie części dawnego Gross Kunzendorfu stopniowo znów się zrastają.

Do 1990 roku poza nielegalnymi rozmowami przez ogrodzenie i drobnym szmuglem kontakty między Polakami i Czechami były incydentalne, bo za samo naruszenie zaoranej pasa ziemi można było narazić się na dotkliwą karę. Jeśli natomiast ktoś miał ochotę na legalne odwiedziny u sąsiada mieszkającego w części wsi położonej po drugiej stronie granicy i udało mu się przedrzeć przez wszelkie biurokratyczne formalności, aby dotrzeć do domu (leżącego zwykle w zasięgu wzroku), musiał pokonywać około 35 kilometrów. Tyle bowiem wynosiła odległość ze Sławniowic do Velkých Kunětic (przez oficjalne przejście graniczne w Głuchołazach).

Atmosfera zrobiła się szczególnie nieprzyjemna po zdławieniu Praskiej Wiosny w 1968 roku. Nie tylko ze względu na wzmogłą obecność pograniczników po stronie polskiej, a po stronie czeskiej – demonstracyjną aktywność wojsk radzieckich. Interwencja Układu Warszawskiego zniszczyła w tej części Śląska i tak wątpliwe świeżego przecież sąsiedztwa Polaków i Czechów.

Do Czech na polską mszę

Dziś obie wsie (a może znowu tylko jedna?) żyją w innej epoce i innej rzeczywistości, zresztą jak całe polsko-czeskie pogranicze (vide: zdjęcie powyżej, zrobione już po Schengen). W obiegu są dwie waluty, a zakupy robi się albo w czeskim, albo w polskim sklepie. Na granicy panuje spory ruch. Szczególnie



DAWID SMOLORZ

wiosną i latem grupy dzieci i młodzieży przemierzają się to w jedną, to w drugą stronę. Jak opowiadają sławniowiczanie, szczególnie młodsze dzieci są teraz szczęśliwe, bo kiedy do Kunětic przyjeżdża łodź, biegnie tam cała chmara dzieciaków z Polski. Kiedy zaś z Nysy do Sławniowic dociera polski łodź, może liczyć także na klientelę z czeskiej części wsi. Z kolei w niedzielne przedpołudnia przez skrzyżowanie dróg, przez które od 270 lat przebiega granica państwowa, od strony Sławniowic ciągną ku Kuněticom grupki wiernych na cotygodniową mszę. Dlaczego? Bo w polskiej części wsi kościoła nie ma. Administracja diecezji ostrawsko-opawskiej elastycznie zareagowała na nową sytuację. Od kiedy granica nie jest już barierą, podczas nabożeństw w Velkých Kuněticach poza językiem czeskim rozbrzmiewa także polski.

Jadąc drogą krajową nr 46 z Nysy w kierunku Kłodzka, tuż za Paczkowem, na lewo od szosy, na tle łagodnych szczytów Gór Złotych, pojawiają się zabudowania miejscowości z frapującą białą-żółtą klasztoru. Pierwsze wrażenie jest jednak mylne. To nie jedna miejscowość, lecz dwie – od 1742 roku leżące w dwóch różnych państwach. Kamienica i Bílá Voda (kiedyś Kamitz i Weisswasser) od początku swego istnienia były ze sobą silnie związane. Położone w dolinie tego samego potoku, de facto stanowią zrośnięty organizm. Dawny klasztor Pijarów to – patrząc od strony Kamienicy – pierwsze zabudowania w Bílej Vozdzie. Dziś trudno sobie wyobrazić, że przez prawie 60 lat przekraczanie granicy między dwoma miejscowościami, stanowiącymi jedną całość, nie było możliwe, i że jeszcze na krótko przed wejściem Polski i Czech do strefy Schengen obie wsie rozdzielały siatka, rów i zapory czołgowe. Dziś prowadzi tędy droga z równym jak stół asfaltem.

Zapewne ze względu na peryferyjne położenie na skraju cypla otoczonego z trzech stron polską granicą komunistyczne władze postanowiły przekształcić dawną siedzibę pijarów w obóz internowania dla czechosłowackich zakonnic (vide: zdjęcie powyżej, zrobione w roku 2007). Jako miejsce odosobnienia klasztor funkcjonował aż do czasów aksamitnej rewolucji w 1989 roku. Dziś przypomina o tym niewielkie muzeum. Bílá Voda jest też swego rodzaju ciekawostką geograficzno-krajoznawczą, bo to najdalej na zachód położona miejscowość czeskiego Śląska.

Wraz z Schengen w przeszłość odeszły nie tylko kontrole. W polskich Dzierżkowicach, stanowiących naturalne przedmieście czeskiej Opawy, przez długie powojenne dziesięciolecia nie było przejścia granicznego. Przerzucony przez rzekę most był atrapą, bo nie wolno było po nim przechodzić na drugą stronę. Służył dzierżkowickim dzieciom jako plac zabaw i miejsce spotkań (vide: zdjęcie na stronie 40). Każde z nich dobrze jednak wiedziało: na moście wolno się bawić tylko do dziewiątego słupka, bo od dziewiątego zaczynają się Czechy. Od 21 grudnia 2007 roku polskie i czeskie dzieci muszą wymyślać sobie inne zabawy... ■

Dawid Smolorz

– publicysta, tłumacz z języka niemieckiego

Zbigniew Gołasz

Łączyła i dzieliła. Karmiła i zabijała

44

Podczas konferencji pokojowej w Paryżu zdecydowano, że spór na Górnym Śląsku rozstrzygnie głosowanie, w którym obywatele wypowiedzą się, czy życzą sobie przyłączenia do Polski, czy do Niemiec. Kryterium, które miało zdecydować o przynależności regionu, nie była zatem narodowość jego mieszkańców, a oświadczenie woli.

Dawny punkt graniczny między Godulą
(dziś: Ruda Śląska) a Szombierkami (dziś: Bytom)

Początkowo nie zakładano, że dojdzie do podziału. Taką decyzję podjęto później, nie bacząc – z powodów politycznych – na jej konsekwencje gospodarcze i trudności, jakie będą musiały się pojawić przy wytyczeniu linii granicznej. „Przerznięli tyn nasz kochany Ślonsk tom granicom pieronem mondrze, tak że sie dugo nikt w niyj nie mógł połapać” – skomentował tytułowy bohater *Grzesznego żywota Franciszka Buły*, pamiętnego filmu Janusza Kidawy.

Faktycznie – przebieg granicy poplebiscytowej był w wielu przypadkach kuriozalny, ale jej wytyczenie i podział spornego terytorium były zadaniem zaiste karkołomnym. Problemem zajmowała się powołana do tego celu Komisja Graniczna pod przewodnictwem Charlesa Duponta, którego zastąpił później płk Gardan. Początkowo wyznaczono prowizoryczną linię demarkacyjną. Umożliwiła ona stronom objęcie części obszaru plebiscytowego. Do grudnia 1921 roku trwały trójstronne negocjacje pod auspicjami Rady Ambasadorów, podczas których dokonywano korekt. Dochodziło czasem do sytuacji groteskowych. Kośmidry – na przykład – włączono w czerwcu 1922 roku w granice Rzeczypospolitej, ale już w maju następnego roku część wsi znalazła się na powrót w Niemczech (jako Koschwitz). Powody pozostają niejasne – jeśli wieść miejscowej legendzie, członkowie komisji zostali zaproszeni na uroczystość weselną, podczas której biesiadnicy poprosili ich o zmianę przynależności państwowej i włączenie do Niemiec. Nie była to jedyna podzielona granicą miejscowość. Przecięta wpół była też podrybnicka Wilcza.

Na Czarnawce

Granica przerwała 15 linii kolejowych normalnotorowych, 9 wąskotorowych, 7 tramwajowych, 45 dróg, 8 wodociągowych i 12 linii wysokiego napięcia. Biegła przez podwórza, drogi i domy. Czasem opierała się na naturalnych przeszkodach, a ich graniczna funkcja sprawiła, że niewielkie cieki wodne z czasem „urośli” w głowach tutejszych mieszkańców. Płynąca w okolicach Zabrze Czarnawka, którą *bajtle*, łamiąc wszelkie przepisy, splwiałały papierowe okręty na drugą stronę – do Niemiec, w słynnym *Cholonku* Janoscha jest już głęboką na półtora metra, trudną do przebycia rzeką.

4 lipca 1922 roku, za porozumieniem polskich i niemieckich związków zawodowych, w polskich Kończycach (dziś: dzielnica Zabrze) doszło do zawieszenia broni między wciąż walczącymi stronami. Dziwięciopunktowe porozumienie regulowało też ruch na tym odcinku granicy. W tym dniu do Hindenburga (dziś: Zabrze) wkroczyły wycofane w 1920 roku oddziały Reichswehry. Do sąsiednich Kończyc, Makoszów i Pawłowa oddziały polskie wkroczyły już 28 czerwca. Wtedy dokonał się rzeczywisty podział regionu. Granica „rosła”. Kiedy wytyczono jej tymczasowy przebieg, oznaczono ją wiechciami słomianymi, umocowanymi na drewnianych drągach. Kiedy zaś jej kształt został ostatecznie ustalony, wiechcie zastąpiono słupami. Były to tzw. wspólne znaki graniczne. Wyjątek stanowiły odcinki przebiegające wzdłuż cieków wodnych lub dróg. Na przeciwległych bokach owych znaków granicznych wykuto: „P” (dla Polski) i „D” (dla Niemiec). Główne kamienie graniczne (zwane także wersalskimi) miały boki o rozmiarach 40x40 cm (wystawały ponad grunt na wysokość 75 cm). Cały przebieg granicy wyznaczyły mniejsze kamienie (25x25x50 cm).

Na przejściach granicznych ustawiono budki strażnicze. Wpierw małe, prymitywne, potem coraz większe, efektowniejsze. Oddzielały je żółto-czarne i biało-czerwone szlabany. W Zabrzu takich przejść było dziewięć (siedem drogowych i dwa kolejowe). Potem wybudowano domy dla celników, którzy pojawili się obok strażników, policjantów i żołnierzy. Później ludzie ze zdumieniem obserwowali budowę po obu stronach Czarnawki ogromnych drewnianych stodół, które pewnego dnia zniknęły, odsłaniając tajemnicze pagórki zwieńczone kopułami. Na ich przedpolach pojawiły się białe na sztorc szyny i zasieki. We wrześniu 1939 roku pagórki plunęły ogniem ciężkich karabinów maszynowych.

Na szmugiel albo do pracy

Dzieci nie rozumiały nowej rzeczywistości. Przecież po jednej i drugiej stronie ludzie *godali* tak samo. Te same przekleństwa padały, gdy gospodarze gonili chłopców, co przyszli na *raub* (czyli – na przykład – kradli jabłka rosnące na przygranicznej jabłonce). Francik z filmu Kidawy pytał ojca:

- Tata, a po co je granica?
- Po to, coby Poloków łód Niemców oddzielić.
- Ale tam tyż som Poloki, no to po co je granica?

Wielu z niej żyło. Wprawdzie pilnowali jej strażnicy (polskich nazywano „zielonkami”), celnicy i policjanci, to i tak przemysłnicy uczynili z niej źródło dochodów (pięknie tę kontrabandę opisuje Janosch we wspomnianym już *Cholonku*). Bo dla obserwatorów takich scen było to zjawisko niezwykle: „Z mieszkania

mojej babci z Pawłowa obserwowałem wieczorem przemytników, którzy przeskakując Czarnawkę, przemycali do Hindenburga masło, ser i jajka. Były to wieczory pełne napięcia. Dostarczały więcej emocji niż dzisiejsze filmy telewizyjne" (oto jedno z charakterystycznych wspomnień).

Szmuglerzy korumpowali obie strony. Od polskich celników dowiadywali się, gdzie przebywa niemiecki *szupok*. Po sprzedaniu żywności zaopatrywali się w *Reichu* w kamienie do zapalniczek, maggi, cytrusy itp. i pozyskiwali informacje od *szupoka*, gdzie stoi „zielonka”. Czasem jednak dochodziło do strzelaniny. Były ofiary. „Polacy odstrzeliliwli mniej ludzi. Ale o tym każdy mówił co innego: Zając twierdził, że to dlatego, iż są porządniejsi i żał im każdego. Pelka mówił, że to dlatego, iż nie mają precyzyjnej broni i nie potrafią celować" (to fragment z Janoscha).

Karty cyrkulacyjne (wprowadziła je konwencja genewska dla Górnego Śląska, regulująca życie gospodarcze rozdartego regionu) dla wszystkich były błogosławieństwem. Ułatwiały życie. Pozwalały na swobodne przekraczanie granicy, utrzymywanie więzów rodzinnych i normalne funkcjonowanie gospodarstw domowych. Na przejściu Hindenburg Süd – Pawłów Lisówka odprawiano dziennie 2 tysiące osób i 15 samochodów, a na odcinku między Pawłowem i Zaborzem 1,3 tysiąca osób i 10 samochodów. Na przejściu kolejowym Sośnica – Makoszowy 200 osób.

Ci z Rzeszy przybywali na położone po polskiej stronie przygraniczne targi. Mieszkańcy Hindenburga co wtorek udawali się do Kończyc, gdzie zaopatrywali się w mięso, kiełbasy i słodycze, zjadali obiad, a potem wracali do domu. Handel kwitł nawet w niedzielę, choć ustawowo w Polsce był zakazany. Mieszkańcy Kończyc i Pawłowa z kolei podróżowali do Hindenburga, by kupować wysoko przetworzone artykuły przemysłowe czy – u Woolwortha – wyprawki szkolne dla dzieci. Przede wszystkim zaś udawali się do pracy, do pobliskich kopalń „Delbrück” i „Guido”, gdzie wybudowano nawet specjalne baraki – aby ich tylko zatrzymać.

Przejście między Kończycami a kopalnią otwarte było w godzinach tzw. zmian (5.00-7.00, 12.00-14.00, 21.00-23.00). Przekraczało je dziennie 100 osób, a między Makoszowami i kopalnią aż tysiąc osób i 30 samochodów.

Ucieczki i wysiedlenia

46

Ta granica widziała wędrówkę ludów, której skali nikt do dziś nie oszacował. Na terenach przyznanych Niemcom ponownie zaczęła działać Policja Plebiscytowa, ale złożona już tylko z niemieckich funkcjonariuszy. Miejscowi Polacy z dnia na dzień zostali pozostawieni samym sobie, bez jakiegokolwiek ochrony. Zagrożeni działacze plebiscytowi i powstańcy opuszczali te tereny w obawie o życie, co zrozumiałe w świecie zbrodni dokonywanych przez niemieckie bojówki.

Wiosną 1922 roku Niemcy zaczęli wysiedlać. W końcu maja terror był już nie do wytrzymania. Zaczęli wyjeżdżać nawet ci, którzy trwali tu z nadzieją na zmianę przebiegu granicy. Uchodźcą z Zabrza musiał na przykład Bronisław Hager, polski komisarz plebiscytowy na powiat zabrzański [por. jego wspomnienia, które opublikowaliśmy w poprzednim numerze „Fabryki” – przyp. red.], być może unikając losu zamordowanego w Gliwicach doktora Wincentego Styczyńskiego, w latach 1919-1922 radnego i przewodniczącego frakcji polskiej w tym mieście.

Na przejściach granicznych tworzyły się kilometrowe korki wozów, załadowanych dobytkiem, nieraz zde-molowanych przez bojówkarzy. Nie było co począć z uciekinierami. Po drugiej stronie granicy zaczęto stosować więc represje wobec rodzin niemieckich. Taka sytuacja trwała przez cały czerwiec 1922 roku. Dla uchodźców zaczęto budować osiedla mieszkalne, początkowo tymczasowe. Ludzie najchętniej osiedlali się tuż za granicą, w nadziei, że jej przebieg się zmieni. Ci z niemieckiego Zaborza – w Pawłowie, a ci z Pawłowa – w Zaborzu.

W dalszym ciągu trwały walki między Selbstschutzem a byłymi powstańcami. Ci drudzy podjęli nawet próbę zbrojnego włączenia kopalni „Delbrück” („Makoszowy”) do Polski. Ostatecznie 6 czerwca 1923 roku Komisja Graniczna przyznała ją Niemcom, kończąc tym samym polsko-niemiecki spór. „Przylączenie kopalni do miasta Zabrza w niemieckiej części Górnego Śląska spowodowało wielkie niezadowolenie wśród mieszkańców Kończyc, Pawłowa, Makoszów, Paniówek, Przyszowic i okolicy. Po stronie polskiej urządzano wielkie manifestacje protestacyjne, nie odniosły one żadnego rezultatu” – wspominał Józef Bobrowski, wówczas funkcjonariusz Policji Górnego Śląska (20 lat później jeniec Ostaszkowa, zamordowany przez NKWD).

Ta granica nie zadowalała żadnej ze stron. W latach 30. przekraczały ją nielegalnie setki bezrobotnych poszukujących pracy w Niemczech. Zatrzymywani przez niemieckich pograniczników, byli odsyłani z powrotem. Na przełomie roku 1938 i 1939 w okolicach Zabrza rozgrywały się dantejskie sceny: „Na wiosnę na zardzewiałych i zablokowanych już też potężną *szwelą* szynach kolejki wąskotorowej, przebiegających za szkołą, miało miejsce wydarzenie, które nawet dla nas, *bajtli*, było wstrząsające. Na torach kolejki stała grupa osób, płaczących i starających się uciec bądź w jedną, bądź w drugą stronę, jednak zapobiegali temu z jednej strony



policjanci, a w pewnym oddaleniu widoczni żołnierze, a z drugiej policjanci w *feldgrau*, w charakterystycznych czapkach. Wydarzenie to trwało kilka dni”.

To obraz Żydów bezpieczeństwa, których naziści wyrzucali z Rzeszy, zapamiętany oczami uczniów szkoły z osiedla Karmańskie (obecnie: Ruda Śląska). Tym ludziom pozwalano zabrać równowartość 10 marek i bagaż osobisty, a następnie przerzucano przez „zieloną granicę”, gdzie z kolei polska policja uniemożliwiała im przejście. Żydzi błakali się przez wiele dni w pasie przygranicznym, aż ostatecznie wpuszczono ich do Polski. Takie zdarzenia powtarzały się od „kryształowej nocy” do sierpnia 1939 roku, bo wkrótce tę granicę przekroczyła „armia cieni”. Proniemieccy uciekinierzy z Polski zasilili szeregi niemieckich Freikorpsów. Przygotowano dla nich kwatery przy kopalni „Guido” i szybie „Hermann” w Zabrze, gdzie po szkoleniu oczekiwali na wykonanie zadania – atak na Polskę i zniesienie nie tylko tej granicy.

Po drugiej stronie do obrony szykowali się dawni powstańcy i Oddziały Młodzieży Powstańczej. Do kopania transzei i budowy zapór przyjechali nawet junacy z Podola. W sierpniu granica stała się w ogniu. W nocy z 23 na 24 sierpnia oddział Freikorpsu Ewalda von Wulfena zaatakował stację kolejową w Makoszowach, którą po ciężkich walkach odbito. Fakt ten był powodem ostrej noty dyplomatycznej, którą władze polskie skierowały do Berlina. Mimo to walki trwały nadal, a zaniepokojeni mieszkańcy szykowali się do wojny. Wielu – zarówno z jednej, jak i drugiej strony – zamierzało opuścić swe domy.

We wrześniu poplebiscytowa granica wiele zobaczyła: zacięte walki na polach nad Czarnawką, bohaterstwo obrońców, którzy przez trzy dni stawiali opór, wkroczenie oddziałów polskiej samoobrony do niemieckiego Zaborza, hitlerowskie flagi, które nagle zawisły na pawłowskich domach. Potem zniknęła. Szybciej niż powstała. Idące do szkoły dzieci z osiedla Karmańskie nie przechodziły już obok białoczerwonych i żółto-czarnych szlabanów. W połowie września uruchomiono komunikację autobusową, łączącą Hindenburg z do niedawna polskimi Kończycami. W październiku zaś wschodni Górny Śląsk wcielono do Rzeszy.

Ta granica – mimo że mija prawie wiek od jej wytyczenia i 70 lat od likwidacji – ciągle tkwi w świadomości tutejszych mieszkańców. Bo wpłynęła na losy i doświadczenia historyczne górnośląskiej społeczności. Dla tych, co mieszkali po jej niegdyś polskiej stronie, wojna zaczęła się w roku 1939. Dla tych z drugiej strony – dopiero w 1945 roku. ■

Zbigniew Gołasz

– historyk, pracownik katowickiego Instytutu Pamięci Narodowej

Victor Kaluza

Nad Czarnawką

Czarnawka!
Wszyscy o tobie mówią, jakbyś była jakąś rzeką.
Rzeką?
Nawet strumykiem nie jesteś. Jesteś rowem
granicznym, i to całkiem zwykłym.
Hoppla! I już się jest po drugiej stronie.
Hoppla! I już się jest z powrotem.
A po tej stronie jest łąka, taka sama jak po tej dru-
giej. A na niej stokrotki, ale wszystkie jakieś liche.
Zaś trawa, zdaje mi się, w smaku przypominać
musi metalowe wióry.
Czarnawko, wodna strużynko, może kiedyś
w twoich brązowych jak kawa mydlinach da się
złapać choć jaką rybkę — — — Ale gdzie tam, ani
ryby, ani żaby, ani raka, ani kraba tu nie uświad-
czysz. No ale pień się, Czarnawko, pień.
Nie chcę ci ubliżać.
Latem w twoich ściekach kąpią się haldziane
dzieci [...].
Czarnawko, niegdyś przy twych brzegach chowały
się rude lisy. Dziś czają się pogranicznicy.
Nocą po twych wawozach przeganiają się prze-
mytnicy [...].
Kryje się tu wiele dróg prowadzących do Niemiec.
I wiele dróg, które prowadzą do Polski.
Z jednego zagłębia górniczego do drugiego.
W powietrzu wisi most.
Z tej strony wysadzono jego filary. Z tamtej strony
wysadzono jego filary. I tak wisi w powietrzu.
Na wszelki wypadek...
Pień się, Czarnawko! [...]
To była osobliwa linia, cała ta granica.
Przebiegała przez pola i lasy, przecinała wioski,
a nawet zagrody. Bywało, że w jednym gospo-
darstwie chłopskim koń żarł z polskiego koryta,
przeganiając ogonem niemieckie muchy, albo że
kura piała w Niemczech, że zniosła w Polsce jajo.
Owszem, tak właśnie przebiegała ta granica.
— Ucho — powiedział kumpel Janek i złapał się za
prawe ucho.
Potem zakomenderował: — A teraz całować na opak!
I ucho stało się Ohr, zaś Ohr stało się uchem.
Wydarzyło się w okolicy, że jakiś celnik zastrzelił
pewnego przemytnika podczas ucieczki.
Biedny grzesznik leżał tak na drodze łączącej dwie
wioski i nikt nie chciał go pogrzebać.
Przyszł raz soltys jednej wioski i rzekł:
— Odmawiamy pokrycia kosztów pochówku.
Przyszł soltys drugiej wioski i rzekł:
— Odmawiamy pokrycia kosztów pochówku.
Tymczasem nieboszczyk leżał twarzą do ziemi
i gryzł trawę. W godzinę śmierci przygrywała mu
wielka niebieska mucha.
Wtem nadszedł kumpel Janek i dowiedział się,
w czym spór między władzami.
Wlazał na betonowy słupek, zamachał kapeluszem

i przemówił: – Pograżeni w żalobie mieszkańcy! W imieniu tego brata mojego w Chrystusie składam wam dzięki za życzliwe współczucie z powodu jego śmierci. Szczególnie dziękuję wam za wezwanie tak licznych grabarzy.

Mówiąc to, wskazał na mrowie żółto-czarnych chrząszczy, jakie zwykle gromadzą się wokół trupów. Nad wioską Bogunice przeszedł raz kiedyś potężny deszcz, zmieniając tamtejszy strumyk w rwący potok.

Kumpel Janek, który zmierzał właśnie w kierunku wsi [...], usłyszał nagle dobiegające od strony wody wołanie o pomoc.

Pospieszył w stronę brzegu i ujrzał tonącego mężczyznę, którego niosły fale.

Zebrał się na odwagę, wskoczył do potoku i szczęśliwie wydostał topielca na brzeg.

Nagle zza krzaków wyłonił się celnik, w opryskliwy sposób domagając się okazania dokumentów.

– Nie wiedziałem, że najpierw trzeba zwrócić się do urzędu z prośbą o pozwolenie na uratowanie kogoś – rzekł kumpel Janek, po którym, tak jak po uratowanym, ściekała woda jak po jakimś pudlu.

– Ten strumyk leży już po stronie niemieckiej – odburknął celnik. – Macie pozwolenie na przekroczenie granicy?

– Surowy stróżu niewidocznej linii, pozwolenia na przekroczenie granicy nie posiadam – odrzekł kumpel Janek.

Z zimna dzwonił zębami.

Uratowany, dygocząc na całym ciele, powiedział zaś: – Pozwolenia na przekroczenie granicy nie posiadam i ja.

– Zatem obaj dopuściliście się przestępstwa – grzmiał celnik. – Na posterunek!

– Chętnie uczynimy zadość Waszemu uprzejmemu zaproszeniu – uklonił się kumpel Janek, tak że woda z jego kapelusza spłynęła na ziemię – ale pozwólcie, byśmy wcześniej włożyli na siebie coś odświętnego.

– O stosowny ubiór już my się postaramy, będzie leżał jak ulał. A teraz napróżd! – powtórzył celnik swój rozkaz.

Wobec tego nie ociągali się już dłużej...

Z powodu niedozwolonego przekroczenia granicy obaj otrzymali karę po trzydzieści złotych albo trzy dni aresztu.

Wybrali areszt. [...]

Przemyt kwitł.

Dzięki niemu niejedną po tej czy po tamtej stronie granicy mógł jakoś przetrwać.

Pogranicznicy czaili się jak lisy.

Codziennie wylapywali któregoś z grzeszników.

Ale grzesznicy są pomysłowi i wynajdowali coraz to nowe sposoby i wybiegi. Maskowali się i ostrzegali nawzajem.

A jeśli byś, polski patrioto, zechciał posłodzić sobie kawę tableteczkami z przemytu, zwanymi sacharyną, to swoje filiżanki ustawiłbyś rzędem od Katowic do samej Warszawy. Padł strzał. Jakiś przemysłnik, ciągnący połowę świniaka, upadł martwy.

W dzień dawali sobie znaki chorągiewkami.

W nocy sygnałami świetlnymi.

Korzystali z pomocy niewinnie bawiących się dzieci, by przemysłniczy łup przeciągnąć przez graniczny rów.

Korzystali ze składów z węglem.

Ze skrytek w samochodach.

Z dziewczek wypchanych watą.

Z fałszywych mnichów.

Gazety co dzień donosiły o beczelnych aferach związanych ze szmugłem, do jakich dochodziło w dolinie Czarnawki, wzdłuż Bytomki, w lasach wokół Lublińca.

Triki zmieniły się w technikę.

Stuosobowe bandy pracowały według strategicznych planów.

A jak jeden kofnął i gryzł ziemię, to kto by się tym przejmował. Nikogo to nie odstraszało.

Nawet pociski z gazem łzawiącym niewiele pomagały.

Ha, ha, gdyby z przeschmuglowanych polskich jaj usypać górę, to ta śmiało mogłaby konkurować z Górą od świętej Anny, a gdyby do tego dolożyć jeszcze masło potrzebne na ich usmażenie, to jej wierzchołek dawno byłby zdobyty.

A jeśli byś, polski patrioto, zechciał posłodzić sobie kawę tableteczkami z przemytu, zwanymi sacharyną, to swoje filiżanki ustawiłbyś rzędem od Katowic do samej Warszawy.

Nad Czarnawką padł strzał.

Jakiś przemysłnik, ciągnący za sobą połowę świniaka w worku, upadł na ziemię, martwy.

Powiadomiono wdowę.

Ta, rozplywając się we łzach, jęła narzekać: – Kto tera kupi trumnę? Kto zapłaci za farorza?

Ja nie mam ani grosza.

– Nie martw się, ja się tym zajmę – powiedział kumpel Janek.



I poszedł zamówić karawan.
 Ale przemysłnicy mieli jeszcze sześć świniaków,
 które w nocy trzeba było przewieźć do Niemiec.
 – To się dobrze składa – rzekł kumpel Janek i załadował towar do karawany.
 – W drogę! – rozkazał karawaniarzowi.
 Karawaniarz ruszył.
 Kumpel Janek, krocząc za karawanem, przybrał żalobną minę.
 Gdy dotarli do granicy, nie mógł już powstrzymać łez.
 Zaczął szlochać, jakby stracił coś najcenniejszego na świecie.
 – Braciszku, o braciszku, tak wcześniej ci się zeszło! – lamentował.
 Przejęty tą sceną celnik zasalutował i milcząco patrzył, jak kondukt znika za szlabanem.
 Tak oto kumpel Janek przewiózł kontrabandę przez granicę, a nieboszczyka do domu, gdzie z pieniędzy z przemytu odprawił mu pogrzeb.
 Całymi grupami zeszli się przemysłnicy z tej i z tamtej strony, by oddać ostatni pokłon swemu towarzyszowi.
 A tymczasem kumpel Janek pocieszał wdowę [...].
 Kiedy kumpel Janek przyszedł nad Czarnawkę, zobaczył, jak cieśle z tej i z tamtej strony uwijali

się nad mostem, co wisiał w powietrzu, a teraz miał połączyć oba brzegi.
 Stukały młoty.
 Świszczały pily.
 A słowa, niemieckie i polskie, latały niczym kolorowe pileczki od cieśli z tej strony brzegu w kierunku cieśli na drugim brzegu.
 Kumpel Janek nie dowierzał własnym oczom.
 Zapytał więc: – Co to ma znaczyć?
 Cieśle odparli: – Dwa narody chcą sobie podać ręce. Budujemy most.
 – Prawda to?
 – Sami widzicie.

Na to kumpel Janek przedarł się przez stos dyli i desek, wspiął się na most i przeszedł na jego środek.
 Tam stanął, rozpostarł ramiona i ustawił się niczym drogowskaz: W stronę Niemiec! W stronę Polski! ▣

Przekład z jęz. niem.: MARCIN WIATR

fragmenty powieści *Das Buch vom Kumpel Janek*
 (Książka o kumplu Janku), Paul Kupfer Verlag,
 Breslau (Wrocław) 1935

Victor Kaluza (1896-1974)

– prozaik i poeta, nauczyciel w powiecie toszeckogliwickim, socjaldemokratyczny samorządowiec, od 1946 roku mieszkał i pracował w Holzkirchen (Bawaria)

Stanisław Bieniasz

Granice w naszych głowach

Czy jest szansa, by niechęć śląsko-zagłębiowska, która bynajmniej nie wybuchła w ostatnich latach, lecz towarzyszyła już poprzednim generacjom, odeszła w przeszłość? By dawne granice zaborów przestały dzielić ludzi, mówiących wszak tym samym językiem i posiadających w gruncie rzeczy takie same problemy i wspólne interesy?

Nie podzielam zdania,
że konflikty można wyciszać
przez przemilczenie.
To tylko w wyobrażeniach
cenzorów problem
nienazwany nie istnieje.

Nie podzielam zdania, że konflikty można wyciszać przez przemilczenie. To tylko w wyobrażeniach cenzorów problem nienazwany nie istnieje. Fakty, nawet jeśli należą do historii, mają to do siebie, że niewyjaśnione odbijają się rykoszetem w najbardziej irracjonalnych kontekstach. Doświadczaliśmy tego na nieporównanie większą skalę w stosunkach polsko-niemieckich, które po dziesięcioleciach chwilami obsesyjnej nieufności mogły wejść na drogę normalizacji dopiero w wyniku długiego procesu, zapoczątkowanego słynnym listem biskupów polskich, który rozwścieczył Gomułkę, ponieważ napisali w nim: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”, mając na myśli m.in. zbrodnie wysiedlenia. Nie można chować głowy w piasek ani w stosunkach między państwami, ani w życiu sąsiedzkim.

Fakty zaś są takie, że Zagłębie Dąbrowskie, w którym ze względu na wysokie bezrobocie i nędzę przed wojną powstał silny ośrodek komunistyczny, było przez władze PRL-u traktowane jako rezerwuuar kadr administracyjnych i policyjnych do nadzorowania Górnego Śląska. Niepewnego z wielu powodów: jako dawnej prowincji Niemiec, jako ziemi posiadającej tradycje samorządności ze względu na autonomię w Polsce przedwojennej i wreszcie jako kraju na wskroś katolickiego.

Górny Śląsk i jego rodzimi mieszkańcy zostali przez politykę polską w okresie powojennym, a zwłaszcza w epoce stalinowskiej, uprzedmiotowieni w znacznie większym stopniu, niż stało się to udziałem innych ziem. Prawdopodobnie większość mieszkańców Zagłębia miała do sąsiadów zza Brynicy stosunek ambiwalentny, bo większość zawsze ma taki stosunek do zjawisk, które nie dotyczą jej osobiście. Ewentualne wątpliwości skutecznie tłumił rozkwit Sosnowca za czasów Gierka, który inwestował w swoje rodzinne strony kosztem reszty województwa. Nie wykluczam jednak, że najbardziej świadli Zagłębiacy przyjmowali tę sytuację z niesmakiem.

Czemu się zresztą dziwić, że niechęć panuje na linii Brynicy, skoro na samym Górnym Śląsku zauważalne są inne jeszcze granice? Nie chcę już przypominać, że w wielu wypadkach ujawniają się podziały na autochtonów, kresowiaków i werbusów. Jest to problem, który najlepiej zostanie rozwiązany poprzez rozwój samorządności. Zdumiewa mnie jednak to, że w świadomości ludzi zasiedziały na Górnym Śląsku od pokoleń nadal żywa jest granica, którą nazwałbym „plebiscytową”. Jak to się stało, że granica, która istniała zaledwie przez kilkanaście lat – od podziału Górnego Śląska po powstania i plebiscyte do napaści Hitlera na Polskę – wpływa na świadomość trzeciego i czwartego pokolenia?

Po wojnie ziemia ta przypadła w całości Polsce. Prześladowania ze strony Sowietów oraz polskich władz komunistycznych dotyczyły wszystkich Górnoszlązaków, aczkolwiek niemieckich w stopniu nierównie większym. Granica represji pokrywała się mniej więcej z poplebiscytową granicą polsko-niemiecką. I prawdopodobnie to właśnie spowodowało jej utrwalenie w świadomości mieszkańców. Sprawili, że dzisiaj Opole boi się jak ognia dominacji Katowic, że na zachód od „linii Czarnawki” mniejszość niemiecka jest o wiele bardziej liczebna niż na wschód od dawnej granicy, że tak trudno porozumieć się nawet w ramach grupy o jednolitym, wydawałoby się, pochodzeniu. Wszak stawka jest ogromna: odzyskanie podmiotowości regionu w coraz bardziej scentralizowanym państwie (...).

Nie dość tego, że my, Ślązacy, nie potrafimy przemówić jednym głosem, bo szansę na to zaprzepaszczone w nazbyt elitarnym i w pewnym sensie nacjonalistycznym, skoncentrowanym na zdobywaniu posad Związku Górnoszląskim, to obecnie, wyzbywszy się po części strachu przed represjami, często dajemy wyraz swojej niechęci wobec Zagłębia i Zagłębiaków.

Szczególnie dotyczy to obszaru między dawnymi granicami na Czarnawce i na Brynicy, a więc przedwojennej polskiej części Górnego Śląska. Tymczasem wszelkie podziały i przejawy niechęci są szkodliwe, zwłaszcza w sytuacji, kiedy nadal nie udało nam się – i to nie udało się w większym stopniu niż innym regionom – odzyskać swojej podmiotowości na własnej ziemi. Nie ma więc innej rady, jak cierpliwie tłumaczyć zaszłości i ich tło, a równocześnie – budować przyszłość.

Nie zgadzam się z tymi, zarówno po tej, jak i tamtej stronie Brynicy, że Zagłębie powinno przyłączyć się do Małopolski albo do Kielecczyny. Organizmy miejskie okręgu

Dzieli nas tylko historia. Łączą wszystkie sprawy dnia dzisiejszego: katastrofalny stan środowiska, problemy restrukturyzacji przemysłu (...), zdewastowana infrastruktura miejska. I samotność naszych władz samorządowych wobec warszawskiego centralizmu.

katowickiego z miastami GOP-u oraz Sosnowca z okolicami są zrośnięte w tak wieloraki sposób, że przywracanie granic z czasów, gdy Zagłębie należało do zaboru rosyjskiego, a Górny Śląsk stanowił najbardziej na wschód wysuniętą prowincję niemiecką, byłoby co najmniej nierozsądne.

Dziś dzieli nas tylko historia – to prawda, że niedawna, a w związku z tym nadal bolesna – łączą nas wszystkie sprawy dnia dzisiejszego: katastrofalny stan środowiska, problemy restrukturyzacji przemysłu, która po pięciu latach rządów pokomunistycznych jeszcze się na dobre nie zaczęła, zdewastowana infrastruktura miejska, i samotność naszych władz samorządowych wobec warszawskiego centralizmu.

Wydaje mi się, że najwyższy czas, by skoncentrować siły i domagać się jednym głosem bardziej sprawiedliwego udziału województw górnośląskich w budżecie państwa, udziału proporcjonalnego do ich wkładu. Szczególnie dotyczy to województwa śląskiego, rabowanego od czasu, gdy „Śląsk odbudowywał stolicę” (zresztą razem z Zagłębiem), aż do dzisiaj, że wspomnę tylko sytuację sprzed kilku lat, kiedy cena na węgiel była jedyną ceną państwową, a śląskie kopalnie brnęły w dług, bo musiały zaopatrywać się na wolnym rynku.

Z pewnością pokonaniu animozji nie służą napisy „Gorole do Zagłębia” i „Hanysy do Niemiec”, tym bardziej że w okresie hitlerowskim zarówno jedni, jak i drudzy stali się obywatelami Rzeszy i wolno im było umierać za Führera. Górnoślązaków i Zagłębiaków łączy więc nie tylko teraźniejszość, lecz do pewnego stopnia także historyczna wspólnota losu. Tylko że o tym wszystkim trzeba mówić pełnym głosem, unikając zbędnych uogólnień negatywnych i jak ognia wystrzegając się inwektyw. Nie musimy się specjalnie lubić, wystarczy, że będziemy się respektować. Niestety, tolerancja z reguły przychodzi łatwiej w stosunku do obcych i dalekich niż do bliskich. ■

Przedruk:

Stanisław Bieniasz, *Górny Śląsk – świat najmniejszy. Szkice – publicystyka – proza.*
Wybór, wstęp i opracowanie: Krzysztof Karwat. Gliwice 2004, s. 69-71

Stanisław Bieniasz (1950-2001)

– dramaturg, prozaik, reżyser, publicysta

Z obu brzegów Brynicy

56

Co rozdziela Górny Śląsk od Zagłębia? Czy tylko Brynica, którą już od bez mała wieku nie przebiega granica państwowa? Powody, dla których ta niewielka rzeka zasłużenie urosła do rangi symbolu śląsko-zagłębiowskich podziałów, są skomplikowane, a ich korzenie sięgają głęboko nie tylko w przeszłość całego Śląska, ale i Małopolski.

Piekary Śląskie. Tędy biegła dawna granica.

Ta granica budzi kontrowersje, albowiem tereny uważane za rdzennie śląskie – w powszechnej świadomości najbardziej wręcz śląskie, bardziej niż prastare Wrocław, Opole czy Racibórz – były kiedyś częścią Małopolski. Dawno, dawno temu – ale jednak. Czy jeszcze odbija się w świadomości współczesnych?

Inni, obcy, „z zewnątrz”

– Podziały pomiędzy Ślązakami i Zagłębiakami były naturalne – uważa Dariusz Jurek z Forum dla Zagłębia Dąbrowskiego. – Wynikały z tego, że mieli różne historie, odkąd Śląsk w XIV wieku odpadł od Polski. Owe dwie historie, wygenerowane w odmiennych organizmach państwowych, musiały skutkować różnicami kulturowymi.

Roman Kiera z Dąbrowki Wielkiej (obecnie dzielnicy Piekar Śląskich, dawniej gminy na samym pograniczu, gdzie eskapadę za Brynicę określano „chodzeniem na polskie góry”), członek Związku Górnośląskiego, zapytany o to, czy jego ziomkowie odczuwają różnice między nimi a Zagłębiakami, odpowiada: – To pytanie retoryczne. Dziś różnice w pewnym stopniu już się zatarły, ale kiedyś były oczywiste. Ludzie po naszej stronie podkreślali, że Polska jest tam za Brynicą, a tu u nas już co innego. Odczuwalne były odmienne mentalności, kontrast w rozwoju cywilizacyjnym i stopniu uprzemysłowienia. Różnice pomiędzy śląską kulturą miejską a tą zagłębiowską, wciąż w znacznej mierze wiejską, potwierdzała nadgraniczna wymiana handlowa: tam brali produkty technologiczne, tu przywozili produkty rolne.

– Granica na Brynicy istniała długo, a zawsze na tych zza granicy patrzy się inaczej. Że są inni, obcy, z zewnątrz. Łatwo obciążać ich winą za wszystkie problemy – uważa Helena Leśniowska, prezes koła Związku Górnośląskiego w Piekarach Śląskich. – Pewnie taki problem występuje na każdej granicy.

Znaczenia utrwalonego w świadomości obrazu śląsko-zagłębiowskiego usoku cywilizacyjnego nie należy bagatelizować, jednak dodać trzeba, że jego charakter w skali całych regionów to już kwestia dyskusyjna. – Idealizujemy XIX-wieczny Górny Śląsk – dowodzi historyk Zygmunt Woźniczka, profesor Uniwersytetu Śląskiego. – Jego wszechobecny porządek, schludne osiedla robotnicze z wieloma udogodnieniami – to oczywiście prawda. Jednak pamiętajmy, że w tym czasie w Zagłębiu przemysłowcy budują takie same jak na Śląsku osiedla przemysłowe, też uporządkowane i czyściutkie. Kilka przykładów: Saturn – piękne osiedle robotnicze, podobnie Ostrowy Górnicze, nazywane kiedyś Niemcami, Pekin – nowoczesne osiedle zbudowane przez fabrykantów francuskich. One nie ustępowały śląskim, a pałace fabrykantów zagłębiowskich również nie były mniej okazałe.

– Granica między Śląskiem i Zagłębiem nie była nieprzenikalna, nie ciągnęły się wzdłuż niej zasieki z drutu kolczastego – zwraca uwagę historyk Dariusz Nawrot, profesor Uniwersytetu Śląskiego. – Ponad granicą toczyło się normalne życie. Ludzie utrzymywali kontakty, bywało, że zawierali małżeństwa.

Owej transgranicznej fraternizacji sprzyjać mogły zachodzące nad Brynicą istotne przemiany demograficzne. „Oczywiście żyją do dziś Zagłębiacy »z dziada, pradziada«, którzy sięgają korzeniami do epoki sprzed XVIII wieku, kiedy był to teren rolniczy, ale większość ludzi żyjących obecnie na tym obszarze to potomkowie przybyłych tu w XIX wieku. Napływ ludności towarzyszył też kolejnym falom industrializacji, w tym tej w latach 60., 70. XX wieku. W epoce Edwarda Gierka do Zagłębia ściągano tysiące ludzi, którzy trafiali na place budów takich inwestycji jak m.in. Huta Katowice. To sprawiło, że faktycznie mamy tu prawdziwy konglomerat ludności i wiele rodzin, których korzenie sięgają Kielecczyzny” – mówił Nawrot w wywiadzie dla „Dziennika Zachodniego”. Charakterystyczny rys ludności Zagłębia, jakim był szlachecki charakter zagłębiowskiej inteligencji i nawet części klasy robotniczej („Tramwajami kierowali szlachcice, a nawet woźny bywał herbowy” – zauważa Woźniczka), odszedł do przeszłości wraz z II wojną światową.

57

Przyszli ci „zza rzeki”

II wojna światowa srogo doświadczyła Górnoślązaków, brutalnie przekopując tradycyjną strukturę społeczną. To musiało przełożyć się na kulturę i obyczajowość. Napływowi *chadziaje* – jak ich nazwali autochtoni – mocno zachwiali śląskim światem. Powojenne deportacje i napływ przesiedleńców ze Wschodu zmieniły też oblicze Dąbrowki Wielkiej. – Teraz młodzież nie czuje już tej granicy, nie zna historii – stwierdza Roman Kiera. – Młodzi to *smola*. Dla nich liczy się, jakie mieć auto czy jak wziąć kredyt. Na zebrania Ruchu Autonomii Śląska przychodzi mało młodzieży, w Związku Górnośląskim też nie ma jej wiele.

A historię powinno się znać, zwłaszcza jeżeli ktoś szukałby wydarzeń z przeszłości integrujących oba brzegi Brynicy. Prof. Nawrot uważa, że jest wiele wydarzeń godnych pamięci, świadczących o współpracy między Ślązakami i Zagłębiakami: – Istotne, że przelewali krew, nie wojując przeciwko sobie, tylko walcząc razem – jako powstańcy, legionści czy żołnierze Wojska Polskiego. Zachował się na przykład interesujący opis u jednego z pamiętnikarzy z czasów powstania styczniowego, gdy przybyła grupa żołnierzy pruskich z Bytomia. Powiedzieli: „My nie żadne Niemce, jeno my Ślązaki, przeca my wiemy, że Polska to taka rodna

Macierz, i nasza jako i wasza". Po czym walczyli z powstańcami w jednym szeregu. I to jest piękne. Ale pamiętać należy także o chwilach, gdy stawali przeciwko sobie. Po obydwu brzegach Brynicy pamięta się, że przyszedli ci „zza rzeki” i wyrządzili nam krzywdę.

Przykłady? Oto one. Prof. Nawrot: – W 1914 roku, po zajęciu Zagłębia Dąbrowskiego przez wojska niemieckie, w chwili gdy dowództwo niemieckie obawiało się odbicia regionu przez Rosjan, zagłębiowskie kopalnie przybyli niszczyć fachowcy z Górnego Śląska. Kopalnie zostały zalane, z braku węgla stanęły wszystkie zakłady przemysłowe, brak pracy był powszechny, a ilość żywności zapewnianej przez Niemców pokrywała jakieś 20 procent zapotrzebowania. Mieszkańcy masowo uciekali do swych rodzinnych wsi. Liczba ludności miejskiej spadła o jedną czwartą. Zagłębiacy, żeby przetrwać zimę roku 1914/1915, zjedli wszystkie koty i psy. Przez lata pamiętano o tych wydarzeniach, a za tragiczne położenie obwiniano Ślązaków, którzy tak fachowo i skutecznie zniszczyli zagłębiowskie kopalnie.

Złą pamięć zostawiła też następna wojna światowa, gdy Ślązacy przybyli w mundurach Wehrmachtu albo i SS. – Po II wojnie światowej z kolei wiele krzywd wyrządzono Ślązakom, spadły na nich represje i nie bez powodu uważano, że prawie wszyscy funkcjonariusze milicji na Górnym Śląsku pochodzili z Zagłębia – przypomina prof. Nawrot.

– Piekło i zagłębiowski rabunek! – podsumowuje z goryczą pierwsze powojenne lata śląski pisarz i publicysta Alojzy Lysko, który w wojnie upatruje najgorętsze zarzewie śląsko-zagłębiowskich żalów. – Przykładowo, jakaś poniemiecka willa – już tam siedział *Zagłębiok*. Włazili na gotowe mieszkania i brali meble, łachy, wszystko. Najlepsze stanowiska mieli, choć czasem *nieczytali* i *niepisali*. A Ślązacy tylko do roboty.

Lysko z mieszanymi uczuciami wspomina czas swej edukacji w zagłębiowskiej „Szttygarce” w Dąbrowie Górniczej: – Ja uprzedzeń nie miałem w sobie, nawet nie wiedziałem, co to jest Zagłębie, ale oni byli źle nastawieni do Ślązaków. Gdy szliśmy na zajęcia, osiedlowe *chachary* spały, jednak po południu na nas polowali i bywało tak, żeśmy się ścierali ze sobą. Nie przypominam sobie jednak, byśmy ich przedtem wyzywali. Miejscowi mieli uprzedzenia do Ślązaków, nie mogliśmy za bardzo się tam odkrywać.

Ale Lysko widzi i drugą stronę medalu: – Zawsze będę mówił dobrze o Zagłębiakach, bo miałem tam wspańiałych Zagłębiaków jako nauczycieli i klasowych kolegów. To ci nauczyciele uczynili ze mnie światłego człowieka. Oni nas, Ślązaków, cenili i mieliśmy wśród nich poważanie. Kiedy moja matka w śląskim stroju przyjechała na wywiadówkę, grono pedagogiczne z szacunku wstało z krzesel i zaprosiło ją do pierwszego rzędu. „*Synku, mje tak jeszcze żodyn nie uszanował, jak w tyj szkole*”, wspominała długo. Prywatnie można było mieć do Ślązaków stosunek serdeczny, ale publicznie trzeba było mówić o nas źle.

O tym, że Polska Ludowa preferowała zagłębiowską klasę robotniczą, świadczyć może popularne niegdyś wśród górników kopalni „Andaluzja” (Piekary Śląskie, Brzozowice-Kamień) powiedzenie: „Co kierownik to z Bobrownik. A zastępca kierownika z Rogoźnika”. Po śląskiej stronie Brynicy, tuż nad dawną granicą, nie żywiono, jak widać, wątpliwości co do tego, że łatwiej o awans przybyzszom niż rdzennym Ślązakom.

Ale przecież bywało i na odwrót. W owych tragicznych dla Zagłębia latach 1914-1915 niejednej rodzinie zza Brynicy (m.in. z nadgranicznych Milowic) pozwolił przeżyć fakt, że wielu tamtejszych górników znajdowało zatrudnienie w śląskich kopalniach, gdzie wobec rozmiarów mobilizacji do niemieckiej służby wojskowej stanowili bardzo pożądaną siłę roboczą. Przy okazji jednak i tanią, bo Zagłębiaków opłacano znacznie gorzej niż obywateli niemieckich. Górnoślązacy zaś spoglądali na tych swoich kolegów jak na pracowników gorszej kategorii, wręcz intruzów.

„Chcą z nas zrobić Ślązaków”

Frustracja dzisiejszego Zagłębia ma inne przyczyny. Zdaniem jego mieszkańców Zagłębie jest w województwie śląskim marginalizowane. Ze Śląskiem – podkreślimy – zespawała je w pierw III Rzeszy, później tę decyzję utrwalił komunizm. Ten wyrok historii najboleśniej odczuł pograniczny Sosnowiec.

– W okresie międzywojennym Zagłębie znajdowało się w województwie kieleckim – mówi Woźniczka – a Sosnowiec nazywano niekoronowaną tego województwa stolicą. Miasto to właściwie nie ustępowało Kielcom, a ze śląskimi Katowicami wręcz pod pewnymi względami rywalizowało. M.in. sosnowiecki Urząd Miejski zbudowano na wzór śląskiego Urzędu Wojewódzkiego. W Sosnowcu, i w ogóle w Zagłębiu, pielęgnowano tradycje niepodległościowe i chlubilono się nimi: mamy hallerczyków, mamy peowiaków, mamy legunów... W Zagłębiu organizowano zjazdy legionistów z udziałem czołowych osobistości II RP. Do tego silny PPS i tradycja Czerwonego Zagłębia, zawłaszczona później – niestety – i zakłamana przez komunistów.

I oto pod koniec pierwszej połowy XX wieku ten dumny Sosnowiec wraz z całym Zagłębiem stał się nagle częścią zupełnie mu obcego organizmu administracyjnego. Co gorsza – jego peryferiami. Mało, że peryferiami – marginesem po prostu.

Polska Ludowa preferowała zagłębiowską klasę robotniczą. Stąd powiedzenie po śląskiej stronie Brynicy: „Co kierownik to z Bobrownik. A zastępca kierownika z Rogoźnika”. Nie żywiono wątpliwości, że łatwiej o awans przybyzszom niż rdzennym Ślązakom.

58 ARKADIUSZ ŁAWRYNIAK



– Sosnowiec dużo stracił na zmianie położenia politycznego – mówi Dariusz Jurek. – Zagłębie rozwinęło się dzięki swemu położeniu geopolitycznemu. Natomiast w tej chwili jesteśmy satelitą w stosunku do Katowic. Nie dotyczy to zresztą wyłącznie Zagłębia. Stolica województwa zasysa wszystko, resztę regionu spychając na plan dalszy. Sosnowiec, który przed wojną był ośrodkiem miejskim wyżej notowanym niż stolica swego województwa, teraz stanowi mało ważną część organizmu nazywanego niebytnie poprawnie „aglomeracją górnośląską”. Prawidłowa nazwa powinna brzmieć: „konurbacja górnośląsko-zagłębiowska”. Nas do głębi irytuje, że na siłę próbuje się zrobić z nas Ślązaków, a z całego województwa Śląsk – tym bardziej że część Ślązaków kontestuje związki z Polską. Nie zgadzam się więc z twierdzeniem o sztucznych już dziś podziałach. Przez setki lat oba obszary rozwijały się w innych kulturach i skutki tego odczuwamy do dziś.

„Co najlepszego może cię spotkać w Sosnowcu? Autobus do Katowic” – głosi jeden z wielu niewybrednych *memów*, obśmiewających stolicę Zagłębia. Adresatem podobnych złośliwości są też inne jego miasta. „Memy tworzą najczęściej ci, którzy żadnego z tych miast nie odwiedzali – pisze Tomasz Szymczyk z „Dziennika Zachodniego”. „Gdyby się na to zdecydowali, mogliby poznać ich zalety, a tych nie brakuje”. Być może więc ten *hejt* postrzegać należy raczej w kategoriach internetowego folkloru, do którego kultywowania wystarczają stereotypy, będące dlań wyśmienitą pożywką. Zresztą nietrudno znaleźć *memy* wyśmiewające także i śląskie miasta, np. Katowice czy Bytom. To, że w XX wieku Brynica przestała być granicą państwa, a na śląskim jej brzegu doszło do tak wielkich zmian ludnościowych, musiało przynieść skutki.

– Wydaje mi się, że kontrasty i animozje zaczęły zanikać – ocenia Helena Leśniowska ze Związku Górnośląskiego. – Wszystko tak się wymieszało, że nie widać już, jak było kiedyś. ■

Tomasz Borówka

– publicysta, redaktor „Dziennika Zachodniego”

Bóg granic nie tworzy

Z arcybiskupem **ALFONSEM NOSOLEM**,
emerytowanym ordynariuszem diecezji opolskiej,
rozmawia **KRZYSZTOF OGIOLDA**

W czasach dzieciństwa Księdza Arcybiskupa granica polsko-niemiecka dzieliła Śląsk. Czy młody Alfons Nossol miał tego świadomość?

– W życiu społecznym mojej wioski, Broźca, ta granica nie odgrywała większej roli. Nie pamiętam, by eksponowano ten temat w szkole. Być może dlatego, że mieszkaliśmy od niej stosunkowo daleko. Natomiast ojciec, specjalista od budowania podziemnych chodników, pracował w kopalni Bytom. Bardzo blisko granicy. Owe chodniki nierzadko sięgały na polską stronę. Toteż miał kontakty z mieszkańcami tamtej części Śląska. Nauczył się języka polskiego, i to w wersji literackiej (gwarę znał wcześniej). Kiedy po wojnie Śląsk w całości przypadł Polsce, tłumaczył mi, jak czytać nieznaną mi wtedy literę „ł” w nazwie miasta Głogówek, gdy pojawiła się na drogowskim. Jeżdżąc na polską stronę granicy, zabierał na sprzedaż drobne artykuły elektryczne. W zamian kupował tanio żywność i ubrania dla nas. Często chodziłem więc w polskich spodniach. Pamiętam, że trochę narzekaliśmy, bo były węższe od tych kupowanych u nas; było widać, że są przywiezione z zagranicy.

Czy ojciec przywoził jakieś negatywne doświadczenia z tych kontaktów?

– Nie. Programowo trzymał się z daleka od polityki, a zwłaszcza od ideologii nazistowskiej. Ponieważ stale się rozwijał i robił rozmaite kursy, był naprawdę dobrym fachowcem, więc mógł się odważyć – i nie wstąpił do partii. A ponieważ potrzebował do pracy pod ziemią robotników, przydzielono mu sowieckich jeńców. I wtedy przekroczył tę granicę, którą pokonać najtrudniej – we własnej głowie.

Czyli?

– Szybko się zorientował, że oni są bardzo źle odżywiani i nie mają siły do pracy. Więc jak przyjeżdżał w sobotę do domu, posyłał nas – mnie także – po bułki do piekarza. Mama zanurzała je w gorącej mieszance masła i margaryny, a ojciec w poniedziałek zabierał na dół do kopalni plecak tego prowiantu i potajemnie tych jeńców dokarmiał. Mówię, że pokonał granicę w sobie, bo odrzucił myślenie, że to są wrogowie, ludzie obcy. Przekraczał też granicę strachu. Bo gdyby się to wydało, skończyłby pewnie w Auschwitz. Oni to doceniali. Kilku z nich miało talenty plastyczne. Z resztek kopalnianego drewna strugali zabawki – lalki, figurki żołnierzy, autka, nawet czołgi. Tato przynosił je dla nas. On naprawdę nie miał uprzedzeń. I tak nas z mamą wychowali. Na otwartych ludzi, którzy wiedzą, że granica istnieje, ale nie traktowali jej ideologicznie. Ideologia bywa pożywką dla nienawiści. Myśmy byli od nienawiści wolni. Dodatkowo nam pomagało, że najstarszy brat ojca, wujek Robert, mieszkał z żoną po drugiej granicy – w Tarnowskich Górach.

Pamięta Ksiądz Arcybiskup jego odwiedziny w waszym domu?

– On ożenił się z poznanianką i przeniósł się do Polski. Bardzo lubiliśmy, jak nas odwiedzał z okazji świąt rodzinnych i parafialnych. Był bardzo hojny. Dostawaliśmy od niego nawet po pięć, dziesięć marek kieszonkowego. Dla nas, dzieci, był to poważny kapitał. Z nami rozmawiał po niemiecku, z dorosłymi domownikami gwarą śląską. Mieszkał za granicą, ale nie widzieliśmy w nim „obcego”. Myśmy go kochali i czuliśmy, że on nas też kocha. Moja siostra zdobyła się kiedyś na odwagę i zapytała, kim się czuje. Odpowiedział po śląsku, że czuje się w domu po obu stronach granicy. U nas, skoro tu mieszkała moja *starka* i jego brat, i tam u siebie – w domu, z żoną i rodziną. Chcę to podkreślić, że granica dzieląca przed wojną Śląsk – przynajmniej w moim doświadczeniu – ostro nie dzieliła ludzi. W Brożcu trzy rodziny w czasie plebiscytu głosowały za Polską. Wszyscy wiedzieli, że to Kasperkowie, Pawliczkowie i Wilczkowie. Oni się z tym nie ukrywali, raczej się tym szczycili. Nikt ich nie piętnował, ani się do nich nie odwracał plecami. A oni Brożca nie opuszczali i bez skrępowania mówili po śląsku. To nie był problem aż do czasów nazistowskich. Dopiero wtedy zaczęło się podsłuchiwanie pod oknami, w jakim języku kto rozmawia. Próby dzielenia ludzi, tworzenia granic między nimi przyniosła dopiero totalitarna ideologia. Ideologia jest trucizną, bo jest gotowa wcielać ideę nawet za cenę życia człowieka.

Po wojnie, już w seminarium, miał Ksiądz Arcybiskup dobre kontakty z przybyszami z Kresów. A przecież ich dzieliło od Ślązaków wiele granic...

– To się zaczęło jeszcze w Brożcu. U naszych sąsiadów mieszkali repatrianci z Wołynia. A z nimi ich babcia, która mi barwnie o Kresach opowiadała. Na Wołyniu miała do kościoła 13 kilometrów. U nas mieszkała blisko świątyni, ale sił na chodzenie już jej brakowało. Na jej prośbę namówiłem księdza proboszcza i odwiedzaliśmy ją w każdą sobotę. Widziałem, że modliła się z pięknego, oprawionego w kość słoniową modlitewnika. Po ukraińsku. Zachęcała mnie, bym się swojego języka serca nie wyrzekał. Pewnie wtedy powstały pierwsze zręby mojej definicji języka serca: tego, w którym człowiek modli się, liczy i... przeklina. W seminarium zobaczyłem, że moi koledzy ze Wschodu są przywiązani do Lwowa i Wilna, tak jak my do swojej małej ojczyzny, do śląskiego *Heimatu*. Uczyliśmy się ich pieśni, nie zapominając o swoich. Już na drugim roku studiów zrozumiałem – na całe życie – że różnorodność musi być pojednana. A jeśli chce się być szczęśliwym, trzeba uznać i przekonania, i odczucia innych, a nie tylko forsować swoje, za wszelką cenę. Słowem, skoro granic wyeliminować tak do końca się nie da,

Granica dzieląca przed wojną Śląsk – przynajmniej w moim doświadczeniu – ostro nie dzieliła ludzi. W Brożcu trzy rodziny w czasie plebiscytu głosowały za Polską. Wszyscy wiedzieli, że to Kasperkowie, Pawliczkowie i Wilczkowie. Oni się z tym nie ukrywali, raczej się tym szczycili.

ważne, by one były przepuszczalne – łączyły, a nie dzieliły ludzi.

Kiedy po święceniach znalazł się Ksiądz Arcybiskup na studiach w Lublinie, przekonał się, że choć po wojnie w Europie dawne granice zostały zastąpione nowymi, granice w głowach ludzi, przynajmniej niektórych, trzymają się mocno. Jeden z kolegów powiedział księdzu wprost: „Byłbyś wspaniałym człowiekiem, gdybyś nie był Ślązakiem”.

– Wtedy zrozumiałem, że moja śląskość bardzo mi pomaga. Bo nie pozwala patrzeć na innego, na tego spoza granicy, jako na obcego. W śląskim ujęciu inność nie jest obcością. Może dlatego, że przez stulecia mieliśmy okazję mieszkać – czasem w bliskim sąsiedztwie – z ludźmi, którzy mówili innym językiem, czytali inne książki, a nawet wierzyli inaczej, łatwiej nam zobaczyć w inności bogactwo. To należy do naszego śląskiego charakteru, że traktujemy inność jako ubogacenie. Myśmy nie byli zacieśnieni, nastawieni na podsyćanie antagonizmów i wrogości. Ten mój kolega takiego doświadczenia najpewniej nie miał. Dorósł w świecie jednorodnym, toteż w nim potrzeba oddzielenia, rozgraniczenia swojego od obcego była tak silna.

Wydawało się, że najtrudniej będzie „rozmontować” granicę polsko-niemiecką. I myślę nawet nie tyle o negocjowaniu traktatu granicznego, ile o pokonaniu uprzedzeń i stereotypu: „Jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem”.

– To był proces rozłożony na dziesięciolecia, wysiłek ludzi dobrej woli, m.in. z Akcji Znak Pokuty i wielu innych organizacji. Bardzo pomogły też dary, jakie płynęły do nas w stanie wojennym z całej Europy, ale najliczniej z Niemiec. Na placu wokół

katedry w Opolu stało czasem nawet kilkadziesiąt samochodów ciężarowych z pomocą. Oni chętnie wozili żywność czy leki do nas, bo Śląsk Opolski leży blisko granicy i u nas mogli się zazwyczaj bez przeszkód dogadać. A ja wielu z nich namawiałem, żeby pojechali dalej – do Warszawy, Krakowa czy Lublina, bo stereotyp złego Niemca trzeba było przełamywać przede wszystkim tam. To miało znaczenie decydujące, bo ten ich gest pokazywał, że są, i to liczni, Niemcy, którzy biją się w piersi, wiedzą o winach swoich ojców i autentycznie pragną te winy choćby w części naprawić. Motywowane autentycznymi krzywdami doznanymi od Niemców w czasie wojny przekonanie, że jest to naród w swej masie zły, ustępowało przed innym, dobrym doświadczeniem. Bo bez doświadczenia żadne argumenty nie są skuteczne. Bez niego granic się nie rozmontuje. Podczas nabożeństwa w Świątyni Pokoju w Świdnicy, w 25-lecie Mszy Pojednania w Krzyżowej, pozwoliłem sobie zauważyć, że w usunięciu granic w Europie bardzo pomógł upadek dwóch murów: berlińskiego i muru nienawiści między Niemcami i Polakami.

Na ile w pokonywaniu granic dzielących ludzi pomogły Księdzu Arcybiskupowi wieloletnie kontakty ekumeniczne z chrześcijanami innych wyznań?

– Te rozmowy odbywały się w różnych krajach, także odległych, jak Stany Zjednoczone, Kanada czy Korea. Każdy wyjazd czegoś uczył. Mam poczucie, że te wyjazdy i spotkania wszystkich nas ucłowieczały. Na swoich partnerów patrzyliśmy z refleksją: „Oto człowiek. Inny niż ja? Różniący się narodowością czy wyznaniem? To dobrze, nie będzie nudny”. W trakcie rozmów z prawosławnymi i protestantami ukształtowało się moje przekonanie, że dialog jest językiem macierzystym ludzkości, który pomaga z wrogów czynić przeciwników, a przeciwników przekształcać w przyjaciół. Dialog otwiera granice. Wychodzi na przeciw. Bo jak w innym zobaczę człowieka, to już sobie nie mogę pozwolić na nienawiść. Jestem przekonany, że sam Bóg żadnych granic nie tworzy. Chyba że to my go zamknijemy w naszych ograniczeniach.

Ksiądz Arcybiskup zwykł mawiać, że między człowiekiem a człowiekiem, między regionami i państwami należy burzyć mury, a w ich miejsce stawiać mosty.

– Czymś wspinałym było to, żeśmy się w Europie w 1989 roku tej chwili doczekali, że skończyła się epoka budowania murów, a zaczęła budowania mostów. To stało się możliwe właśnie dlatego, że odważyliśmy się na podjęcie dialogu i akceptację inności. Skutkiem tego było poczucie, które miało wtedy wielu ludzi: „jesteśmy Europejczykami”. A to jest taka świadomość, jakiej polityczne granice nie są w stanie zamknąć. Myśmy najpierw zrozumieli,

a potem doświadczyli, że obcy nie jest tak naprawdę obcy, a samo istnienie niemal nieprzepuszczalnych granic – czego doświadczaaliśmy przez dziesięciolecia w podzielonej żelazną kurtyną Europie – było czymś całkowicie nienaturalnym.

Pamięta Ksiądz Arcybiskup swój pierwszy wyjazd na Zachód już bez granicznej kontroli?

– Pierwszym odczuciem było niedowierzanie. Miałem wykład pod Monachium w czasie, gdy przestała funkcjonować wewnętrzna granica w Niemczech, rozdzielająca RFN od NRD. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Pogranicznicy ze wschodnich Niemiec jeszcze byli na swoich posterunkach, ale już nie zatrzymywali nas do kontroli, nawet machali nam przyjaźnie i życzyli dobrej drogi. Na naszych oczach padła granica. I to ta, która była ogromnie zideologizowana, dzieląca – historycznie rzecz ujmując – w jednym państwie dwa systemy. Pamiętam odczucie ogromnej ulgi i świadomość, że nowa Europa zaczyna się naprawdę. Towarzyszyła temu nadzieja, że kolejne wojenne starcie w Europie bardzo się oddala.

Ale upłynęło zaledwie ćwierć wieku i w tej samej Europie wracają zasieki, graniczne bariery i kontrole. Jest Ksiądz Arcybiskup rozczarowany?

– To odbudowywanie granic i murów bardzo mnie boli. Jest smętne, ale mam nadzieję, że jednak przejściowe. Musimy się zdecydować, czy chcemy być Europejczykami, czy chcemy się zamykać. Także na szacunek dla ludzkiej godności.

Ci, którzy te nowe zasieki graniczne stawiają, przekonują, że nie od Europy chcą się odgradzać, tylko od muzułmanów, a nawet jeszcze wyraźniej – od terrorystów.

– To jest wymówka. Powtórzę, granica – zwłaszcza ta dzieląca ludzi – ustępuje przed doświadczeniem. Przyjrzyjmy się uczciwie tym przybyszom. Większość z nich podejmuje tułaczkę, by ratować życie. Oczywiście, wśród uchodźców mogą też być terroryści. I na pewno trzeba zrobić wszystko, by ich wyłapać, ale nie za cenę zamykania drogi do ratunku apriorycznie wszystkim. Jeśli się na takie rozwiązanie zdecydujemy, to będzie to odcłowieczanie nas samych. Zamykają się ci, którzy nie wierzą w swoją własną siłę, w moc miłości, także chrześcijańskiej. Bez tego nie zaryzykują i będą się zamykać. Zapominają o tym, czego nas uczył Jan Paweł II: Najkrótszą drogą do Boga jest drugi człowiek. Więc jeśli odważymy się go zaakceptować, mamy szansę znaleźć Boga. Jego żadna granica nie zamknie. ■

Krzysztof Giolda

– dziennikarz i publicysta, pracuje w „Nowej Trybunie Opolskiej”

Edward Białek

Jak Theodor Körner Góry Olbrzymie zdobył

XVIII-wieczny wrocławski filozof Christian Garve pisał: „Jeśli schodzę z gór na równinę, odczuwam wyraźnie taki nastrój, jak gdybym opuścił galerię obrazów i wszedł do pokoju z gołymi ścianami lub do gładko wytapetowanego”.

Rzecz jasna Garve nie był pierwszym, którego góry zachwyciły. Walor górskich grzbietów jako naturalnej linii, a raczej naturalnego płotu granicznego, rozpoznali moiżni tego świata już przed tysiącami lat. Góry odegrały bowiem swoistą rolę państwotwórczą, niejako zamykając ludzi w zwartych zbiorowiskach, chronionych przez łańcuchy szczytów i przełęcze. I „odstraszały”. W ich wnętrzach zaś dopatrywano się mocy niezwykłych, istnień niezemskich, bliskości dotyku Boga.

Jakie góry miał na myśli Christian Garve? Riesengebirge, Krkonoše, Karkonosze. Góry Olbrzymie, bo tak najwyższe pasmo Sudetów nazywali m.in. polscy romantycy. Pochodzący z Lublińca Konstanty Damroth (1841–1895) odbierał je jako „śląskie, góry prastare / Oj, niegdyś nasze słowiańskie, prześliczne”, a na przykład Stanisław Bełza (1849–1929) – jako obce, zniemczone, oddzielające świat wrogiej germańszczyzny od jakże bliskiej słowiańszczyzny, reprezentowanej po „tamtej stronie” przez naród czeski. Inna rzecz, że pisarze języka czeskiego też mają znaczący udział w lirycznym uwiecznianiu Karkonoszy.

Świadectw zainteresowania, czy wręcz fascynacji tym pasmem górskim najwięcej jest oczywiście w literaturze niemieckiej. Piękno ojczyzny Ducha Gór (*Rübezahl*, w polszczyźnie spopularyzowany jako Liczyrzepa) inspirowało zarówno autorów z głębi Rzeszy, jak i ze Śląska – m.in. Carla Hauptmanna (1858–1921), Gerharta Hauptmanna (1862–1946), Paula Kellera (1873–1932) czy Hermanna Stehra (1864–1940).

Karkonoszami zachwycił się też Theodor Körner (1791–1813) – poeta saksoński, jeden z najzdolniejszych dramatopisarzy okresu zmagani niepodległościowych i walk z Napoleonem, autor cenionych pieśni wojennych i patriotycznych, do których muzykę napisał sam Carl Maria von Weber. Körner od dzieciństwa miał kontakt z wielkimi ludźmi. Liczne osobistości literackie i naukowe schyłku XVIII wieku i następującego po nim „długiego” stulecia chętnie przebywały w domu jego ojca, Christiana Gottfrieda. U rodziców Theodora bywali m.in. Friedrich Schiller, Friedrich Nicolai, bracia Humboldtowie, Novalis czy Friedrich Schlegel.

W roku 1809 Körnera przywiodły do krainy Liczyrzepy zainteresowania naukowe (był wówczas 18-letnim studentem geologii w Akademii Górniczej we Freibergu koło Dreżna). Co wiemy o jego pobycie na Dolnym Śląsku? Jakie ślady tu pozostawił?

Pełen wigoru Saksończyk planuje odwiedzić m.in. zaprzyjaźnionych z jego rodziną przedstawicieli śląskiej arystokracji. Z wielką atencją poeta wspomina w swoich zapiskach gościnność gospodarzy zamku w Skale koło Lwówka (*Hohlstein*), przyjęcie u hrabiego Redena w Bukowcu koło Jeleniej

Góry (*Buchwald*) i mile spędzony czas u rodziny Stolbergów z Pieszczy (*Peterswaldau*). Gościł ponadto w domu Gesslerów we wsi Nowizna koło Dzierżoniuwa (*Neudorf/Eule*).

W ruinach zamku Schaffgotschów

Niektóre z tych miejsc uwiecznił w swoich wierszach. Körnera, zapalonego podróżnika, który w czerwcu 1809 roku zdobywał szczyty Gór Połabskich oraz czeskiego Średniogórze, do głębi poruszyć musiało piękno śląskich krajobrazów oraz serdeczność tutejszych mieszkańców, liryczne wspomnienia ze Śląska zaliczają się bowiem do jego najlepszych poetyckich dokonań.

Poeta zachwyca się górkim krajobrazem, opisuje swoje odczucia, całkowicie rezygnując z doszukiwania się przyczyn swojego euforycznego nastroju. Późniejsza twórczość poety, mocno nacechowana konserwatywną świadomością narodowo-historyczną, zdaje się nie mieć wiele wspólnego z jego wczesną, karkonoską poezją, sławiącą harmonię przyrody i świata ludzi.

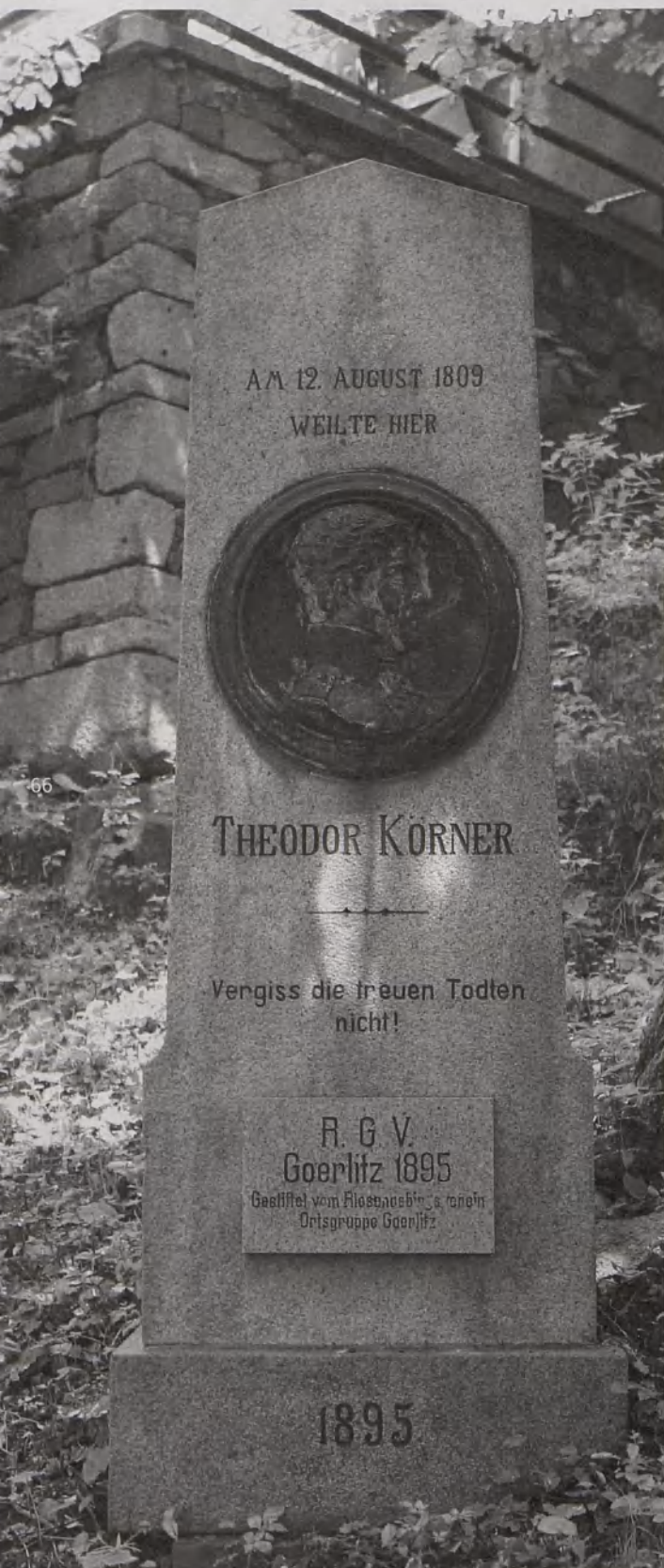
10 sierpnia Theodor rozpoczyna swoją długą, pieszą wyprawę. Jego pierwszym celem jest Budziszyn w Łużycach Górnych, wkrótce potem dociera do miasteczka Reichenbach, a następnie, 12 sierpnia, do Görlitz. W ramach zwiedzania licznych zabytków architektury i pomników przyrody młodzieniec wspiął się na szczyt kultowej góry Landeskronę i odwiedził grobowiec filozofa Jakuba Böhmego.

Dwa dni później był już w Lwówku Śląskim. Odwiedziny u mieszkańców pałacu w pobliskiej miejscowości Skala zaowocowały powstaniem pierwszego „śląskiego” utworu. Młodzieniec, będąc pod wielkim wrażeniem gościnności okazanej mu przez panią domu, księżniczkę Paulinę von Hohenzollern-Hechingen, najstarszą córkę księżnej Dorothei Kurlandzkiej, z wdzięczności zadedykował jej oraz jej matce wiersz-zagadkę *Szarada o Skale*:

Na skalnych szczytach stoi dumą zbrojny,
uśmiech spogląda w srebrne wody lustro,
wdycha doliny aromat czarownicy; lecz
większym pięknem niż czar wszelkiej niwy,
istoty dwie nadobne o wyższej naturze
uszczęśliwiony zamyka w swych murach.

Przekład: Katarzyna Augustyn-Fortwengel

Podczas wędrówki przez Gryfów Śląski do Świeradowa-Zdroju w Proszówce wędrowiec wspiął się na mierzące 447



metrów wzgórze, na którym znajdują się legendarne ruiny zamku Gryf, przypominające o panowaniu w tej części Dolnego Śląska rodu Schaffgotschów, zasłużonego dla rozwoju całego regionu. Körner, poruszony tym tajemniczym miejscem, i tym razem przełał swoje doznania na papier:

Zadziwiony wychodzę na taras, pijanym wzrokiem
 lekliwie błędę dokoła. Jakże ciężkim szczęśliwy wybór!
 Czy ma zdążyć na zachód ku góróm zmierzchającym?
 Czy śledzić rzeki błyszczący nurt w węzowym jego biegu,
 czy też zuchwale zbliżyć się do trzepoczących kruków,
 a może wokół zamku smutnego krąg magiczny roztoczyć?
 Wszystko to naraz, wzrok mój chwyta przyrodę całą,
 w tył do głębokich lasów, do przodu ku starej twierdzy,
 tam ku zmierzchającym szczytom, tu ku strumieniom;
 potem ku niebu i do was, wesołe obłoki, patrzeć jak
 oto śmiało i zuchwale przepoczwarzacie się z mgły:
 Tak oto oko moje, ziemio, ogarnia kwitnące twe królestwo
 splecione w lśniącego oka radującym się kryształ, e,
 życie i wiosna i światło wszelakie w duszy zanurzone!

Przekład: Katarzyna Augustyn-Fortwengel

Na przyjęciu u hrabiego Redena

Poeta chętnie wraca myślami do przyjęcia u hrabiego Fryderyka Wilhelma von Redena (1752–1815), pruskiego ministra i dyrektora śląskiego urzędu górniczego, w jego rezydencji położonej w Bukowcu koło Jeleniej Góry. W jednym z listów do rodziców pisze: „Wczoraj gościłem (...) w boskim Bukowcu u wspaniałego ministra Redena, który obiecał mi listy polecające przed moją wizytą na Górnym Śląsku. W rzeczy samej, to wielka przyjemność, móc mieć do czynienia z takim niezwykłym człowiekiem. Rzeczywiście, o położeniu Bukowca można mówić wiele, i to nie inaczej, jak tylko sonetami”. Ostatecznie student z Freibergu porzuca plan wydłużenia swojej naukowej podróży o pobyt na Górnym Śląsku. W wierszu *Bukowiec* okazuje wdzięczność szlachetnie urodzonemu gospodarzowi oraz wychwala jego wspaniałe domostwo:

Witam cię pieśnią najpiękniejszą,
 najszczerzym hołdem serca mego.
 Tu, gdzie natura w swym nadobnym kwiecie,
 w blasku barw złotych i wiosny przepychu,
 powietrzem świeżym i żądzą płonąca
 sakrament sztuki czystej otrzymuje.
 Miłości czystej wszędzie ślady:
 ona to serce ciągle młodym czyni.
 Bo gdzie naturze sztuka się udziela,
 tam życia piękno rozkwita polotem.

Przekład: Katarzyna Augustyn-Fortwengel

W miejscu położonym między Kowarami a Mysłakowicami najbardziej zafascynowała poetę jedność przyrody i sztuki. Malowniczo ulokowany i okazały pałac hrabiego musiał zro-

bić na Körnerze szczególnie wielkie wrażenie. Budowla ta, położona u podnóża gór, należała wówczas do najwspanialszych dzieł architektonicznych na całym Śląsku.

Był tu przed Hauptmannem

Cenna była dla Körnera również wizyta u rodziny hrabiego Stolberga w Pieszczytach. Miejscowość ta przeżywała wtedy czas świetności i rozwoju gospodarczego: działały tu m.in. znane wówczas firmy zajmujące się produkcją tkanin i nici. Stąd udał się do domu rodziny Gesslerów mieszkającej w Górach Sowich. Swoje wrażenia z pobytu u stóp Wielkiej Sowy opisał w wierszu *Nowizna i Pieszyce*:

Bądź pozdrowiona, ukochana niwo! Żywotną pełnią,
powabną mocą błyszczysz w promieniach natury. Z dała
od ojczyzny znalazłem tu miłe sercu, znajome postaci;
istot uprzejmych krąg podjął mnie jakże serdecznie.

Bujną twa wspaniałość; duch ludzi szlachetnych owiewa
mnie, a ich święty ślad podnosi cię do Edenu świata.
Tak oto nigdy cię nie zapomnę; bo obraz przyjaciół
wiernych trwa mocą wieczną w piersi czudej.

Przekład: Katarzyna Augustyn-Fortwengel

W swoich „śląskich” wierszach Körner uwiecznił nie tylko pięć małych miejscowości, spośród których jedna – Pieszyce – dziesiątki lat później stała się miejscem akcji słynnego dzieła Gerharta Hauptmanna, dramatu *Tkacze*, lecz opisał także śląskie góry. Jego wiersze o Karkonoszach stanowią pierwsze wybitne osiągnięcie niemieckojęzycznej liryki problematyzującej przeżywanie górskich krajobrazów. Podkreślenia godne jest, że te niezwykle ekspresyjne strofy stworzył 18-letni młodziemiec, patriotycznie usposobiony, wielce utalentowany i niespełniony, bo u progu pisarskiej drogi poległ w walce przeciwko armii napoleońskiej.

„Wzrok oczarowany” prezydenta USA

Podczas swej wędrowki po Dolnym Śląsku Theodor Körner w wielkim zachwyceniu poznawał bogactwo górskich wód i lasów. Wdrapał się m.in. na Smreka, najwyższy szczyt Gór Izerских, by po paru dniach dotrzeć pod Śnieżkę. 21 sierpnia wraz z towarzyszącym mu kolegą z Drezna rozpoczął wspinaczkę na ten najwyższy szczyt Karkonoszy. O kulisach niezwykle wyprawę tak pisze w liście do rodziców: „W poniedziałek opuściliśmy Cieplice, wspięliśmy się we mgle i burzy na Śnieżkę, a nasza wytrwałość została nagrodzona przez przepiękny wieczór i najwspanialszy zachód słońca. Noc spędziliśmy w białym schronisku Wiesenbaude, godzinę drogi od Śnieżki, i odpoczywaliśmy na pachnącym sianie (...). O trzeciej nad ranem po raz drugi wspięliśmy się na Śnieżkę, i chociaż horyzont nie był czysty, i bardzo dokuczały nam mróz i wicher, to obraz zmagających słońca i mgły, która niczym ocean leżała nad Śląskiem, był nie-



zwykły! W południe weszliśmy na Śnieżkę po raz trzeci; tym razem radowaliśmy się czystym horyzontem”.

Pięknu Karkonoszy i ich najwyższej góry uległ także – w roku 1800, dziewięć lat przed Körnerem – John Quincy Adams (1767–1848), przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych. W lirycznym wyznaniu, wpisanym do *Księgi Śnieżki*, amerykański gość nie ukrywa wielkiego wzruszenia, jakie ogarnęło go, gdy „obrazem wspaniałym z tych gór wysokości/Sam Bóg obdarował mój wzrok oczarowany”.

Śnieżka odbierana była przez niemieckich romantyków jako góra graniczna, ale nie w tradycyjnym ujęciu grzbietu górskiego rozdzielającego wrogie strony, lecz jako centrum krainy dającej początek państwom trzech włodarzy: króla pruskiego (Śląsk), cesarza Austrii (Czechy) i władcy Saksonii. Körner odbiera Karkonosze jako nieodłączny element ojczystego krajobrazu, jako *sacrum*, które w istocie swej ma łączyć, nie zaś dzielić. Swojemu przekonaniu o integrującej funkcji Gór Olbrzymich daje wyraz w wierszu *Na Śnieżce*. Najwyższy ich szczyt poeta stylizuje na „Gór Królową” i „Nieba Świętą Zdobywczynię”; także inni pisarze trzech karkonoskich języków podejmują za nim topos góry jako miejsca z jednej strony rozdzielającego, z drugiej zaś łączącego świat boski i ziemski.

Na szczycie Twym wysokim
Gór Królowo
W podziwie stoję,
I wielkim zachwyceniu,
Śnieżko, Tyś Nieba
Świętą Zdobywczynią.

W dal niezmierzoną
Upojnie suną
Radosne spojrzenia;
Tyleż życia wszędzie,
Tyleż pracy wartkiej,
A wszystko w słońcu tonie.

Łąki kwitnące,
Miasta rozświetlone,
Szczyśliwe
Trzech władców krainy
Oglądam w zachwycie,
W niebiańskim jakże
Uniesieniu.

Przekład: Edward Białek

Śnieżka – transgraniczne centrum

Motywny „trzech władców” pojawia się także w *Hymnie na Górach Olbrzymich* polskiego romantyka Kazimierza Brodzińskiego. Karkonoskie wypiętrzenia też jawią się mu jako transgraniczne centrum. Przyroda – budząca trwogę swoją dzikością – wynosi jednostkę ponad narodowe granice.

Czyż na sam tron natury wzniosłem stopę moję?
Nad trzech mocarzów ziemię wywyższony stoję.
I wy, chmury, co krążąc otaczacie ziemię,
Deszcz lub gromy na ludzkie rozsiewając plemię,
I wy nawet pode mną! – Duchu śmiertelnika,
Jakaż cię razem trwoga i duma przenika!

Również wspomniany już John Quincy Adams postrzega Śnieżkę jako miejsce na wskroś magiczne i transgraniczne: „Widok z tego miejsca jest oczywiście bardziej rozległy niż z jakiegokolwiek innego punktu w tych górach, a jego wspaniałość jest tym większa, że wzrok może błądzić wolno, ogranicza go jedynie horyzont z każdej strony. Wystarczy obrócić się na pięcie i już cały Śląsk, cała Saksonia i całe Czechy pojawiają się w jednej sekundzie przed oczami. Jest to więc prawdziwie piękny widok”.

W wierszu *Wschód słońca na Śnieżce* Theodor Körner wznosi się na poetyckie wyżyny: cykliczne pokonywanie przez przyrodę granicy śmierci i życia wyrażone jest tu w cyklu dynamicznych opisów, które układają się w obraz świata jako jedność Boga i człowieka:

Ziemia spoczywa głębią i powagą ciszy,
Wszystko zamilkło: szmeru ni głosu ucho nie dosłyszysz.
Lecz oto ciemnym szlakiem hora przemyka wśród lasów,
By wypełnić wnet wolę odwiecznego czasu.

Ciemności powłokę ranek już przebijają;
Promiennym kwieciami już dzień się rozwija
Rwąc się susami ze swej furty złotej;
Niebo rozkwita młodości poletem.

Ulotny tropiąc ślad światła radośnie
Wszystko na nowo w życia mocy rośnie
I rodzi się i kwitnie rozkoszy tysiącem.

Wzrok mój wiedziony ku miastom, ku łące
Chwyta ich blask lśniący gdzieś w oddali,
On świętą tęsknotę w mej piersi rozpalil.

Przekład: Edward Białek

W 1811 roku powstało ostatnie „śląskie” dzieło Körnera, ballada *Chojnik*. Przypuszcza się, że widok tego zamku, strzegącego granicy między „górami a dołami”, „jednej z najpotężniejszych ruin położonych w okolicy Jeleniej Góry”, zachwylił poetę już w 1809 roku tak bardzo, że nie mógł on oprzeć się potrzebie stworzenia pomnika lirycznego temu „zanikającemu skalnemu zamkowi z północnych Karkonoszy”, gdzie „prerażająca otchłań rozpościera się od murów zamku aż po wąską dolinę skalną, nazywaną Piekłem”. W liście do rodziców poeta wspomina, że była to „niezaprzeczalnie najpiękniejsza ruina, jaką kiedykolwiek widziałem. Obserwowaliśmy stąd zachód słońca; to był wspaniały wieczór!”. ■

Edward Białek

– profesor, literaturoznawca, tłumacz, kierownik Zakładu Dydaktyki
Literatury w Instytucie Filologii Germańskiej
Uniwersytetu Wrocławskiego

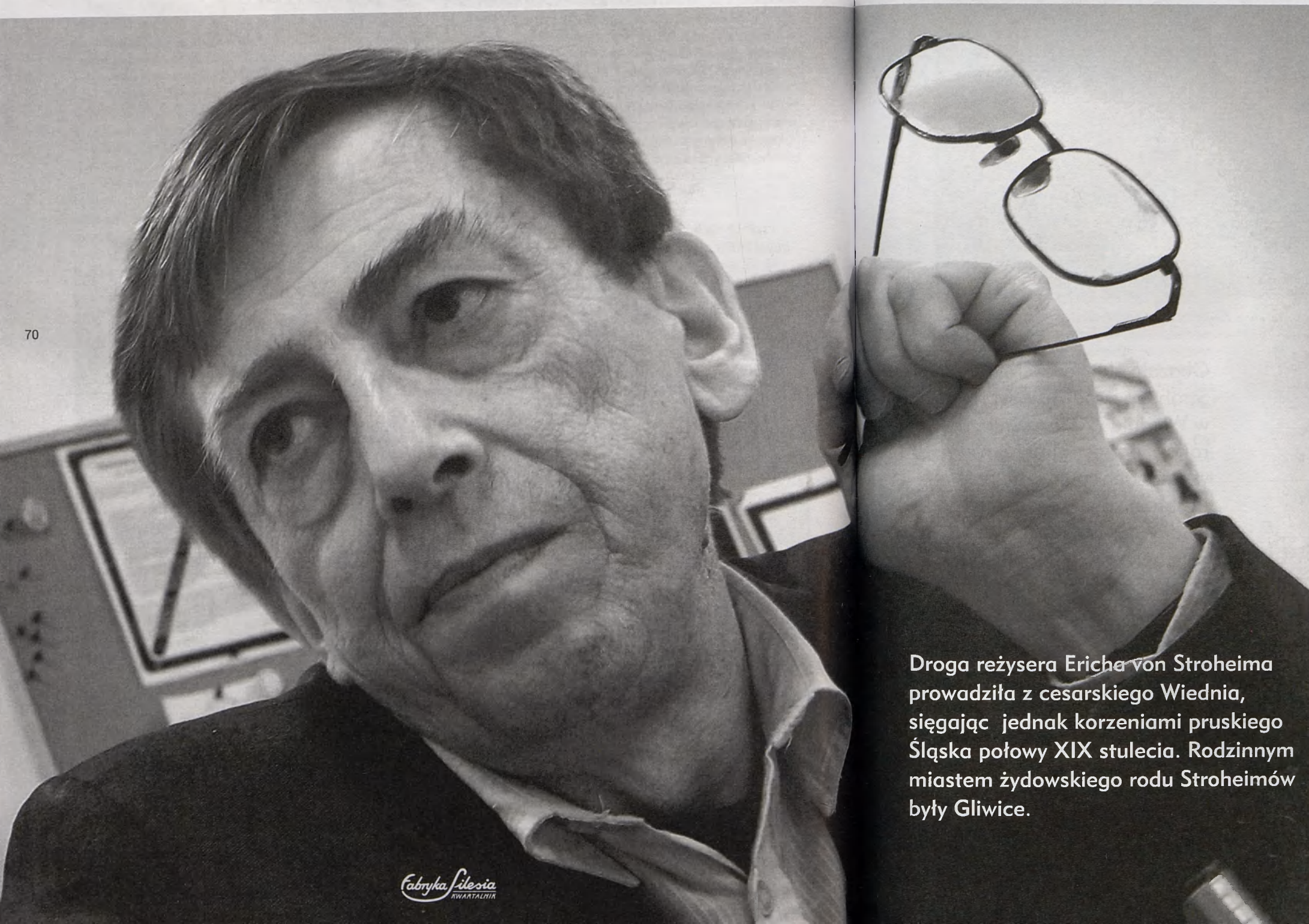
Poeta wspiął się na mierzące 447 metrów wzgórze, na którym znajdują się legendarne ruiny zamku Gryf, przypominające o panowaniu w tej części Dolnego Śląska rodu Schaffgotschów, zasłużonego dla rozwoju całego regionu.



Jan F. Lewandowski

Stroheim-kapelusznik

70



Droga reżysera Ericha von Stroheima prowadziła z cesarskiego Wiednia, sięgając jednak korzeniami pruskiego Śląska połowy XIX stulecia. Rodzinnym miastem żydowskiego rodu Stroheimów były Gliwice.

BOGDAN KULAKOWSKI

Te górnośląskie korzenie jednego z najsławniejszych reżyserów kina światowego są na tyle frapujące, że zaintrygowały gliwiczaniego Horsta Bienka, który wplótł je do *Pierwszej polki*.

Ale to przecież tylko fikcja literacka. Tak naprawdę historia rodu Stroheimów wydaje się równie tajemnicza, jak i wczesne losy samego Ericha von Stroheima, w dawniejszych pracach historyków kina prezentujące się zgoła fantastycznie, zresztą głównie za jego sprawą.

W Hollywood Erich von Stroheim podawał się bowiem za syna austriackiego arystokraty, wyższego oficera cesarsko-królewskiej armii Franciszka Józefa, oraz niemieckiej baronowej, która miała należeć do dworu cesarzowej Elżbiety. Jego wyjazd z Europy do Ameryki, co nastąpiło w 1909 roku, miał być następstwem jakiejś niezmiernie powikłanej historii, w której chodziło może o sprawy romansowe, a może o tarapaty finansowe. W każdym razie Amerykanie uwierzyli w tę mistyfikację, a tym bardziej, że wspierały ją świetne kreacje aktorskie Stroheima, który wcielał się w postacie oficerów tak przekonująco, jakby wywodził się rzeczywiście z militarystycznej kasty.

Wystarczy przywołać tu sławną kreację pruskiego majora von Rauffensteina w *Towarzyszach broni* Jeana Renoira, albo późniejszą rolę feldmarszałka Rommla w filmie *Pięć grobów do Kairu* w reżyserii Billy'ego Wildera.

W rzeczywistości Stroheim nie był nigdy nawet oficerem, lecz zaledwie prostym szeregowcem, który po kilku miesiącach służby zdezerterował z cesarsko-królewskiej armii. Także arystokratyczne *von*, którym tak chętnie się posługiwał, używane było przez niego bezprawnie. Ale w Hollywood wzięto jego zmyślenia za dobrą monetę, i spostrzeżono w nim specjalistę od tak bardzo odległej Europy, gdzie toczyła się właśnie Wielka Wojna, nazywana później I wojną światową.

Jego kariera filmowa rozpoczęła się właśnie w tamtych latach asystenturą u Davida Warka Griffitha. Poprzez nią Stroheim doszedł szybko do pozycji reżysera, debiutując w tej roli w 1919 roku skandalizującym filmem *Słepi mężowie*. I już do końca pozostał wielkim skandalistą kina.

Czy Horst Bienek to „zmyślił”?

Nakręcił dziewięć filmów, z których co najmniej trzy wpisały się do kanonu niemej klasyki. Myślę o *Szalonych żonach*, *Chciwości* i *Marszu weselnym*, a wszystkie powstały w latach 20. W następnych dziesięcioleciach Stroheim zarabiał na życie aktorstwem, tworząc wiele niezapomnianych kreacji.

71



Gliwice: dzisiejsza ulica Zwycręstwa

72

Dopiero po jego śmierci (zmarł w 1957 roku we Francji) bardziej dociekliwi historycy kina rozbiłi tę mitologiczną biografię. Okazało się wtedy, że Stroheim urodził się wprawdzie w Wiedniu (22 września 1885 roku), lecz bynajmniej nie w salonach, ale w rodzinie drobnego żydowskiego kupca, trudniącego się produkcją oraz sprzedażą kapeluszy i wojskowych kaszketów. Z papierów rodzinnych wynikało także, że przodkowie reżysera mieli w Gliwicach sklep z kapeluszami.

A potem, już w latach 70., jedna z prac o Stroheimie wpadła w ręce Horsta Bienka, sposobiącego się właśnie do swej pierwszej gliwickiej powieści.

To odkrycie zanotował później Bienek w *Opisie pewnej prowincji* następująco: „Z eseju François Bondy dowiaduję się, że rodzice Ericha von Stroheima mieli w Gliwicach sklep z kapeluszami, później przenieśli się do Wiednia, gdzie ojciec również otworzył sklep kapelusznicy. Erich von Stroheim mógł więc, jako dziecko, bawić się nad brzegiem Kłodnicy. Muszę to włączyć do powieści”.

W efekcie Bienek dwukrotnie w *Pierwszej polce* wspomina epizodycznie Ericha von Stroheima, jako dawnego narzeczonego głównej bohaterki powieści, Valeski Piontek. Z tamtych czasów pozostał jej nawet prezent od niego – okręćnik wyrzeźbio-

Okazało się, że Erich von Stroheim urodził się wprawdzie w Wiedniu (22 września 1885 roku), lecz bynajmniej nie w salonach, ale w rodzinie drobnego żydowskiego kupca, trudniącego się produkcją oraz sprzedażą kapeluszy i wojskowych kaszketów. Z papierów rodzinnych wynikało także, że przodkowie reżysera mieli w Gliwicach sklep z kapeluszami.

ny w korze. Bo Valeska Piontek kiedyś się w nim kochała, gdy spędzał wakacje u swoich dziadków. Z całą pewnością chodzi o tego właśnie Stroheima, późniejszego reżysera. Ale czy to możliwe, by mógł spędzać wakacje nad Kłodnicą?

Sprawdzone informacje o rodzie Stroheimów są niestety mizerne. Wiemy tyle, że ojciec reżysera, Benno Stroheim, urodził się w Gliwicach 26 listopada 1857 roku, a więc za panowania króla Fryderyka Wilhelma IV. Mimo że miasto wraz z całym Górnym Śląskiem wstępowało właśnie na drogę szybkiego rozwoju, dla przedsiębiorczego Benno Stroheima musiało okazać się zbyt ciasne, skoro porzucił je i wyemigrował do Wiednia. W 1884 roku ożenił się z Joanną Bondy, pochodzącą z Pragi, by po roku doczekać się syna, właśnie Ericha.

W Wiedniu Benno Stroheim prowadził nadal zakład kapeluszniczy. Pragnął zapewne, zgodnie z rodzinnym zwyczajem, także i syna wykierować na kapelusznika. Ale to się nie udało, bo Erich Stroheim nie palił się wcale do tej pracy i wyemigrował ostatecznie w Ameryce. Nie zobaczył się już nigdy więcej z ojcem, który zmarł w 1913 roku.

Kim byli dziadkowie?

Nic wszakże nie wiadomo o dziadkach przyszłego reżysera, którzy mogli wyemigrować też do Wiednia, albo pozostać w Gliwicach. Wedle Bienka pozostali w Gliwicach, lecz to przecież powieściowa *licentia poetica*. Chyba że pisarz wiedział więcej... Jego zdaniem dziadkowie Ericha von Stroheima mieszkali przy Bahnhofstrasse, czyli przy ulicy Dworcowej, która istnieje i dzisiaj.

Z pewnością można byłoby w dzisiejszych Gliwicach coś niecoś o rodzinie Stroheimów odnaleźć, chociaż akta żydowskie gminy zostały pewnie zniszczone. Adres Stroheimów można byłoby użyć drogą mozolnego wertowania ogłoszeń handlowych w prasie gliwickiej z połowy XIX wieku, gdzie zapewne reklamowali swoje kapelusze. Zadanie to wyjątkowo żmudne, ale warte może fatygi.

Cała ta historia niby drobna, ale jakże frapująca. Po dawnej gminie żydowskiej w Gliwicach nie pozostało prawie śladu. Potomkowie niemieckich gliwiczian mieszkają gdzieś nad Renem i Łabą. Erich von Stroheim wybił się w Ameryce, by umrzeć we Francji. A po tamtej gliwickiej ulicy spacerują pewnie lwowiacy i ich potomkowie. ■

Przedruk: Jan F. Lewandowski, *Kino na pograniczu*. Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1998, s. 9-11

Jan F. Lewandowski (1952-2015)

– historyk, filmoznawca, publicysta, był redaktorem naczelnym kwartalnika „Fabryka Silesia”



od redaktora.

Powtórzmy dwie frazy z tekstu Jana F. Lewandowskiego. Pierwsza: „Sprawdzone informacje o rodzie Stroheimów są niestety mizerne. Wiemy tyle, że ojciec reżysera, Benno Stroheim, urodził się w Gliwicach 26 listopada 1857 roku, a więc za panowania króla Fryderyka Wilhelma IV”. Druga: „Nic (...) nie wiadomo o dziadkach przyszłego reżysera, którzy mogli wyemigrować też do Wiednia, albo pozostać w Gliwicach. Wedle [Horsta] Bienka pozostali w Gliwicach, lecz to przecież powieściowa *licentia poetica*”.

Spróbowaliśmy sprawdzić, czy dojście do niezbitych dowodów i faktów z życia przodków Ericha Stroheima jest dzisiaj możliwe. Poprosiliśmy Przemysława Nadolskiego, historyka i wytrawnego archiwistę, o próbę odpowiedzi na intrygujące pytania, które JFL postawił prawie 20 lat temu. Oto odpowiedź, jaka dotarła do naszej redakcji: „Z moich notatek wynika, że w połowie XIX wieku mieszało w Gliwicach dwóch Żydów o nazwisku Stroheim (chodzi o głowy rodziny; wykazy nie obejmują żon i dzieci). To urodzony w Raciborzu lekarz Salomon Stroheim, który mieszkał w Rynku nr 22, oraz David Stroheim (nie podano adresu), z zawodu białoskórnik (*Weissgerber*). Erich był prawdopodobnie wnukiem tego drugiego. Przypuszczalnie Salomon i David byli krewnymi, więc można sądzić, że przodkowie gliwickich Stroheimów pochodzili z Raciborza. Na pewno bardzo dokładna kwerenda archiwaliów coś by dała. To, co wiemy teraz, nie wystarczy jednak na snucie nawet hipotez”.

Serdecznie dziękujemy p. Nadolskiemu za wysiłek, jaki włożył w próbę rozwikłania górnośląskich korzeni Ericha Stroheima, „jednego z najslawniejszych – przypominał JFL – reżyserów kina światowego”.



74

Jerzy Ciurlok

Z prowincji na salony

Rzadko się zdarza, żeby tak mała miejscowość wydała w jednym czasie dwóch wybitnych artystów, tworzących na obszarze tej samej dyscypliny sztuki, choć w odmiennych konwencjach. Dlaczego Łaziska Średnie o tym nie pamiętają?



Przestrach Bruno Schmalak.



W sztolni z cyklu Górny Śląsk.

Urodził się w nich przyszły malarz i profesor sztuki, nadworny portrecista hiszpańskiej rodziny królewskiej Artur Wasner. Jego ojciec był górniczym inspektorem, który dość wcześnie zmarł. Po jego śmierci Artur, w wieku czternastu lat, także zaczął kształcić się w górniczym zawodzie. Edukację przerwała prawie całkowita utrata słuchu, w wyniku wybuchu w kopalni. W tamtych młodzieńczych latach Wasner już malował. Był to naturalny, niewymuszony odruch. Zachował się szkiecownik z tamtych czasów, który dowodzi ogromnego ryśowniczego talentu niedoszęłego gwarka.

We Wrocławiu i u Hauptmannów

Jedna z majątnych ciotek, widząc jego zainteresowania i predyspozycję, sfinansowała mu studia w Królewskiej Szkole Sztuki i Rzemiosła Artystycznego we Wrocławiu. Uczyli go znakomici pejzażyści, profesorowie Kämpfer i Morgenstern. Talent i pracowitość sprawiły, że młody artysta wkrótce zaczął osiągać sukcesy. Za uzyskane stypendia tuż po studiach odbył kilka artystycznych podróży po zachodniej i południowej Europie. W Madrycie przez jakiś czas uczył w Akademii Sztuk, zdobywając tytuł profesora oraz odznaczenie: Krzyż Rycerski Sztuki i Nauki. Mimo że był kształcony przez najlepszych pejzażyistów, jego twórczość zdominowało wówczas malarstwo portretowe. Umiał znakomicie uchwycić nie tylko najważniejsze cechy zewnętrzne portretowanej osoby, ale też subtelności psychologiczne. Nic więc dziwnego, że nie brakowało zamówień – w tym z hiszpańskiego dworu królewskiego.

Po powrocie z Madrytu, w 1914 roku Wasner założył we Wrocławiu własną szkołę malarską. I wojna światowa nie przerwała jej funkcjonowania. Artysta nie zrezygnował z prowadzenia jej nawet wtedy, gdy pojawiły się intratne oferty ze strony renomowanych akademii w Monachium i Düsseldorfie. Także inne zagraniczne uczelnie zabiegały o młodego przecież jeszcze mistrza. On jednak pozostawał wierny Śląskowi. Był w tym czasie członkiem prężnie działającego Stowarzyszenia Artystycznego Twórców św. Łukasza. Siedzibą tego interdyscyplinarnego ugrupowania stała się Szklarska Poręba, a ściślej – posiadłość późniejszego noblisty Gerharda Hauptmanna i jego brata Carla.

Na początku lat 20. ubiegłego wieku Wasner, wraz z przyjaciółmi malarzami i pisarzami, zaplanował podróż dookoła świata. Miał temu celowi służyć stary, odrzański parowiec, przerobiony na żaglowiec. Udało mu się dotrzeć tylko do wybrze-



Piklingi Artura Wasnera.

ży Szwecji. Kres wyprawie położyły trudności techniczne i galopująca inflacja; właśnie zaczął się Wielki Kryzys. Późniejsze podróże Wasner odbywał już tylko po Europie i tylko lądem w samodzielnie skonstruowanej przyczepie kempingowej. Można więc rzec, że był prekursorem caravaningu.

Urna pod piwnicą

W 1936 roku artysta z rodziną przeniósł się do Dąbrowicy koło Oleśnicy – nie zaniedbując jednak swoich wrocławskich zajęć. Zmarł młodo, w wieku 52 lat, w 1939 roku, tuż przed wybuchem wojny. Kazał się skremować, a urnę z prochami zakopać w swoim ogrodzie. Nie tak dawno jego córka zapragnęła odnaleźć miejsce pochówku. Przeszukano cały ogród przy dawnej willi Wasnerów – bez rezultatu. Posłużono się więc wykrywaczem metali, bo urna była z blachy. Podczas poszukiwań zauważono, że ogród jest jakby nieco mniejszy niż przed wojną, a za płotem stoi nowy dom. Okazało się, że urna z prochami Wasnera znajdowała się pod piwnicą sąsiadów. Odnaleziono ją w stanie nienaruszonym.

Spuścizna artystyczna po Arturze Wasnerze pozostaje rozproszona. Jego obrazy pojawiają się na aukcjach, osiągając wysokie ceny. Rzadko jednak na polskim rynku antykwarecznym (zetknąłem się tylko z dwoma

przypadkami, w tym w Katowicach). Parę obrazów znajduje się w Muzeum Karkonoskim w Jeleniej Górze. Pochodzą z kolekcji znawcy i zbieracza sztuki śląskiej prof. Henryka Szymczaka. Darowizny dokonała wdowa po niedawno zmarłym kolekcjonerze. Szkoda, że Łaziska nie posiadają żadnego z dzieł Wasnera.

Wyjechał i wrócił

Bruno Schmialek był od Wasnera młodszy o rok (urodził się w roku 1888), ale studia rozpoczął znacznie później. Osiągnął jednak znacznie więcej i przeżył swego krajana o 22 lata. Rodzice, Maria i Jakub, prowadzili gospodę. Chyba nie wiodło się im najlepiej, skoro swego najstarszego syna, gdy miał ledwie sześć lat, oddali na wychowanie krewnym z Olesna.

Rodzina – jak w przypadku Wasnera – zadbała o wykształcenie swego wychowanka. W seminarium w Pyskowicach zdobył zawód nauczyciela, który wykonywał z trzyletnią przerwą na służbę wojskową podczas I wojny światowej. To doświadczenie nie pozostało bez wpływu na artystyczną wrażliwość późniejszego malarza i grafika. W roku 1919 zdecydował się na studia w Kunstakademie we Wrocławiu. Ukończył je z wyróżnieniem w 1922 roku. Jego nauczycielami było nowe pokolenie wykładowców i artystów. Był wśród nich August Endell, pod którego kierownictwem akademia wychodziła z wojennej zapaści. Był też Otto Müller, propagator awangardowych nurtów w malarstwie, apologeta nowoczesności. U niego po zakończeniu studiów przez ponad rok Schmialek był asystentem.

Następnie na kilka lat wyjechał do Elbląga, gdzie nauczał w gimnazjum. Jednocześnie tworzył pierwsze cykle inspirowane życiem mieszkańców Prus Wschodnich, malował akwarelowe i olejne pejzaże. Szczególnie w opublikowanych później drzeworytach widać zainteresowanie egzystencją ludzi ze społecznych dolów. Obrazy te w ekspresjonistycznej formie pokazywały mocno zindywidualizowane typy o wyraźnej psychologicznej charakterystyce. Cykle *Wieś na Wschodzie* i *Wiatr od Wschodu* we wstrząsający sposób ukazały nędzę ludzkiej egzystencji. Wkrótce dołączyły do nich cykle, w których zdegradowanej ludzkiej egzystencji towarzyszył zniszczony przez przemysł pejzaż.

Bruno Schmialek powrócił na Górny Śląsk. W 1930 roku powołano go na stanowisko nauczyciela sztuki w bytomskiej Akademii Pedagogicznej. Wkrótce też odbyły się pierwsze, niezwykle udane wystawy. Prezentacje jego dzieł w Królewcu, Wrocławiu i Berlinie uczyniły z niego znaną i cenioną postać awangardy artystycznej. Dzieła: *Górny Śląsk*, *Hałdy*, *W sztolniach*, *Do pracy*, *Codzienna droga*, *Małe miasto*, *Głowy* czy *Święci mojego czasu* wstrząsały.

Prace Schmialka znalazły się niebawem na sławetnej wystawie *Sztuki zdegenerowanej* w 1937 roku w Monachium. Wystawa zakończyła się ceremonialnym spalaniem eksponatów, m.in. 10 prac Schmialka. To samo uczyniono nieco później we Wrocławiu z jego cyklem drzeworytów pt. *Łagodna*, zainspirowanych słynnym dziełem Fiodora Dostojewskiego. Artyście, związanemu ideowo z socjaldemokracją, zakazano pokazywania swoich dzieł poza śląską prowincją. Podczas II wojny światowej z rodziną przebywał na Górnym Śląsku, wykonując różne prace. Lecz cały czas także tworzył obrazy swej małej ojczyzny. Były to głównie pejzaże, w tym beskidzkie i sudeckie. Mimo że podlegał ostracyzmowi, otrzymał zamówienie na zilustrowanie elementarza.

Wśród stworzonych dzieł był m.in. monumentalny obraz ołtarzowy z wizerunkiem świętej Barbary dla kościoła w rodzinnych Łaziskach. Muzea w Gdańsku, Elblągu i Królewcu jeszcze pod koniec lat 20. zakupiły akwarelowe i olejne pejzaże nadmorskie. Drzeworyty posiadały muzea we Wrocławiu i Bytomiu. Dziwnym



Po kąpeli Artura Wasnera.



Hałdy Bruno Schmiatka (z cyklu Górný Śląsk).

trafem te „zdegenerowane dzieła” w bytomskim muzeum przetrwały nazistowskie czasy i znajdują się w nim do dziś, choć nie są eksponowane – co dziwi jeszcze bardziej. Także muzea w Brunzshwiku i Dessau szczyciły się przed wojną posiadaniem prac śląskiego artysty (Schmiatka, utrzymując się z niezłych nauczycielskich poborów, niechętnie cokolwiek sprzedawał, dlatego tak niewiele prac trafiło w prywatne ręce).

Od nowa, do śmierci

Owa dbałość o zachowanie jak największej liczby swoich dzieł stała się powodem największego nieszczęścia. W 1945 roku Schmiatka z rodziną pośpiesznie opuszczał Górny Śląsk. Ponad 500 jego prac uległo rozproszeniu bądź zaginęło. Jako 60-latek musiał zaczynać wszystko od nowa. Ale ustabilizował życiową sytuację. Od 1947 roku – w Norymberdze – znowu pracował jako nauczyciel. W 1952 roku przeszedł na emeryturę i osiadł w Erlangen. Cały czas intensywnie tworzył, jakby chcąc nadrobić czas i wcześniejsze straty. Pozostał wierny swoim ulubionym technikom malarskim i graficznym. Ograniczał się do akwareli i malarstwa olejnego z jednej strony, a drzeworytu i linorytu z drugiej. Tematyka pozostała podobna do tej sprzed wojny. Pojawiły się obrazy wojny, nazizmu i wypędzonych ze swoich domów Ślązaków. Tytuły mówią same za siebie: *Dyktator*, *Dwaj wygnańcy*, *Dwie wojny*, *Niemcy na Wschodzie*. O dzieła Schmiatki znów zaczęły zabiegać muzea. Nie tylko niemieckie, także inne europejskie oraz z Japonii i USA. Sporą kolekcję zakupiło ministerstwo ds. wypędzonych RFN. Niektóre obrazy stały się też ilustracjami w kalendarzach.

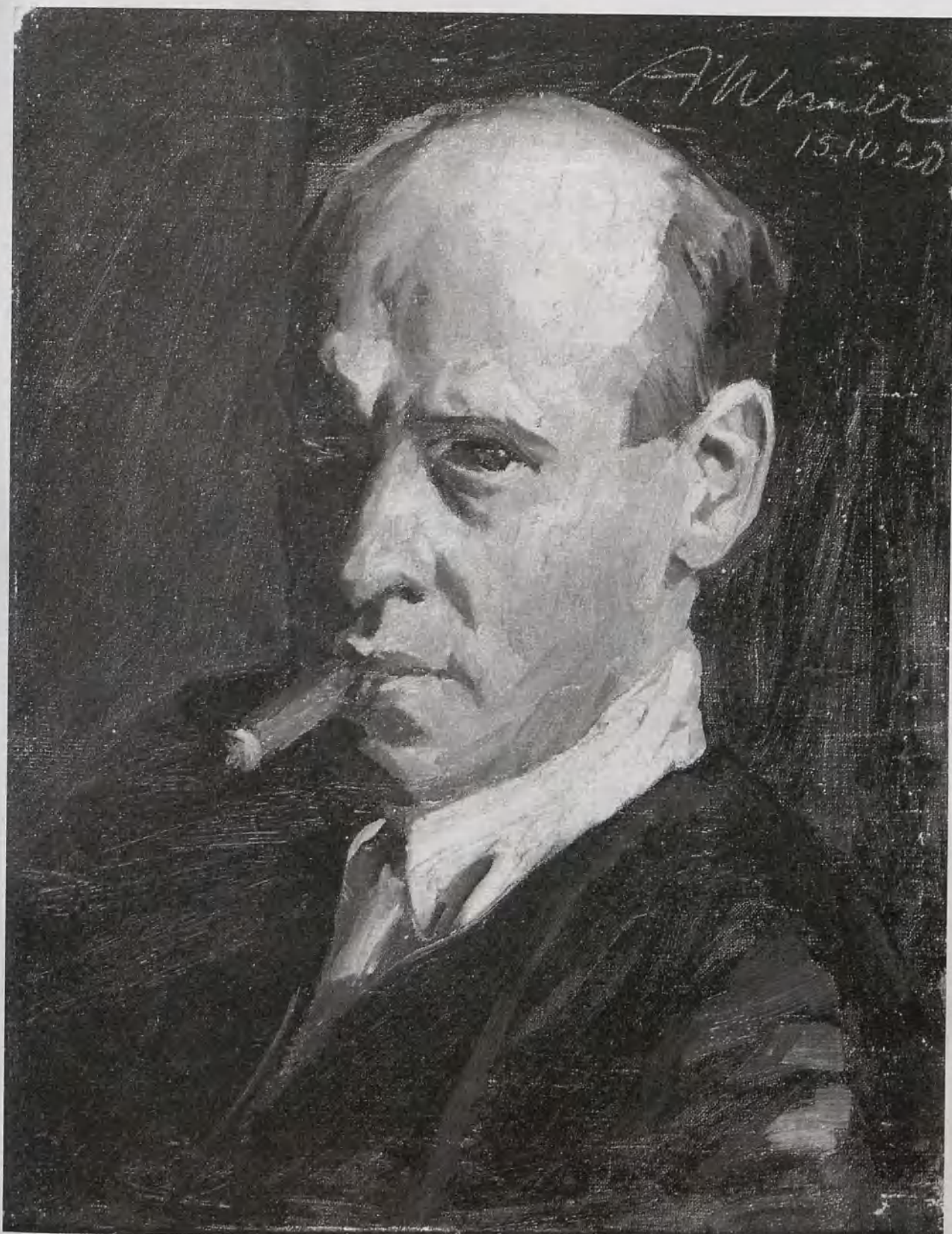
Bruno Schmiatka zmarł na apopleksję 12 sierpnia 1963 roku. Miał 75 lat. Spuścizną artystyczną zajął się jego syn Martin. Postarał się o wydanie jak dotąd jedynej i skromnej publikacji o dorobku ojca. Ta niepozorność małej książeczki stoi w wyraźnym kontraście do artystycznej pozycji twórcy. Dość zauważyć, że paryska Sorbona uczciła pamięć artysty ze Śląska w stulecie jego urodzin. Zorganizowano wystawę w Grand Palais w Paryżu. Odbyła się sesja naukowa, a w „Le Figaro” ukazał się artykuł prof. dr. Pierre’a Vaisse’a, omawiający życie i twórczość mistrza.

Rok później, w 1989, odbyła się pierwsza od ponad 50 lat wystawa dzieł Schmiatki na Śląsku, w Muzeum Narodowym we Wrocławiu. W kolejnym roku, 1990, ministerstwo spraw zagranicznych RFN zorganizowało wystawę w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu. Po trzech latach za sprawą Instytutu Goethego w Moskwie tę samą ekspozycję mogła zobaczyć publiczność rosyjska. Rezonans był ogromny.

Nazwisko Schmiatki przywołują publikacje poświęcone ekspresjonizmowi czy całej XX-wiecznej sztuce niemieckiej. To jedna z ikon awangardy lat między- i powojennych. Ciągłe jednak nie ma wyczerpującej monografii artysty. Ciągłe też pozostaje nieznany na swej rodzinnej ziemi i jest pomijany w omówieniach dorobku kultury Górnego Śląska. Najwyższy czas, by dzieła z muzeów bytomskiego i gliwickiego znalazły się na stałych ekspozycjach. Czas też, by rodzinne Łaziska zadbały o stosowne uhonorowanie obu swych wybitnych obywateli. ■

Jerzy Ciurlok

– dziennikarz, publicysta, satyryk



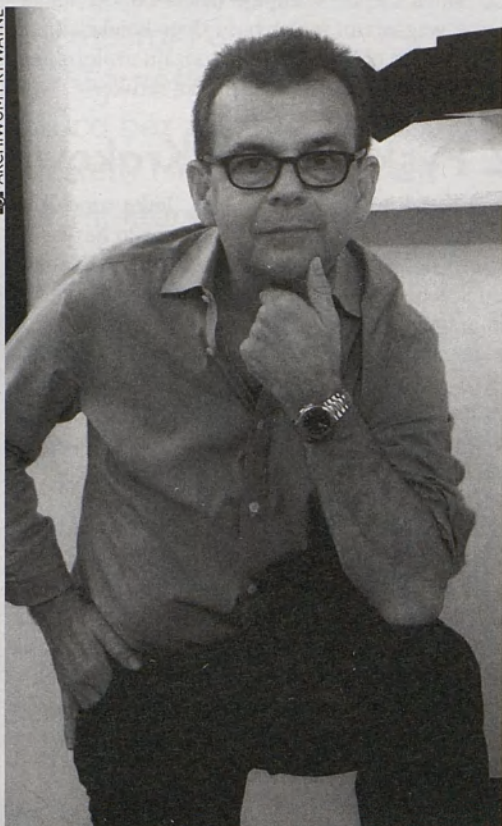
Autoportret Artura Wasnera.

Roswitha Schieb

Polska zaklęta w „błękitnym granicie”

80

W Recklinghausen, mieście położonym w północnej części Zagłębia Ruhry, otwarto Museum Jerke. Jego założyciel – okulista z nieodległego Herten i kolekcjoner sztuki w jednej osobie – oprowadza mnie po swoim królestwie, zaczynając od drobnej przechwałki: – Moje muzeum dedykowane jest polskiej sztuce awangardowej. To jedyna tego typu instytucja poza granicami Polski.



Kiedy spotkałam go kilka tygodni przed otwarciem nowej instytucji, budynek wciąż jeszcze przypominał plac budowy, brakowało poręczy i wykładzin, ale gospodarz był pełen optymizmu. W dniu inauguracji, twierdził, wszystko będzie dopięte na ostatni guzik. Na parterze planuje uruchomienie gastronomii, która – podkreśla – oferować ma świetną, ale dostępną na każdą kieszeń kuchnię. No i oczywiście dobre wino. To jest szczególnie ważne, w końcu Werner Jerke – bo tak się nazywa twórca i właściciel nowego muzeum – posiada dwie winnice w dolinie Ahry, a autorami starannie wykonanych etykietek na butelki są polscy artyści.

W przestronnej sali wystawowej przed zwiedzającym rozpościera się przepiękny widok na średniowieczny kościół św. Piotra i przebudowany niedawno Kirchplatz, czyli plac Kościelny. Z najwyższego piętra przenosimy się na dwuspadowe poddasze muzeum. Szczytowe okno, którego projekt wykonał niedawno zmarły znany artysta malarz i grafik Wojciech Fangor, barwi wpadające do środka światło, nadając pomieszczeniu mistyczną, niemal sakralną atmosferę. Wyszukany budynek muzeum, tylko pozornie skromny, wykonany jest z błękitnego granitu. Dortmundzki dziennik wypowiada się o nim w samych superlatywach, zachwalając w artykule zatytułowanym *Muzeum w kolorze Schalke* projekt architektoniczny. „Odważny”, a jednocześnie więcej niż pochlebny był to tytuł, bo przecież trzeba pamiętać, że piłkarski Dortmund jest „odwiecznym wrogiem” tych z Schalke 04 Gelsenkirchen!

Jerke planuje wystawy prezentujące nie tylko własne zbiory. Do współpracy zaprasza galerie z całej Polski.

Tylko nonkonformiści

81

Do niedawna stały tu pozbawione wyrazu domy i rozciągał się parking, co tej historycznej części Recklinghausen nadawało charakter zamkniętego podwórza. Teraz ten przebudowany i wypełniony sztuką plac jest niczym most spinający różne epoki, religie i kraje. Plac Kościelny łączy bowiem najważniejszy średniowieczny kościół miasta z Muzeum Ikon (nie licząc krajów prawosławnych, to tutaj zgromadzono największy ich zbiór), a teraz także – z muzeum polskiej sztuki awangardowej. Na wielkim transparencie zdobiącym plac reprodukcje rosyjskich ikon sąsiadują z wizerunkami plastikowych kubeczków wypełnionych farbą, pracą *Anti Pop Cup* artysty wizualnego Zbigniewa Rogalskiego oraz z obrazem *Tiger Beef* Ryszarda Grzyba. Obaj są przyjaciółmi Wernera Jerke. Sąsiedztwo tak różnych budynków powoduje, że przestrzeń wokół placu nie jest monotonna. Jerke podkreśla, że to właśnie ta stylistyczna różnorodność nadaje temu miejscu zupełnie nowy charakter.

Zbiory obejmują trzy obszary tematyczne. Pierwszy wypełniony jest awangardą międzywojnia, głównie konstruktywizmem, kubizmem i abstrakcjami formalistycznymi. Zapytany o ulubionych artystów, Jerke bez zastanowienia wymienia Władysława Strzemińskiego (ma *Rozbity Kwadrat*) i Katarzynę Kobro, której dwie rzeźby też posiada w swych zbiorach. Ceni także eksperymentalne prace Marii Jaremy, dzieła Henryka Berlewiego, ojca op-artu, oraz Stanisława Ignacego Witkiewicza. W swojej kolekcji ma po kilka dzieł tych artystów. Drugi obszar stanowi sztuka nowoczesna powstała po 1960 roku: prace surrealistyczne (Tadeusz Kantor), rzeźby z poliestru czy poliuretanu (Alina Szapocznikow), prace wykonane na potrzeby przestrzeni publicznej (Wojciech Fangor) oraz obrazy,

które mieszając nurty malarstwa figuratywnego i abstrakcyjnego przedstawiają okrucieństwa drugiej wojny światowej (Andrzej Wróblewski). Natomiast trzeci obszar koncentruje się na współczesnej sztuce polskiej, tworzonej po roku 1989, stąd znajdziemy tu obrazy figuralne Jarosława Modzelewskiego – nacechowane nastrojem surrealistycznym, prace związane ze środowiskiem mniejszości białoruskiej Leona Tarasewicza, dzieła „polskiego Roya Lichtensteina” Wilhelma Sasnała oraz obrazy przyjaciół kolekcjonera – pochodzącego z Wodzisławia Śląskiego Sławomira Elsnera i Zbigniewa Rogalskiego, reprezentujące mieszaninę różnych technik i środków (od malarstwa olejnego po fotografię). Poza tym Jerke może pochwalić się sporym zbiorem wydawnictw okazjonalnych i druków propagandowych z okresu międzywojennego (tzw. jednodziówek).

Pytany o kryteria, jakimi kieruje się podczas uzupełniania kolekcji, odpowiada, że interesują go dzieła, które w czasie powstawania cechowały nonkonformizm i awangardyzm (na przykład sztuka lat 60. powstająca w opozycji do socrealizmu). Jerke bardzo chciałby udowodnić całemu światu, że polska awangarda międzywojenna (także niemiecka, którą również kolekcjonuje) w niczym nie ustępowała rosyjskiej czy francuskiej. Inspiracją dla niego jest pasja kolekcjonerska, jaką kierowali się intelektualiści lat 20., na co dzień otaczający się artystami. Dlatego on też – na przykład – zleca Polakom wykonywanie projektów etykiet na produkowane przez siebie wina. Co najważniejsze – kupuje dzieła odpowiadające wyłącznie jego własnemu gustowi artystycznemu, nie kieruje się jakimikolwiek względami rynkowymi. Jego kolekcjonerski entuzjazm jest tak wielki, że sam traktuje go z przymrużeniem oka. Mówi, że jest on objawem swego rodzaju uzależnienia. Pasję najwidoczniej zaraził obie dorosłe już córki, skoro od niedawna i one zaczęły kolekcjonować polską sztukę.

Z Pyskowic do Krakowa

Jak to się stało, że okulista zajął się polską sztuką? Rzecz jasna ma to związek z historią rodzinną. Jerke urodził się w 1957 roku w Pyskowicach, górnośląskim miasteczku nieopodal Gliwic, które w czasach niemieckich nosiło nazwę Peiskretscham. Jego rodzice byli śląskimi Niemcami. Pod koniec wojny znaleźli się w obozie wraz z innymi uciekinierami. Ale w ostatniej chwili zostali zatrzymani. Ponieważ na Górnym Śląsku zapotrzebowanie na wykwalifikowaną siłę roboczą było duże, zawrócono ich. Ojciec pracował potem w gliwickiej rzeźni. Co prawda rodzice Wernera Jerke pozostali Niemcami i nie byli zmuszani do podpisania narodowościowej lojalności, to jednak musieli nauczyć się polskiego. Ich językowe umiejętności, aż do wyjazdu do RFN, nie wyszły jednak poza śląski dialekt.

82

Dla swoich dzieci wybrali niemieckie imiona, Sigrid i Werner, a ojcu – mimo oporów ze strony władz – udało się je przeforować w urzędzie (jedyne Sigrid zapisano w papierach przez „Z”). W domu mówiło się wyłącznie po niemiecku, stąd Werner nauczył się polskiego dopiero w wieku siedmiu lat, w szkole. Nie pamięta, by ten obcy dla niego język sprawiał mu jakieś problemy. Dziś uważa, że poznawanie języków w wieku do 12 lat to najważniejsza część nauki, jaką powinna dać szkoła. On sam szybko opanował cztery: oprócz niemieckiego i śląskiego nauczył się literackiej polszczyzny i rosyjskiego. W szkole jednak, ze względu na niemieckie pochodzenie, stale narażony był na kpiny. Dokuczano mu. To dlatego tak wcześnie zrodziła się w nim ambicja, by o sztuce i kulturze polskiej mieć większe pojęcie niż jego polscy koledzy.

W Pyskowicach działał nadzwyczaj prężny Klub Filmowy „Jaś”. Werner znalazł się pod jego silnym wpływem, nawet zamarzył o reżyserii. To marzenie wydawało mu się jednak tak wielką iluzją, że w końcu wybrał studiowanie geografii w Krakowie, kolebce polskiej sztuki i kultury. Szybko się przekonał, że stosunek do Niemców – być może ze względu na niegdyśjsze wpływy austriackie – był tu o wiele bardziej przyjazny niż na rodzinnym Górnym Śląsku. Jedną z jego profesorek, pochodzącą z tej części byłych kresów Rzeczypospolitej, które po wojnie znalazły się w Ukrainie, chętnie i często rozmawiała z nim po niemiecku. By w końcu spełnić swe marzenie, po zakończeniu studiów Jerke złożył podanie o przyjęcie do Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi. Jednak w tym samym czasie, w 1981 roku, nadeszła decyzja o zezwoleniu na wyjazd do Niemiec. I pojawił się dylemat. Wernera bardzo pociągała wizja studiowania reżyserii, z drugiej jednak strony – wyjazd na Zachód wydawał mu się równie atrakcyjny. Zresztą jego ojciec już od trzech lat mieszkał w Recklinghausen. W końcu syn zdecydował, że do niego dołączy. Marzenia o studiach reżyserskich znów musiał odłożyć do lamusa.

W roku 1984 w Bonn zaczął studiować medycynę. W 1993 roku odbył praktyki u znanej katowickiej okulistki, profesor Ariadny Gierek-Łapińskiej. Trzy lata później otworzył własną praktykę we wspomnianym już Herten. Dziś twierdzi, że na wybór zawodu okulisty, być może, podświadomy wpływ miała jego pasja związana z patrzeniem i widzeniem – widzeniem i postrzeganiem sztuki. Ostatecznie w 2006 roku spełniło się jego inne skryte marzenie – podjął w Krakowie kolejne, trzecie już studia. Tym razem była to historia sztuki. Z powodzeniem ukończył ją w roku 2010.

Tak naprawdę Jerke sam nie do końca wie, co w nim zrodziło tę pasję. W jego domu rodzinnym nikt przecież jakoś szczególnie sztuką się nie interesował. Być może wszystko się zaczęło, gdy po wypadku samochodowym, jako młody chłopak, trafił na trzy miesiące do kliniki w Opolu. Wtedy w ręce wpadł mu album z reprodukcjami francuskiego malarza Maurice’a Utrillo. Zafascynował się. Gdy studiował geografię w Krakowie, zainteresował się sztuką XIX stulecia i zaczął kolekcjonować reprodukcje z tej epoki. Od 1982 roku zaś zbierał dzieła z okresu Młodej Polski, potem pociągała go już tylko sztuka awangardowa.

„Zaciągnąć się” tym powietrzem

Czuje się Niemcem, Polakiem czy raczej Górnoślązakiem? Rzuca bez zastanowienia: „Jestem Niemcem. Jednak takim, który jak gąbka nasiąknął polską kulturą”. Na pytanie o swój *heimat* odpowiada dyplomatycznie. To pojęcie oznacza dla niego zarówno Śląsk z jego rodzinnymi Pyskowicami, jak i miasto, w którym na świat przyszedł jego dzieci. Czyli Recklinghausen. Ponieważ cała rodzina ze strony ojca pochodziła z Dolnego Śląska, z okolic Wrocławia i Świdnicy, a tylko matka była Górnoślązaczką, on sam postrzega się raczej jako Ślązak, mniej jako Górnoślązak. A kwestie religijne? Jego rodzina nie była homogeniczna. Większość krewnych ze strony ojca była wyznania protestanckiego, natomiast ze strony matki katolicka, stąd on sam już od wczesnych lat wyrastał w atmosferze dość liberalnej w tym względzie. Do dziś sobie to ceni.

Kilka razy w roku odwiedza Warszawę i Kraków, najczęściej po to, by spotkać się z właścicielami galerii sztuki i artystami. Od czasu do czasu powraca do Pyskowic, gdzie ma jeszcze sporo znajomych z czasów szkolnych. Niezbyt często, ale czasem po prostu musi „zaciągnąć się” górnośląskim powietrzem. Kilka lat temu poproszono go o pomoc w rekonstrukcji skradzionej tablicy z brązu, która widniała obok wejścia do jego pyskowickiego Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Konopnickiej. Chętnie pomógł. Po zmianie ustrojowej zaś kupił dom przy pyskowickim rynku, ze średniowiecznymi piwnicami, w których teraz znajdują się gabinety salonu optycznego. Wtedy miał zamiar kupić także gliwicki Dom Tekstylny Weichmanna, powstały według projektu słynnego architekta Ericha Mendelsohna, ale ubiegł go jakiś inny kupiec. Do dziś nie może tego odzalaować.

Czy muzeum nie okaże się przedsięwzięciem zbyt ryzykownym? Czy jego założyciel nie obawia się, że Polska i jej kultura pozostają dla zasiedzialego tu od pokoleń mieszczaństwa zbyt dalekie? Jerke zaprzecza. Podkreśla, że zdecydowana mniejszość dzisiejszych mieszkańców tego miasta jest „stąd”, choć akurat rodzina jego żony pochodzi z Recklinghausen. Dominują potomkowie tych, którzy przybyli tu pod koniec XIX i na początku XX stulecia ze wschodnich prowincji Prus. Wtedy w górnictwie pracę znalazło wielu Mazurów. I to dzięki nim powstał klub piłkarski Schalke 04; Jerke też jest jego fanem. Uważa, że dawni polscy robotnicy to przykład najbardziej udanego procesu integracji w Zagłębiu Ruhry, regionu, który chętnie porównuje do Nowego Jorku.

– Większość to przyjezdni – powtarza. – Tutejsza społeczność jest kompletnie wymieszana i wciąż na nowo musi definiować swą tożsamość. Może dlatego tak ufnie patrzy w przyszłość? A może znajdują się tacy mieszkańcy Ruhry, którzy dzięki naszemu muzeum zainteresują się swym pochodzeniem i odnajdą polskie korzenie? Może to odkrycie zwiąże ich z nami na dłużej? Oczywiście, zdarzały się i nadal zdarzają głosy krytyczne. A to budynek muzeum jest „zbyt nowoczesny”, a to „zbyt obcy”, niepasujący do idyllicznego obrazka szachulcowych domów, rozsianych wokół średniowiecznego kościoła. Dotąd jednak żaden mieszkaniec Recklinghausen nie zapytał mnie, dlaczego pokazujemy akurat polską sztukę, a nie inną. ■

Tłumaczenie z jęz. niem.: Marcin Wiatr

Roswitha Schieb

– eseistka, autorka szkiców i książek m.in. o Rugii, Galicji, Śląsku i Wrocławiu

Werner Jerke czuje się Niemcem, Polakiem czy Górnoślązakiem? Rzuca bez zastanowienia: „Jestem Niemcem. Jednak takim, który jak gąbka nasiąknął polską kulturą”. Na pytanie o swój *heimat* odpowiada dyplomatycznie. To pojęcie oznacza dla niego zarówno Śląsk z jego rodzinnymi Pyskowicami, jak i miasto, w którym na świat przyszedł jego dzieci. Czyli Recklinghausen. Tylko matka była Górnoślązaczką, więc on sam postrzega się raczej jako Ślązak, mniej jako Górnoślązak.

*The past is never dead.
It`s not even past.
(Przeszłość nigdy
nie przemija. Ona nawet
nie jest przeszłością)*

William Faulkner

Michał Majerski

Pamięć, czyli opór materii

Kiedy myślę o dzisiejszej sytuacji na „polskich terenach odzyskanych” po wojnie, to przychodzi mi od razu do głowy stary, dobry film Bergmana *Milczenie*. Historia o tym, co się dzieje, kiedy nie tylko my milczymy, ale i Bóg. To historia o ludziach, którzy nie potrafią się między sobą porozumieć, są niezdolni do znalezienia radości życia, zdani na samotność.

Usiadłem na chwilę przy dużym poniemieckim biurku, które pewnie od zawsze stało przy tym oknie. Widać z niego park zdrojowy, kawałek sanatorium i wież kościoła, charakterystycznie dla Dolnego Śląska barokowego.

Biurko należało do mojej cioci, którą chętnie tu odwiedzałem przez całe moje dzieciństwo. Mieszkaliśmy wtedy w Gliwicach w zrujnowanej kamienicy, więc każde ferie szkolne spędzałem u niej. Teraz, od kiedy zmarła, jej mieszkanie stoi puste, zostały już tylko stare meble, których nikt nie chciał zabrać, bo zajmują dużo miejsca. Ciocia oprócz mnie nie miała żadnej rodziny, więc na mnie spoczął obowiązek uporządkowania jej spraw.

Niemcy mogą wrócić

Przyjechała tu zaraz po wojnie z nakazu pracy. W mieszkaniach można było jeszcze wybierać, gdyż wtedy dotarł tu tylko jeden pociąg, transport z wypędzonymi Polakami z Kresów Wschodnich. Reszta dojeżdżała najwyżej do Wrocławia, a dalej na południe już nie. Dostała przydział na mieszkanie, ale musiała pomieszkać jeszcze z jakąś niemiecką rodziną, z którą nie mogła się jednak dogadać. Dali jej osobny pokój, służbówkę, a potem, kiedy już wyjechali do Niemiec, została w całym mieszkaniu sama. Wprowadziły się tam wprawdzie na krótko jeszcze jakieś dwie młode dziewczyny z Kresów, ale szybko wyjechały szukać szczęścia gdzie indziej.

Po tych Niemcach zostało mnóstwo jakichś staroci, antyków i instrumentów, których funkcji nikt nie znał, a przede wszystkim książek. Ciocia pochodziła z chłopskiej rodziny, więc to wszystko nie przedstawiało dla niej większej wartości. Miała jednak swoje zasady, że nikomu nic nie darowała, no i umiała odstraszać szabrowników. Przez całe życie używała tylko jednego pokoju i miała na to wymówkę: ci Niemcy mogą tu przecież w każdej chwili wrócić!

Długo się zastanawiałem, dlaczego jej mieszkanie, prostej wiejskiej kobiety, wyglądało tak pięknie, skąd się tam wzięły te cenne przedmioty wypełniające szafy i biurka, którego oprócz mnie nikt nie otwierał? Kiedy do niej przyjeżdżałem, pokoje były za każdym razem zamknięte na klucz. Kiedy je otwierałem i wchodziłem tam, żeby grzebać w tych poniemieckich skarbach, to było to dla mnie, dziecka z brudnego górnośląskiego podwórka, za każdym razem wejście w inny wymiar, inny świat. Świat, który stopniowo zmieniał moje życie.

Teraz, po wielu latach, kiedy zaczynam się nad tym głębiej zastanawiać, odczuwam pewną dwoistość – śląską schizofrenię. A żebym nie miał

wątpliwości, gdzie jestem, codziennie za oknem z wieży kościoła rozbrzmiewa dźwięk hejnału *Maryjo, Królowo Polski*. Bo jestem teraz na polskim Śląsku, ziemi wcale nie tak dawno przyłączonej do Polski.

Spadkobiercy nienawiści

Urodziłem się na Śląsku już po wojnie, więc to moja ojczyzna. Dziś wyrasta w niej już czwarta generacja Polaków – tyle że do dzisiaj nie widać, by ją pokochała. W szkole się uczyłem, że była tu wojna, którą wygraliśmy i w zamian za pokonanie Niemców dostaliśmy te stare piastowskie ziemie w nagrodę.

Zwyczajna zachowuje się na ogół suwerennie i wie, co zrobić ze zdobyczą. Ale te ziemie to był prezent od aliantów. Moja ojczyzna była niechcianym prezentem, a takich prezentów nikt nie lubi. Na Śląsku zaczęły się Exodus i śląska Odyseja. Więc uciekłem stąd – nie ja jeden, mimo że nikt mnie ze Śląska nie wypędzał. Musiałem uciec, choć do dziś nie czuję się uciekinierem, bo w głębi duszy jestem wygnańcem. Tak jak te setki tysięcy Ślązaków, którzy wyjechali stąd nie tylko dlatego, że gdzie indziej czała się obietnica lepszego życia.

Odyseja jednak zawsze się kończy powrotem. Jak to zatem jest dzisiaj z takimi powrotami z emigracji, do dawnych pieleszy, pod swoje niebo? Komu uda się trafić do domu? Wygnańcy rozsiani po całym świecie widzą po latach, że znaleźli się w pułapce, zamkniętych dolinach, w nowych domach, i postanowili żyć już bez iluzji, że kiedyś wrócą.

Kiedy patrzę na Górny Śląsk z bezpiecznego dystansu, jaki daje mi teraz to opróżnione poniemieckie biurko, widzę tylko ruiny dawnej wspólnoty. Od momentu, kiedy z transportów przybywających na górnośląskie dworce kolejowe wysiadały tysiące przybyszów ze Wschodu i wsiadali do nich wysiedlani Niemcy, upłynęło już wiele dziesiątków lat. Czy po tylu latach ukształtowała się wreszcie nowa wspólnota? Jak ta sztucznie stworzona śląska społeczność funkcjonuje?

„To kłamstwo i propaganda autonomistów” – mówią ci Polacy, którzy Górny Śląsk znają jedynie z telewizji. „Przesada” – mówią lewicowi Niemcy, którzy o wojnie i wschodzie Europy nie chcą w ogóle słyszeć. Inni dopowiadają: „Po tylu latach trzeba wreszcie skończyć z tym gadaniem i nie rozdrapywać zabliźnionych ran”.

Zabliźnionych? Nie, jest inaczej. Z miejscowymi Ślązakami zderzyły się setki tysięcy niekoniecznie „czystych rasowo” polskich wygnańców. Od tej chwili tak zwyczajcy, jak i przegrani musieli mieszkać obok siebie, próg w próg, przy akompaniamencie komunistycznej propagandy. O tym, jak mieli razem żyć, decydowała pozostawiona przez wojnę nienawiść. Na ziemi, na której od wieków panowała wspólnota różnych kultur, tolerancja stała się słowem obcym, a milczenie o najnowszej historii polityczną poprawnością. Główną przyczyną były wojenne traumy – ale może nadszedł czas, byśmy pomyśleli, jak ta skłócona społeczność miałaby się z tych wojennych urazów wreszcie wyleczyć. Jak wyjść z tego panującego nadal w głowie postkomunistycznego pogorzeliśka, skończyć spory z sąsiadami, zając się sobą i swoją rodziną.

Rodzina to jest miejsce, do którego można zawsze wrócić, w którym jest miejsce dla każdego, niezależnie od tego, czy jest on nazistą, komunistą, politykiem, alkoholikiem, bankrutem, starcem... A prawie każda rodzina na Śląsku nosi ślady wojny. Dopiero teraz, kiedy wymarła już niemal cała generacja ludzi bezpośrednio nią dotkniętych, naukowcy zainteresowali się tym, dlaczego w naszych rodzinach powtarza się tyle reakcji, zachowań i podobnych problemów: ciągłe przeprowadzki, brak więzów, nieokreślony strach, niepewność jutra, poczucie winy, uczucie bezdomności, depresje, fobie... Wyniki badań dowodzą, że pomimo iż należymy do powojennej generacji, to skutki wojny nadal tkwią w nas głęboko. Nasza podświadomość wygląda jak krajobraz po bitwie. Od naszych rodziców przejęliśmy – nieświadomie – bagaż cierpień, win, zmienności losów.

A kim oni byli, ci nasi rodzice? Nierzadko osieroceni, zarażeni traumą, tęskniący za normalnością, chcieli odrobić stracony czas i szybko zakładali nowe rodziny, nieraz nie zastanawiając się nad tym, z kim się zwiążą na całe życie. Teraz większość z nas właśnie z takich związków pochodzi.

Pamiętam, że w szkole nie mówiliśmy o swoich rodzinach, rodzice zabraniali opowiadać o tym, co się dzieje w domu. Ławka w ławkę siedziały obok siebie dzieci, których ojcowie jeszcze niedawno ze sobą walczyli. Jedni byli w Wehrmachcie, inni w armii Andersa albo u Rosjan, jeszcze inni rekrutowali się spośród Sybiraków, komunistów, ubeków i konfidentów. Nie mogło być inaczej. Już kilka dni po wojnie ofiary stawały się sprawcami, i odwrotnie – sprawcy ofiarami. A my nie mieliśmy o niczym pojęcia, bo milczeliśmy, nie odwiedzaliśmy się w domach, więc nie było problemu i nikt się nad tym nie zastanawiał. W końcu zrozumiałem, że nic nie jest czarne i białe, a szarości są o wiele bardziej zbliżone do prawdy. Kiedy moi sąsiedzi dowiedzieli się, że znam język niemiecki, zaczęli mnie, żeby mi pokazać jakieś dokumenty, które zostały po ich zmarłych rodzicach i dziadkach. Pytali, o co w nich chodzi. Czy można by za nie dostać od Niemców jakieś dodatki do renty? Nieraz kłamałem, żeby im nie robić przykrości. Niekiedy znajdowałem rzeczy odrażające: donosy ich ojców na sąsiadów albo próby o przydzielenie pożydowskiego warsztatu czy mieszkania.

Dopiero najmłodsze pokolenie zaczyna otwarcie pytać, przełamywać tę ciszę i pytania o przeszłość ojców i dziadków, o rodzinne korzenie. Odpominanie jak fala przetacza się po całej Europie Wschodniej. Poszukiwanie naszej prawdziwej historii dopiero się zaczęło! Żeby sobie uświadomić, w jaki sposób zostaliśmy uformowani, musimy się przede wszystkim przyjrzeć naszym ojcom. Ojcowie są wzorcami. Ojciec odgrywa rolę przywódcy, z nim trzeba się zetrzeć, przeciw niemu zbuntować, żeby samemu dojrzeć.

Mój ojciec, Polak, o sobie i swoich wojennych losach nigdy nie mówił. Zaś matka Ślązaczka szeptała coś z moją babcią o tych „przeklętych Polakach”. Długo nie miałem pojęcia, że na Śląsku jest jakiś problem. To mnie nie interesowało, a w szkole uczyliśmy się wierszyków o „małym Polaku”. To oczywiste, że nauczyciele musieli nas, niemieckie i śląskie dzieci, nawracać na polskość. Jak misjonarze. Wpajali nam, że teraz jest tu Polska i mieszkają tu tylko Polacy. Problem jednak nie zniknął, bo nie wszystkich nas stąd wyrzucono, a nasi dziadkowie mówili nam zupełnie coś innego. Ale rodzice milczeli. Dlaczego? Bo ojcowie przeważnie pochodzili ze Wschodu, a matki Ślązaczki były praktyczne i nie chciały mieć w domu problemu.

Nie wszystko stracone?

Jak te konflikty załagodzić? Oczywiście, najlepiej byłoby dalej milczeć, ale się nie da. Dzieci wyczuwają, że ich śląski dom miał inną przeszłość niż ta przekazywana, miał innych właścicieli. Nareszcie zaczynają pytać o Śląsk, którego już nie ma, o swoje korzenie i miejsce, w którym żyją.

Swoista schizofrenia się nie skończyła. Dziś większość na Górnym Śląsku ma ojców czy dziadków z dalekiej Polski. Co więc można dzieciom o Śląsku opowiedzieć? Niewiele lub nic; chętniej snuje się opowieści o wołyńskich wioskach albo o powstaniu warszawskim. Dla wielu nadal są bliższe lwowskie czy wileńskie cmentarze niż te za rogiem ulicy. Pamiętam to dobrze z domu...

Nie pomaga, że wielu ludzi wychowanych w Europie Wschodniej mentalnie nadal tkwi w komunistycznej dyktaturze. Rodzina w wychowaniu miała mieć jedynie znaczenie podrzędne, a wychowywać miała partia i jej ideologia. Więc nie tylko nasi rodzice, ale i nauczyciele to w większości wytwór komunistycznej socjalizacji. Ale być może nie wszystko stracone. Wierzę w nieobliczalność historii. Po wielu latach otworzyły się granice, młodzi ludzie zaczęli jeździć po świecie i chodzić do innych szkół, znajdować innych nauczycieli.

Mozolnie wracają wygnane z pamięci obrazy naszych rodzin. Pamięć o nich leży pogrzebana w miejscach, które kiedyś były cmentarzami, a teraz są ruinami. Cmentarze żydowskie i ewangelickie są w większości zamknięte. Z niemieckich i żydowskich nagrobków porobiono murki i płyty chodnikowe. I nie wygasła obojętność, która jest przecież formą agresji. Chciałbym wierzyć, że to się zmieni. Wreszcie przestaniemy milczeć, bo – jak trafnie wyraził to Szekspir – „Ból, utajony i w ciszy zamknięty, w serce kołacze tak długo, dopóki nie pęknie”.

Michał Majerski

– filmowiec dokumentalista, w roku 1978 wyemigrował do Niemiec, w latach 90. powrócił do Polski, mieszka w Szczecinie

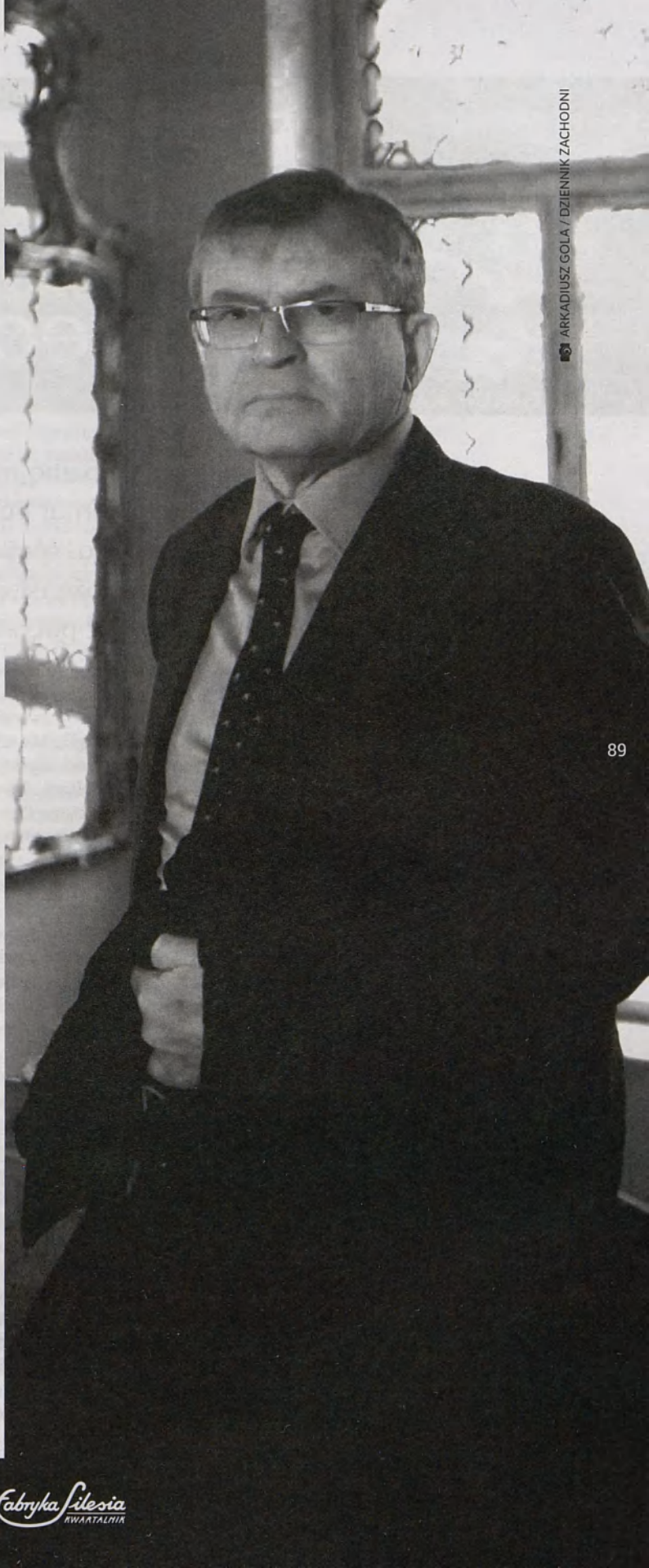
Dopiero najmłodsze pokolenie
zaczyna przełamywać ciszę.

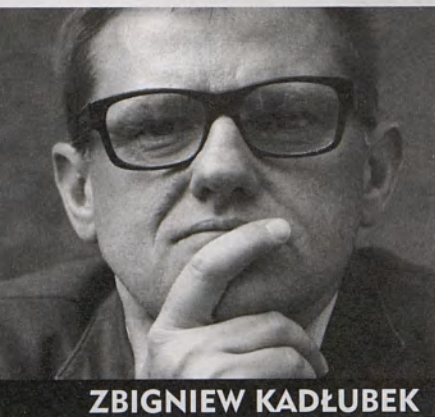
Pyta o przeszłość ojców
i dziadków, o rodzinne
korzenie. Odpominanie
jak fala przetacza się po
całej Europie Wschodniej.

Poszukiwanie naszej
prawdziwej historii
dopiero się zaczęło!

Dziś większość na Górnym
Śląsku ma ojców czy dziadków
z „dalekiej Polski”. Co więc
można dzieciom o Śląsku
opowiedzieć? Niewiele lub nic;
chętniej snuje się opowieści
o wołyńskich wioskach albo
o powstaniu warszawskim.

Dla wielu nadal są bliższe
lwowskie czy wileńskie
cmentarze niż te za rogiem
ulicy. Pamiętam to dobrze
z domu...





ZBIGNIEW KADŁUBEK

Mieć przedsia

Seledynowe niebo mistycznie usiane bielusienkami kształtami chmur nad kościołem pod wezwaniem św. Szczepana. Matka Boska Bogucicka czeka na majowe nabożeństwo. Zaraz przyjdą ludzie, w kościele już pachnie umajonym śpiewem.

Krótko się modłę, bo tylko tak umiem, rozmyślam o mocach szkaple-rza, wdycham katowickie Bogucice rozmodlone. I idę na spotkanie autorskie do domu kultury. Jak zawsze w takich przypadkach drze-nie, bo przecież moje *Listy z Rzymu*, krótka epistolograficzna powieść miłosna, którą napisałem osiem lat temu, to taka wciąż niebezpiecz-nie naładowana emocjami książka. Rozmowa o niej zawsze prowokuje pytania o granice tożsamości, o pograniczność śląskości i neuraste-nii, o błaganie się bezgraniczne. No i zaczęło się. Wstaje pan Henryk Adler. Opowiada o tym, że jego dziadek wkładał mu do głowy, jakby w zastępstwie albo skrócie wszelkiej mądrości, jedną zasadę: *Mosz mieć przedsia!* I to uznaje pan Henryk za wykładnię, wytłumaczenie wszelkiej wiedzy o tożsamości. Oto filozofia tożsamości i przekracza-nia wszelkich granic: *mieć przedsia!*

Ten śląski zwrot znaczy: być dumnym, a nawet nieco pysznym, być indywidualistą, przeć naprzód, odnaleźć się w życiu, być samo-wystarczającym, samodzielnie pokonywać przeciwności, liczyć tylko na siebie. Ale przede wszystkim jest to taka śląska koncepcja podmiotu, który przekracza różne granice. Słowo *przedsia* prawdopodobnie stano-wi śląski i słowiański odpowiednik niemieckiego *vorwärts* (*naprzód*). *Przedsia* posiada niezwykle głębokie znaczenia. *Przedsia* streszcza – albo powinno streszczać – śląską koncepcję człowieka. Jedyną niemoż-liwością posiadania jakiegoś projektu jest śmierć. Tak mniej więcej mówi Emmanuel Lévinas. Ale jeśli naprawdę *mosz przedsia*, to także śmierć nie musi być ostatnim twoim projektem; śmierć nie jest grani-cą. W *przedsia* słysząc też oczekiwanie na to, co nie nadeszło jeszcze, co jest niespodzianką, ale ku czemu zmierzamy. *Przedsia* definiuje mę-stwo podmiotu. *Mosz mieć przedsia* należy rozumieć: bądź mężny, bądź dzielny, walcz właśnie dlatego o siebie, że jesteś człowiekiem. *Mosz mieć przedsia* oznacza: bądź heroiczny, bądź ponad siebie, bądź czujny.

Zostań Heraklesem swego bycia. Nawet ściana śmierci nie ogranicza ruchu *przedsia*. Nie ma takiego nieszczęścia, które cię pokona doszczętnie i zahamuje. I ma takiego cierpienia, którego byś nie przekroczył, idąc *przedsia*, patrząc *przedsia*, żyjąc *przedsia*, kochając *przedsia*.

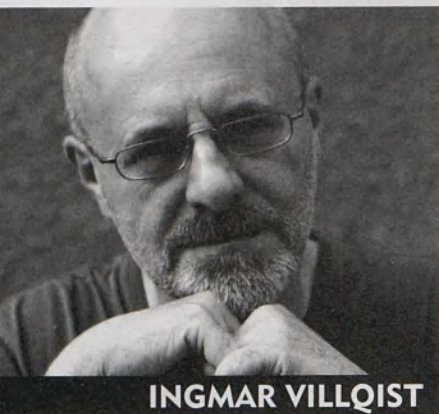
Istnieje związek pomiędzy filozofią *przedsia* a tradycją. W jakimś stopniu granicę dla pracy tradycji wznosi chwila obecna, każde teraz. *Przedsia* przenosi tamto, co było, jako wartość, ku teraźniejszości. W *przedsia* wpisuje się bezgraniczne umiłowanie świata. Postawa *przedsia*, krystalicznie zindywidualizowana, to przygarnianie świata, zagarnianie świata, zachłanność ogromnych przestrzeni. Słowo *przedsia* definiuje także wszelki postęp. Jednak nie chodzi o prostacki, to znaczy wyłącznie ekonomiczny czy technologiczny postęp, który ostatecznie okazuje się podstępem bardziej niż postępem – i pułapką nowoczesności. Postęp w filozofii *przedsia* to stawianie na podmiotowość działań, uczłowieczanie nawet maszyn czy procesów. *Przedsia* personalizuje każdy ludzki czyn i każde ludzkie dzieło.

Ale także filozofia *przedsia* stanowi streszczenie filozofii sukcesu. Bez najgłębszej świadomości drogi *przedsia* staniemy się chmurami, które się rozpułną za chwilę. *Przedsia*, ujęte jako kodeks, przykazanie, byłoby zapisem ścieżki samorealizacji. Albowiem *przedsia* stanowi rdzeń autonomiczności. *Przedsia* opisuje bunt. Lecz w dalszym planie to program uwolnienia się z przyzwyczajęń, potulności, słabości, małości, materializmu, chciwości. Na tym polega ten bunt.

Rozum jest zmienny, niespokojny i nieukończony, a przede wszystkim uparty: idąc ścieżką doktryny *przedsia*, kontrolujemy umysł. Bo też filozofia *przedsia* – jako królewski styl życia – prowadzi w końcu człowieka ku czemuś wyższemu niż tylko ludzkie życie. O wyjątkowości jakiegoś człowieka decyduje jego zaangażowanie w jego wewnętrzny duchowy pierwiastek *przedsia*, w imperatyw *przedsia*. Jestem przekonany, że *przedsia* – jako postawa – to autentyczna pasja życia w krańcowej aktywności transcendentalnej, przekraczającej. Kto *mo przedsia*, bierze swoje jarzmo na siebie i naśladuje Najwyższego. Wszystkie cztery Ewangelie opowiadają o bosko-ludzkim *przedsia*.

Tych, którzy kierują się wzniosłą zasadą *przedsia*, nie można zgnebić, wykluczyć, poturbować, splawić. Adeptci *przedsia* wiodą życie bez granic i dlatego nie da się ich ograniczyć. Wcisnąć w kreski granic. Świadomość własnego przeznaczenia, pojęta jako afirmacja *przedsia*, to prawdziwa wiedza o duszy samorealizowanej. Nigdy już się nie ulega złudzeniu, gdyż rozumie się, że wszystkie żywe istoty są jedynie częścią Najwyższego. To są granice tożsamości i odpowiedzialności – kosmiczne *przedsia*. Ale dodałbym, że *przedsia* stanowi także pewną formę nadziei, czyli energii prowadzącej naprzód, energii dnia jutrzejszego, który zawsze musi być pogodny, wielki, jasny i dziewiczy jak dzień stworzenia świata. *Przedsia* nakreśla program szans nawet dla trzcin nadłamanych.

Przedsia to najistotniejszy identyfikator tożsamości. Kto *mo przedsia*, czerpie szczęście z wewnątrz, bo jest skrajnie ruchliwy w swojej jaźni. Kto *ni mo przedsia*, nie zna prawdziwej postaci rzeczy. Mieć *przedsia* oznacza ćwiczyć się, żyć ascetycznie, powiększając muskulaturę istnienia. Wyzwalasz się wtedy, gdy *mosz przedsia*, a to znaczy, że chcesz moralności. „Moralność wymaga wolności” – powiedział francuski filozof i twórca neokrytycyzmu Charles Renouvier (1815-1903). Każdy człowiek, cały Górny Śląsk potrzebuje dynamiki *przedsia*. Tylko *przedsia* może nas uratować. ■



INGMAR VILLQIST

NA TEMAT

Kargulowy płot

Trzeba by wreszcie dobrze poszukać, najpewniej w nas samych, tych granic i ograniczeń, które sprawiają, że wciąż taplamy się w ciepłym i bezpiecznym (bo tylko ledwie poza kolana) błotku naszych śląskich kompleksów. Ich pełna gama jest przebogata.

92

Najważniejsze to poczucie odrzucenia; ów syndrom adoptowanego dziecka przyjętego do wielkiej rodziny, lecz trzymanego na dystans w zimnym chowie; z wbudowaną świadomością i egzekwowaną koniecznością nieustannego okazywania wdzięczności, ustawiczne kształcenie poczucia winy za przewiny przecież nie nasze. I to także nasze poczucie niezrozumienia, odrzucenia, wykorzystywania i odstawienia w kąt; bezterminowy nakaz klęczenia w kącie na grochu za grzechy pradziadka i dziadka w Wehrmachcie, za sklepy za żółtymi frankami, za wypalony po wieki na czole stygmat niemieckiej opcji, bełkotliwą gwarę, która jest, a być jej nie powinno, za białe plamy w śląskiej historii, przeinaczenia, przemilczenia, za rolę puzzla, o kanciastych brzegach, którą nam nadano; raz pasującego do politycznej układanki, to znów nie. No i jakże sobie z tym radzić; żyć na huśtawce nieustannych nadziei i rozczarowań; wszak od tych rozpamiętywań może się wreszcie zakręcić w głowie i można spać.

Jedni twierdzą, że trzeba to wszystko zostawić i żyć po prostu podług pragmatyki współczesnego świata, inni wciąż próbują prostować, debatować, udowadniać, upominać się, że przecież nie jest tak, jak wmawiają nam, że z nami jest; przemawiają jednak do ściany, a ta przecież wie lepiej, jak jest – jak to ściana. W takiej jednostronnej autodebacie, iście antycznym, tragicznym monologu można doświadczyć znużenia; blisko już do rezygnacji albo piętrzących się pretensji, jeśli nie wobec drugiej strony – bo ta milczy albo powtarza swoje, to wobec tych, co myślą podobnie jak my, lub w najgorszym razie wobec siebie. I to jest chyba najgorsze, bo wtedy każdy z nas zatacza wokół palcem na piasku krąg, zamyka się w nim i to są zapewne najszczelniejsze granice, jakie wytyczyliśmy sobie sami. Zamknęliśmy się w nich i wystawili warty; czujemy się w nich przeraźliwie samotni, ale paradoksalnie bezpieczni; ze swoimi tylko racjami, kompletnym zagubieniem, dumą

i nieufnością wobec wszystkich i wszystkiego; tak – nieufnością, bo ta jest najbardziej śląską ze śląskich cech charakteru. Wcale nie ta przyjemna dla ucha w brzmieniu, obłaskawiona i zabawna w istocie słynna już śląska „dupowatość”, czyli, że ani „me”, ani „be”; kufel piwa w ręce; knebel z krupnioka, kubraczek wyszywany kompleksami i pretensjami, a i tak damy się wszystkim wydymać i jeszcze pięknie dygniemy i podziękujemy. Nieufność to ci dopiero granica; gęste zasięki przed obcymi, innymi, przed zranieniem, wykorzystaniem, manipulacją, obnażeniem słabości wreszcie. Nie ma się co dziwić, że tacy właśnie jesteśmy – nieufni; przez wieki byliśmy raz jednych, to znów drugich, wreszcie trzecich albo czwartych; a ci wszyscy mówili nam, jak żyć, mówić, myśleć i prawdę mówiąc zawsze coś było nie tak; choćbyśmy się starali, a przecież staraliśmy się; czy to się komu podoba, czy nie.

Jeden z moich współtowarzyszy niekończących się debat tożsamościowych stwierdził ostatnio, że czasem czuje się już nimi znużony; tyle słów wypowiedzianych i zapisanych; jeśli dobrze pamiętam, powiedział, że coraz bardziej murujemy się przed światem z naszymi problemami. Zadaję więc sobie pytanie: czy i ja wykreśliłem wokół siebie szczelną granicę „naszych śląskich spraw”; pewnie, że tak; mało tego, obmurowałem się nią; chyba już nawet nie dostrzegam zwieńczenia murów; dywaguję sam ze sobą o „nowej tożsamości” z poczuciem oddalenia od innych zamkniętych w swoich własnych śląskich terytoriach; niewrażliwy na inne za i przeciw, coraz bardziej nieufny i oddalony. Ileż to razy słyszałem z ust ludzi, nie takich z ulicy, spod budki z piwem czy politycznych wieców, ale od przedstawicieli wysokiej kultury i równie wysokich urzędów nieznosne pytania zadawane niby to półżartem, mimochodem, szeptem; w cztery oczy, lecz także i prawie oficjalnie: „No, to kiedy się odłączacie?”. W czasie obrad jury jednego z teatralnych festiwali na Śląsku; już po werdykcie, przy ciastkach i kawie, przyjezdny przewodniczący komisji zapytał mnie z najprawdziwszą troską: „Jak tam nastroje separatystyczne na Śląsku?”. Zapadła cisza, pozostali członkowie jury opuścili głowy, mieszały rytmicznie łyżeczkami cukier w filiżankach; wyczekałem długą pauzę i odpowiedziałem: „Za dnia jest zazwyczaj spokojnie, ale po zmroku...”. Łyzeczki w dłoniach jurorów znieruchomiały, nastawili uszu; już pewnie słyszeli z oddali łomot podkutych buciorów o wyświechtany bruk, chrapliwy, nienawistny zaśpiew... „Gdyby pan zechciał wyjść wieczorem z hotelu na spacer – powiedziałem do przewodniczącego jury – to chętnie po pana przyjdę; pójdziemy razem, środkiem chodnika...”. Nie zaprosili mnie już tam do jurorowania.

Ileż razy byłem przymuszony do odpowiadania na takie zatroskane pytania; dawniej tłumaczyłem, że do kogo mamy się przyłączać – do Chin? Albo obracałem wszystko w żart, ostatnio nic nie odpowiadam, bo mi się już znudziło. A może rozumiałem, że owa granica pomiędzy „nami” i „nimi” staje się z wolna niewymazywalna; mimo że „my” i „oni” zrobiliśmy wiele, by wreszcie znikła. Może ta granica w naszych głowach jest po prostu niezbędna obu stronom; jak miedza albo idiotyczny Kargulowy płot; pretekst do schodzenia się i rozchodzenia, wypominania wzajemnych krzywd, awantur i trudnego godzenia. Granice, te najdotkliwsze, bo w naszych głowach, to istna pajęcza sieć odwiecznych urazów, kompleksów, samoograniczeń; im gwałtowniej się ciskać w jej splotach, tym bardziej staje się nieznosna, zapętała się i nie pozwala iść dalej swoją drogą. ■



KRZYSZTOF KARWAT

DALEKO STĄD

Granice miłości i nienawiści

„A ja mam dziewczynę po słowackiej stronie...”.
Pamiętacie song Tadeusza Woźniaka?
Ja go nie zapomniałem. I to nie dlatego,
że też tam *holkę* miałem.

Za moich studenckich czasów ta granica była już zaimpregnowana skrytą nienawiścią, pomieszaną z paskudnym chorobstwem internacjonalistycznej miłości. Pozostawała nieprzepuszczalna. Strzegły jej uzbrojone po zęby kordony wojskowych, a przy punktach celnych paradowali niczym pawie jacyś nieznający się na żartach umundurowani faceci, którym źle z oczu patrzyło, gdy spode łba łypali na każdego podejrzanego.

A każdym podejrzanym był każdy. W ramach przyjaźni polsko-czechosłowackiej i procesu utrzymywania bratnich stosunków między krajami socjalistycznymi zakazane były zwłaszcza stosunki seksualne (a nawet niewinne młodzieńcze igraszki). Więc na wszelki wypadek nie pochwaliłem się braciom Czechom (granicę forsowałem przez Most Przyjaźni w Cieszynie), że „mam dziewczynę po słowackiej stronie”. A pytali, po co tak daleko jadę.

Ale ja już wtedy na szczęście wiedziałem – chyba dzięki mojej *holce* – że „Czechosłowacy”, nawet w tak pięknych beskidzkich okolicznościach przyrody, nie występują, aliści dzielą się na Czechów i Słowaków, którzy – gdy ich przebrać w mundurki wojskowe, albo jakiś obcy reżim nad nimi ustanowić – przestają się lubić, mimo że porozumiewają się językami tak do siebie podobnymi. Ba, identycznymi! Tak przynajmniej myślą i słyszą prawie wszyscy Polacy. Przede wszystkim – starzy górale żywieccy, wraz ze swymi hałami inkorporowani na przełomie XX i XXI wieku do województwa śląskiego, co to nigdy nie powiedzą – spoglądając na ciągnące się pod ich Boskim niebem wielokilometrowe masywy Pilska i Romanki – że za ich górami i za ich lasami leży jakaś Słowacja, bo szczerze wierzą (a to wyjątkowo wierzący ludek), że „tam” zawsze były i są „Czechy”.

A skąd biedni górale (dzisiaj już wcale nie tacy biedni, choć przez całe wieki będę klepał i dopiero niedawno przestali) mają wiedzieć, że „zawsze” znaczy w tym przypadku ledwie sto lat, bo przecież dopiero po Wielkiej Wojnie na mapach pojawiło się państwo nazwane Czechosłowacją? Nie wiedzą też, bo ich tego ani w austriackich, ani w polskich

szkołach nie uczyli (nawet jeśli mieli szanse do nich przez parę lat chodzić), że Słowaków dopiero – mniej więcej – od Wiosny Ludów zadekretowano jako odrębny naród, a jego orawski szczep, ten bezpośredni z nimi sąsiadujący, kiedyś był do nich, *Żywczków*, hardych niczym Janosik Marka Perepeczki, jak dwie krople wody podobny. I to tak podobny, że polscy, węgierscy i niemieccy panowie nawet sobie trudu nie zadawali, by jednych od drugich odróżniać. Bo nie było „jednych” i „drugich”. Dowodów materialnych, że to prawda, co mówię, łatwo nie znajdziesz (etnolingwiści znacznie więcej ich mają); na cmentarzu w przygranicznej Jeleśni znalazłem tylko jeden nagrobek wskazujący, że „austriacko-polscy” Habsburgowie „po tej stronie” granicy zatrudniali pochodzącego „stamtąd” (czyli obecnej słowackiej Orawy) leśniczego.

Czy to znaczy, że wtedy granice nie istniały i takie to szczęśliwe czasy panowały, że nawet najstarsi górale żywieccy ich nie pamiętają? Były, były... Choć przy wszystkich ich krańcach – łączących Rzeczpospolitą, Górne Węgry (to właśnie dzisiejsza Słowacja, której władze od czasu do czasu próbują wybatożyć swą wielomilionową mniejszość węgierską i romską) tudzież wrzynające się tu do połowy XV wieku ziemie historycznego Śląska – naprawdę mieszkali „ci sami ludzie”. Kim byli? Głównie pasterzami, którzy wiedzieli, jak należy owce i barany po halach beskidzkich wypasać („tutejsi” dopiero się tego od nich nauczyć musieli). Potem przerobiono ich na katowanych przez feudałów chłopów pańszczyźnianych, z których wyrosli zbójnicy „polsko-słowaccy”, co to „bogatyh okradali i biednym rozdawali” (w rzeczywistości łupy zostawiali sobie i ewentualnie swym skazywanym na głodową śmierć rodzinom).

Praojcowie tych ludzi przywędrowali grzbietami Karpat, z terenów – na okrągło mówiąc – współczesnej Rumunii. Dali początek dzisiejszym żywieckim „prawdziwym Polakom i katolikom”. Byli Wołochami (albo – czytaj – Wałachami). Przyszli tu „na Żywiecczynę”, bo ich nikt nie zdołał upilnować? Żaden pogranicznik, żaden celnik? Tak, chyba właśnie dlatego udało im się tak daleko pójść i dojść. I w końcu się zatrzymać. Do dziś tu sobie siedzą na tym polsko-słowackim pograniczu (nadal, jak ich przodkowie, ciężko harując na chleb).

Etnolodzy zachodzą w głowę, o co tym chłopom wędrowniczkom – naszym słowiańskim wczesnośredniowiecznym Johnnym Walkerom, których dopiero bardzo późni wnukowie niedawno zaczęli w Biedronkach whisky kupować – wtedy chodziło? I dlaczego tu zostali? Mam własną odpowiedź. Czy ryzykowną? Oni po prostu w miłosnym uścisku pochwycili – w dolinach Wisły i Soły – jakieś tutejsze *holki* albo inne *dziolchy* i tą drogą sparzyli się z błakającymi się tu już wcześniej ludami słowiańskimi. Musieli mieć ci głodujący i wygłodniałymi Wołosi w sobie to *coś*, że gadającym w innych narzeczeniach *babom* tak się spodobałi, że niemal natychmiast – zdaje się, że trwało to co najwyżej sto lat – zapomnieli swego niezrozumiałego bałkańskiego języka w gębie, przyjęli rzymskie wyznanie i zaczęli mówić po polsku (osobna sprawa, że do dziś żaden inny „prawdziwy Polak”, np. taki z Mazowsza, wszystkiego nie zrozumie z tej ich góralskiej mowy).

Ja – nie chwając się – rozumiem. Kiedy zdawałem egzamin z rosyjskiego na swych socjalistycznych studiach, moja *uczcielnica* trochę się dziwiła, że co rusz wtrącam słowackie słowa. Kiedy jej powiedziałem, że to dlatego, bo miałem „dziewczynę po słowackiej stronie”, uśmiechnęła się, wybaczyła i dała mi piątkę. ■



Pod red. Sebastiana Rosenbauma
i Dariusza Węgrzyna

**Deportacje do Związku
Sowieckiego z ziem polskich
w latach 1944-1945.
Perspektywa porównawcza**

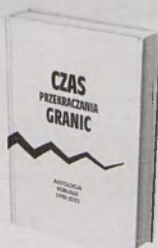
Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania
Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Katowice,
Śląskie Centrum Wolności i Solidarności,
Katowice 2015, s. 171



Henryk Waniek

**Cmentarz
nieśmiertelnych.
Kolonia pisarzy
i innych takich**

Ośrodek Kultury i Sztuki
we Wrocławiu, Wrocław 2015,
s. 135



Pod red. Iwony Liżewskiej, Kazimierza
Brakonieckiego, Roberta Traby

**Czas przekraczania granic.
Antologia Borussii
1990-2015**

Wspólnota Kulturowa Borussia, Olsztyn, Narodowe
Centrum Kultury, Warszawa 2015, s. 669



Grzegorz Żurek

Woda i bała

Oficyna, Gdańsk 2015, s. 341



Piotr Przybyła

**Narracje (i) infrastruktury.
„Mit Ziemi Odzyskanych”
w pamięci politycznej wczesnej
Polski Ludowej (na przykładzie
Góry św. Anny i Ślęży)**

Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Poznań 2016,
s. 436



Zebrał i zredagował: Barbara
i Adam Podgórcy

**Pierniki świętego
Mikołaja. Legendy
z Rudy Śląskiej**

Rudzkie Towarzystwo Przyjaciół
Drzew OPP, Ruda Śląska 2015,
s. 279



Wybór i redakcja: Bogdan Twardochleb

**Codzienne pogranicze.
Głosy publicystów**

„Kurier Szczeciński”, Stowarzyszenie Gmin
Polskich Euroregionu Pomerania, Centrum Studiów
Niemieckich i Europejskich
im. Willy'ego Brandta, Szczecin 2015,
s. 255



CzasyPismo nr 2 (8)

Oddział Instytutu Pamięci
Narodowej – Komisja Ścigania
Zbrodni przeciwko Narodowi
Polskiemu w Katowicach,
Katowice 2015, s. 208



Małgorzata i Michał Kuźmiński

Pionek

Wydawnictwo Dolnośląskie, PUBLICAT S.A.,
Oddział we Wrocławiu, Wrocław 2016,
s. 435



**Jahrbuch Polen 2016
T. 27**

Niemiecki Instytut Kultury Polskiej
w Darmstadt, Wyd. Otto
Harrassowitz, Wiesbaden 2016,
s. 231

SZÓSTA EDYCJA

JEDNOAKTÓWKA PO ŚLĄSKU

Imago Public Relations,
Katowice Miasto Ogrodów
oraz Regionalny Instytut Kultury
w Katowicach zapraszają do
udziału w kolejnej edycji konkursu
na „Jednoaktówkę po śląsku”.



Prace o dowolnej tematyce
muszą być napisane po śląsku
i powinny przyjąć formę
jednoaktówki.

Szczegóły konkursu już wkrótce na
IMAGOPR.PL



Bruno Schmierek, W karczmie (z cyklu Wieś na Wschodzie)